

Kazimierz Orłoś

Przechowalnia



*Nie uda się wam nigdy przekonać siłą
ludzi, że przestępstwem jest coś, co nie
jest przestępstwem; natomiast uda wam
się przekształcić przestępstwo w czyn
zgodny z prawem.*

Przywódca filozofów
(przepisane z notatnika J. Kamieniaka)

Spis rozdziałów

Spis rozdziałów	3
Rozdział I Dowieszony K. Marks podlega środkom przymusu	4
Rozdział II Zakład RZOUN spełnia pozytywną rolę w dobie spadającego spożycia	10
Rozdział III Szkoła imienia M. Konopnickiej terenem działalności ośrodków dywersji ideologicznej	18
Rozdział IV Błędy i wypaczenia naszej partii, sił porządkowych oraz zasłużonych działaczy - tematem konstruktywnej rozmowy	22
Rozdział V Elementy pasożytnicze podejmują działania wymierzone w ład i porządek	26
Rozdział VI Mjr mgr T. Dolatek demaskuje prowodyrów akcji inspirowanej przez ośrodki dywersji ideologicznej na terenie szkoły imienia M. Konopnickiej	33
Rozdział VII Starszy zmianowy Ful odsłania kulisy spisku.....	38
Rozdział VIII Towarzyszka Byt wypowiada się na temat podstawowych praw dialektyki.....	43
Rozdział IX Zapach władzy ludowej	49
Rozdział X Agentka Z. Mamulowa stwierdza niedobór kasowy.....	53
Rozdział XI Dowieszony J. Sikora stosuje środki przymusu.....	58
Rozdział XII Sytuacja społeczno-polityczna w naszym mieście tematem obrad egzekutywy naszej partii oraz nielegalnego Komitetu	63
Rozdział XIII Stanowcze „nie” wicherzycielom!	71
Rozdział XIV Antyradzieckie nastroje	78
Rozdział XV Wstęp do „wzorowych lekcji”	84
Rozdział XVI Karol Marks spożywa zupę regeneracyjną w PGR-Rostki	88
Rozdział XVII Służba Bezpieczeństwa dokonuje przeszukania w lokalu Nr 3 przy Armii Czerwonej 12	97
Rozdział XVIII Przechowalnia	104

Rozdział I

Dowieziony K. Marks podlega środkom przymusu

21 kwietnia nad ranem rencista Józef Kamieniak - znany na terenie zakładów gastronomicznych jako „magister” lub „Marks” - miał dziwny sen. Śniło mu się, że płonąca kula, jak małe słońce, powoli opada na trawnik przed blokiem przy ulicy B. Bieruta, gdzie samotnie zasiedlał kawalerkę M-2. Przechodnie na ulicy oraz mieszkańcy bloku na balkonach, obserwowali zjawisko. Kula opadała wolno, podskoczyła parę razy, jak wielka ognista piłka i zgasła. Zrobiło się ciemno. Józef Kamieniak zbudził się i zobaczył słońce za oknem.

- Renta! - przypomniał sobie. Dwudziestego pierwszego listonosz przynosił rentę.

Istotnie, o godzinie 14.00 roznosiciel Radwański zapukał do drzwi. Józef Kamieniak - wielki mężczyzna z rudą brodą i w okularkach w drucianych oprawkach - pobiegł truchtem do przedpokoju. Zaprosił Radwańskiego do mieszkania - na stole czekały dwie szklaneczki i butelka „Stołowej”. Taki był początek.

Pili do szesnastej. Radwański rzucił na łóżko skórzaną torbę i czapkę z trąbką nad daszkiem. Magister częstował „Stołową”. Podsuwał słoik z korniszonami. Okruchy starego chleba, niedopałki i puste butelki po piwie, leżały na stole.

- Towarzyszu Radwański - mówił Józef Kamieniak (pod wpływem alkoholu do wszystkich zwracał się per „towarzyszu”) - za wasz trud!

- Panie Kamieniak, jaki ze mnie towarzysz? - śmiał się roznosiciel. - Ja bym tych wszystkich towarzyszy w łyżce wody!..

Magister groził mu palcem: - No, no, Radwański, ostrożnie! Takich jak wy rewolucja dawno wyrzuciła za burtę!

- Zupełny świrus! - opowiadał później Radwański.

Wyszli razem na ulicę B. Bieruta, głośno rozmawiając o rzeczywistości. Magister podkreślał osiągnięcia.

- Wiadomo, dawny członek partii - opowiadał Radwański. - Gdyby wtedy nie wskoczył na stół, inaczej by teraz żył.

Przed kilku laty Józef Kamieniak - wówczas zastępca kierownika Wydziału Gospodarki Komunalnej w tutejszym Urzędzie Miejskim, „człowiek na poziomie”, jak

mówiono, członek partii, aktywny działacz organizacji społeczno-politycznych - w czasie kolacji z udziałem towarzyszy z KW zanieczyścił stół. Kolacja - w restauracji „Turystyczna” kat. „S” - po całodziennych imprezach z okazji inauguracji „Dni Oświaty” - miała uroczystą oprawę. Przybyli zaproszeni goście: artyści, dziennikarze, członkowie komitetów naszej partii z terenu kilku gmin oraz Województwa. Kadra kierownicza administracji państwowej. Józef Kamieniak, wtedy jeszcze bez brody, młodszy, tryskający energią mężczyzna - upił się i zagłuszając obecnych wyśpiewywał pieśni z czasów aktywnej działalności w szeregach ZMP:

„Hej, razem z nami, dotrzymaj kroku,
splata nam ręce braterska więź” - grzmiał na całą salę.
„Wygramy walkę o trwały pokój!...”

Potem wskoczył na stół. Zdążył zanieczyścić serwetę i garnitury najbliższej siedzących, zrzucił także część zastawy, nim go ściągnięto. Ten głośny incydent zdecydowanie wpłynął na losy Józefa Kamieniaka. Stracił kierownicze stanowisko, usunięto go z partii. Żona z córką wyjechały wkrótce potem (Maria Kamieniakowa, nauczycielka, nie mogła zapomnieć kompromitującego zachowania męża; zresztą pił już od lat, mówiła). Zaczęły się kłopoty ze zdrowiem - zapalenie płuc, przewlekłe anginy, odezwała się zaleczona gruźlica. Opuszczony i samotny przeszedł na rentę. Stracił mieszkanie M-5 przy ulicy gen. K. Świerczewskiego i przeniósł się do kawalerki przy B. Bieruta. Pił coraz więcej. Związał się z koleżanką żony, niejaką Wandą Szymanek - również nauczycielką w tutejszej szkole ogólnokształcącej imienia M. Konopnickiej. Wanda Szymanek na próżno usiłowała wpłynąć pozytywnie na magistra. Najczęściej przebywał w zakładach gastronomicznych.

Tak było i w dniu dzisiejszym. Idąc w kierunku baru „Kubanka”, gdzie później wypił kilka butelek piwa, J. Kamieniak - w spłóviałym piłśniaku (kiedyś zielonym) zsuniętym na tył głowy, z rudą brodą i w okularkach w drucianych oprawkach - zwracał ogólną uwagę. Na nogach miał buty-wibramy. Szara marynarka rozpięta, widać było flanelową koszulę.

Na skwerku przy Nowotki przyłączył się do grających w piłkę chłopców. Biegał w tej rozpiętej marynarce, machał rękami. Usiłując kopnąć piłkę, stracił równowagę. Kapelusze potoczył się po trawie.

- Podaj, Jasiu! - wołał basem. Dudniło, kiedy biegał. Miał sylwetkę niedźwiedzia.
- Świrus, wariat! - śmiał się Radwański.

Naokoło skwerku kwitły krzewy forsycji. Wyglądały jak ogniste kule ze snu Kamieniaka. Chłopcy uciekali przed magistrem.

*

Do dwudziestej drugiej przesiedział w „Muszelce”. Pił z Radwańskim, później z niejakim Kujawskim - pracownikiem PRB „Budopol”. Renta powoli topniała.

- Towarzyszko Basiu! - wołał do kelnerki - dwa razy po sto!

- Jaka ja dla was „towarzyszka”? - denerwowała się kelnerka. O dwudziestej drugiej powiedziała: - Wynocha, panie Marks! Ani grama więcej nie będzie. Zamykamy.

Wtedy wyszedł na ulicę. Potykając się i zataczając ruszył w kierunku Armii Czerwonej. Mógł śpiewać stare pieśni. Kapelusz zsunięty na tył głowy spadał. Podnosił go sapiąc i pokaszując. Na Armii Czerwonej wszedł do bramy pod dwunastym. Był to stary budynek - betonowym rowkiem sączyły się ścieki z podwórka. Cuchnęło kotami. Po drewnianych schodach wszedł na pierwsze piętro. Pod numerem trzecim mieszkała Wanda Szymanek, Józef Kamieniak załomotał do drzwi.

- Wandziu, otwórz! - wołał oparty o framugę. Ciemne schody, drzwi, mosiężna klamka - wszystko tańczyło naokoło magistra. „K+M+B” - wypisane kredą na drzwiach.

Nauczycielka nie otworzyła. Zapewne zasnęła wcześniej po kieliszku nalewki na ałyczy (robiła dobre nalewki). Jak wiadomo Wanda Szymanek „trzyma wódkę w piwnicy”. Potrzebujący narzekają, że w nocy nie można się dostukać.

- Jak zaśnie, armaty nie pomogą! - śmieją się klienci.

- Wandziu, otwórz! - powtarzał chrapliwym głosem Kamieniak. Chwiejąc się kopał w brązowe drzwi. Sypała się farba. Po godzinie zszedł na dół.

Przed bramą stracił równowagę. Zatoczył się niebezpiecznie - omal nie upadł. Oparł się o mur starej kamienicy. Domy, niebo pełne gwiazd, ulica Armii Czerwonej - wszystko zakręciło się i zakołysało, jak na ciemnych schodach. Gwizdał daleki parowóz. Z dołu, z ulicy Żeromskiego, wiało rzeką.

Później opowiadał, jak trafił do „przechowalni”. Podobno przejeżdżał radiowóz - stanął naprzeciwko bramy. Funkcjonariusze wysiedli z wozu. Podeszli wolno, obciążając kurtki.

- O co chodzi, towarzysze? - spytał Kamieniak. Milicjanci milczeli.

Stał ze zwieszoną głową. Kapelusz upadł na chodnik - jeden z funkcjonariuszy schylił się, żeby podnieść. Potem chwycili Kamieniaka pod łokcie.

„Przechowalnia” - nowoczesny pawilon przy zbiegu ulic Prusa i Żeromskiego - jest znaną placówką wytrzeźwień. Nowoczesna kompozycja z betonu, krat i szkła. - Jakby z epoki „szklanych domów” - śmieje się Kamieniak. Za pawilonem płynie rzeka. Po drugiej stronie widać czerwony neon motelu „Na szlaku”. W nocy woda połyskuje światłami.

Oficjalnie mówią o „przechowalni” - „Zakład Wytrzeźwień” albo „Izba Wytrzeźwień”. Na niebieskiej tablicy przy drzwiach można przeczytać urzędową nazwę: „Zakład Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n.”.

- Obywatelu Marks, koniec podróży! - powiedział podobno funkcjonariusz Smolarek (magistra tu wszyscy znają). Kiedy wysiadł z nyski, znów chwycili go pod łokcie.

Z rąk Smolarka przejął dowiezionego opiekun zmianowy Nicpoń - dwudziestopięcioletni absolwent Wydziału Prawa - chwilowo zatrudniony w zakładzie wytrzeźwień (po wypadku drogowym groził mu wyrok 5 lat; ojciec - kolega sekretarza Mizery - zapobiegł skazaniu syna oraz wystarał się o etat w naszej Izbie). W białym fartuchu i drewnianych trepach na bosych nogach, z czerwonymi oczami, jak u królika (na skutek zapalenia spojówek) - Gienek Nicpoń przyjął Kamieniaka z otwartymi ramionami: - Prosimy serdecznie, panie magistrze! - Szeroko otworzył drzwi z małym okienkiem, przez które personel sprawdzał, kogo dowieziono.

Poszli korytarzem oświetlonym jarzeniówkami. W białych rurkach brzęczało. Niektóre z nich na chwilę gasły i zapalały się znów. Na końcu korytarza była dekoracja i hasło „Pokój, Przyjaźń, Socjalizm!” oraz portret wodza rewolucji w wieńcu z kartonowych gołąbków. Nad drzwiami rozpięte czerwone płótno.

Kamieniak szedł przy ścianie - kilka razy zniosło go na środek korytarza. Nicpoń za nim - sam w stanie wskazującym na spożycie. Doszli do szatni - tam magister zostawił marynarkę i spodnie. W koszuli i kalesonach (Nicpoń nie miał klucza od szafy, gdzie były zakładowe sorty) - poszedł za opiekunem do pokoiku dyspozytora Kota. Chciał złożyć w depozycie rentę (to, co zaoszczędził w lokalach). Kiedy weszli do pokoiku, opowiadał, zaraz poczuł się jak w „Muszelce”. Na biurku dyspozytora seria butelek: browarek obok browarka. „Stołowa”, wino „Wino”. Zagrycha na gazecie: boczek w plastrach, pokrajana cebula. W powietrzu zapach kaszanki. Obecni przywitali Kamieniaka serdecznie:

- Karolek, Karolek, prosimy! - wołał starszy zmianowy Edward Ful („wzorowy pielęgniarz” - zastępca kierownika placówki). Siedział na obrotowym foteliku za biurkiem. Dyspozytor, Janek Kot - obok na krzeselku. Był jeszcze Ćmielewski, opiekun zmianowy - tak jak Gienek Nicpoń absolwent (Wydziału Filozofii, jak mówiono). Śmiał się najgłośniejszemu z obecnych. - Witamy przywódcę filozofów! - powiedział.

Edward Ful - mały, łysy, z ubytkami w uzębieniu (lewa jedyńka górna) wywodził podniesionym głosem: - Posłuchaj, Marks, oni tu mówią, że w kraju rośnie spożycie. A ja wam udowodnię, że spada!

- Daj spokój, ludzie przechodzą na własną produkcję - oponował Kot. - To o czymś

świadczy, nie?

- O czym, o czym? Weź takie zjawisko, jak czytelnictwo prasy, czy książek - rośnie, nie? Weź oświatę - rośnie. A przestępczość, alkoholizm, wypadki drogowe?

- Spadają - śmiał się Ćmielewski. - Wypadków coraz mniej!

- Tak jest. Żyjemy w dobie spadającego spożycia! Mam rację, magistrze? - zwrócił się do Kamieniaka.

Dowieziony nie odpowiedział. Podeszedł do biurka Kota. Gienek Nicpoń napił się „Stołowej” ze szklanki. Śmiejąc się chuchnął Kamieniakowi w twarz: - Magistrze, za jedną stowę będzie kielich przed spankiem!

- Towarzyszu Kot - odezwał się Kamieniak (położył portfel na biurku) - chciałem złożyć do depozytu pieniądze.

- W gazetach piszą, że spada - mówił Kot nie zwracając uwagi na słowa Kamieniaka - Wierzysz, Edziu, gazetom?

- Janek! - pogroził mu palcem Ful. - Ja z tobą rozmawiam na płaszczyźnie urzędowej. Mam rację?

Ćmielewski śmiał się głośno. Nicponiowi jakby oczy poczerwieniały bardziej po wódce.

- Panie Marks - wołał Ful - prosimy o wykład na temat postępowej doktryny. Podobno w komunizmie wprowadzą reglamentację dmuchania. To prawda?

Śmiech obecnych. Opiekun Ćmielewski na krzeselku pod oknem rżał najgłośniej. Nogi w drewnianych trepach wyciągnął na środek pokoiku. Kamieniak opowiadał, że poczuł nagle znużenie. Ten hałas naokoło, śmiech, krzyk. Pił już od czternastej - chciał spać. Znów zwrócił się z prośbą do Janka Kota (znali się z czasów, kiedy razem zasiadali w Kolegium do spraw Wykroczeń):

- Towarzyszu Kot, chodzi o przeliczenie gotówki.

- Postaw półła, to ci do pieniędzy nikt nie będzie zaglądał - odpowiedział Kot.

Kamieniak twierdził później, że przymuszany przez obecnych nie chciał stawiać ani pić... - Piję, jak mi wódka smakuje - oświadczył.

Wtedy zamilkli. Nagle przycichł śmiech. Zrobiło się zupełnie cicho w pokoiku. Brzęczała tylko jarzeniówka na suficie. Na parapecie za Ćmielewskim stała wyłączona maszynka. Obok - patelnia z pokrajaną kaszanką.

- Co on powiedział? - spytał Ful.

- Mówi, że mu wódka czasem nie smakuje.

- Kiedy, kiedy?

- Na przykład u nas - wyjaśnił Nicpoń.

I znów milczenie. Później mówili, że Kamieniak chciał wychodzić na ulicę po nocy. Podobno zaczął lżyć obecnych obrzucając wulgarnym słownictwem. Szarpał się do bicia. I tak dalej.

- Towarzyszu Kot, proszę o kwit! - domagał się naprawdę magister (Kot wrzucił portfel do szuflady nie licząc pieniędzy).

- Jaki ja dla ciebie „towarzysz”, baranie! - zdenerwował się dyspozytor. Starszy wiekiem, jak mówiono - włosy barwione henną. Pasemka zapożyczone z boku głowy maskowały łysinę. Wstał, podszedł do parapetu i zaczął smażyć kaszanke. Zapach topionej słoniny rozszedł się zaraz po pokoju.

Kamieniak podobno krzyknął: - Bo ci ten browar na głowie stłukę!

Tak twierdzą pracownicy zakładu: zachowywał się wyzywająco, obrzucał słownictwem. Klął. Magister mówi, że było odwrotnie: to oni nagle zaczęli go lżyć. - Tam co drugie słowo nie nadaje się do powtórzenia - powiedział (używał słów zastępczych).

- Jak nie chcesz kielicha, to spadaj! - powiedział Ful.

- Ty, Marks, lepiej nie skacz - poradził Nicpoń. Spojrzał na magistra czerwonymi oczami. Ćmielewski koło okna jeszcze się śmiał.

Dowieziony protestował: - Nie ze mną taka rozmowa! Oddajcie portfel!

Kot, odwrócony do okna, smażył kaszanke.

Józef Kamieniak - w szarych kalesonach i flanelowej koszuli (spod której nad garściami wyglądały przybrudzone rękawy podkoszulka) - chwiał się trzymając biurka. Okularki zostawił w marynarce - źle widział.

- Zabieraj tego wariata, Gieniu - powiedział odwrócony Kot.

- Odprowadź towarzysza palanta - dodał Ful.

Nicpoń szarpnął magistra za rękaw: - Idziemy na salę!

Kamieniak nie chciał iść: - Chwileczkę, portfel.

Później opowiadał, że wtedy skoczyli we trzech. Ful z workiem wybiegł zza biurka. Ćmielewski z Nicponiem chwycili za ręce. Dał się zaskoczyć - wciągnęli worek na głowę. Jeszcze zdążył podnieść blat biurka - butelki pospadały. Usłyszał brzęk szkła. Zleciała kryształowa popielnica.

- Złodzieje, neofaszyści! - wykrzykiwał podobno.

Tamci związali mu ręce trokami. Zaczęli grać „w odrzucanego”: Nicpoń pchał magistra na Fula, Ful odbijał do Ćmielewskiego, Ćmielewski do Nicponia. Józef Kamieniak biegał przed biurkiem: Nicpoń - Ful, Ful - Ćmielewski. Nicpoń. Słyszał naokoło śmiech.

Ślizgał się na rozbitym szkłe. Potem upadł. Wtedy oni zaczęli taniec nad nim. Balansowali rękami. Słysząc było sapanie.

- Mordercy! - krzyczał. - Napiszę do gazety!

- Pisz do KC! - poradził Kot. Usiadł na obrotowym foteliku. Patrzył, jak opiekunowie tańczą przed biurkiem. Józef Kamieniak turlał się po podłodze, pod nogami obecnych. Między butelkami, w kawałkach szkła. Na rozsypanych niedopałkach.

Ful z Nicponiem zmęczeni się pierwsi.

- Starczy - powiedział Ful. - Weź go na pasy, Gieniu.

Zdyszany Nicpoń chwiał się na nogach: - Ja dmucham, takiego niedźwiedzia?

Kamieniak opowiadał, że słyszał ich głosy z daleka. Jakby z drugiego pokoju - zza drzwi. W głowie brzęczały jarzeniówki. Naokoło chrzęściły kroki po szkłe. Magister pojękiwał. Leżał na boku, podkurczył nogi w wibramach. W ustach miał pełno kaszanki Kota.

- Dziwne złudzenie - mówił.

- Ty, co on taki „towarzysz”? - pytał w drugim pokoju Nicpoń.

- Nie znasz magisterka? To całkiem rąbnięty gość. Cytuje Marksa!

- Przywódca filozofów! - śmiech Chmielewskiego.

- Karolek, Karolek! - mówił Ful.

Ogólny śmiech obecnych.

Rozdział II

Zakład RZOUN spełnia pozytywną rolę w dobie spadającego spożycia

O godzinie ósmej rano pod nowoczesny pawilon, na rogu Prusa i Żeromskiego zajechał Fiat 125P o wyglądzie tak schludnym, jakby przed chwilą opuścił taśmę montażową FSO. Żółta karoseria przypominała kogel-mogel z jaj świeżych pierwszego gatunku. Zwracały uwagę lusterka w grubych oprawkach, reflektory „halogeny” w ceratowych pokrowcach, ozdobne tarcze zamiast dekli i ażurowa osłona na tylnej szybie, chroniąca przed opadami atmosferycznymi. Kiedy drzwi wozu uchyliły się, ukazała się walizkowa teczka, a następnie właściciel: tęgi mężczyzna w niebieskim garniturze, różowej koszuli i krawacie w pasy związanym w gruby węzeł. Kark i twarz mężczyzny miały odcień czerwony.

Przez uchylone okna zakładu RZOUN słysząc było trzask zamykanych drzwi. Mężczyzna sprawdził, czy wszystkie są zamknięte, po czym lekko kolebiąc się, z wypiętym

brzuchem (pod niedopiętą marynarką widać było spodnie na szelkach z również niedopiętym guzikiem nad błyskawicznym zamkiem), ruszył w kierunku tablicy „Zakład Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n.”. Był to kierownik placówki wytrzeźwień towarzysz Mieczysław Seta, zasłużony działacz społeczno-polityczny, ceniony obywatel (choć przybył do nas zaledwie przed trzema laty). To dzięki niemu Zakład od początku przynosił zyski państwu oraz spełniał pozytywną rolę na odcinku walki z alkoholizmem w dobie spadku spożycia wyrobów PMS.

Dzień zapowiadał się pogodny. Resztki oparów mgielnych nad rzeką rozwiewał wiatr. Dalej widać było wzgórze w jasnej zieleni. Błękitniało. Towarzysz M. Seta splunął celując w rabatki z krokusami i wszedł do budynku.

W kilka minut później w gabinecie kierownika miała miejsce rozmowa o charakterze roboczej narady. Obecni: wzorowy pielęgniarz Ful, depozytor Jan Kot (obaj po całonocnej służbie niewyspani i senni) oraz, pod koniec rozmowy, lekarz Lipkowski - ginekolog, którego pojawienie się, ze względu na przykry incydent z tym związany, skierowało rozmowę na zupełnie inne tory. Stawiając kwadratową teczkę na biurku przykrytym szklaną płytą oraz witając się z przedstawicielami personelu, towarzysz M. Seta od razu nawiązał do sprawy, która niepokoiła etatowych pracowników zakładu od pół roku.

- Miałem wczoraj telefon od Mizery. Znów przyjechał ojciec tej perlicy z Warszawy.

- Ja dmucham! - oświadczył po chwili starszy zmianowy Ful.

- Dmuchać, dmuchać! - zdenerwował się zaraz na wstępie kierownik placówki. - Trzeba na nowo uzgodnić fakty.

- Edek ma rację - wypowiedział się dyspozytor Jan Kot. - Sprawa jest prosta. Te małe płaczą się w zeznaniach, świadków nie ma. I tak dalej. Po co ten cały szum? - Wyjrzał przez uchylone drzwi, czy nie idzie ktoś po odbiór depozytu.

- Ja nie gwałciłem - mówił tymczasem zdenerwowany M. Seta siadając na obrotowym fotelu za biurkiem - a teraz mnie szarpią. Nie was!

Omawiana sprawa dotyczyła dwóch, doprowadzonych w stanie upojenia alkoholowego, uczennic. Jak się później okazało, jedna z nich uczęszczała do tutejszego gimnazjum imienia M. Konopnickiej, druga przyjechała ze stolicy. Po wypiciu butelki wina „Wino” na skwerze pod pomnikiem T. Kościuszki, prawdopodobnie zasnęły na ławce, z której zostały następnie zabrane przez funkcjonariuszy sił porządkowych i przewiezione do Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n. Jak zeznają obecnie bezpodstawnie oskarżeni pracownicy zakładu, po dowiezieniu zachowywały się wyzywająco, obrzucały opiekunów wyzwiskami używając wulgarnego słownictwa i tak dalej.

Wersja uczennic była inna: obie zostały pobite, rozbierając porwano im ubrania, tej z

Warszawy zginęło pięćset złotych, były bez przerwy łzone, a następnie kilku pijanych mężczyzn zgwałciło je na kozetce w ciemnym pokoju, w którym pachniało lekarstwami (był to zapewne gabinet doktora Lipkowskiego). Na marginesie można dodać, że wersja ta „polega na prawdzie”, jak odpowiedziały na pytanie zadane w cztery oczy, podczas spożywania alkoholu w zakładzie gastronomicznym, wzorowy pielęgniarz Edward Ful. Istotnie: te małe perlice, jak mówili między sobą pracownicy zakładu, początkowo podskakiwały, nie dawały się rozbierać, krzyczały. Dopiero po zastosowaniu przymusu fizycznego spotulniały, przycichły i bez oporu szły do gabinetu doktora na kozetkę przykrytą białą ceratą.

- I tak przelecieliśmy każdy po dwa razy! - opowiadały zapewne E. Ful w czasie konsumpcji połączonej ze spożyciem alkoholu, poświstując przez ubytek na miejscu lewej jedynki górnej. - Rano wychodziły jak trusie...

W dwa tygodnie później na pracowników naszego zakładu spadł grad bezpodstawnych oskarżeń. Przyjechał ojciec zgwałconej z Warszawy.

Zaczęły się konfrontacje, dochodzenia i tym podobne szykany. W czasie konfrontacji E. Ful oświadczył dając wyraz głębokiemu rozgoryczeniu:

- To co one mówią, nie polega na prawdzie. Przeciwnie: to my byliśmy poszkodowani. Znajomi jeszcze po tygodniu pytali, kto podrapał mi twarz. Słownictwo, jakiego używały, nie nadaje się do powtórzenia.

Pozostali pracownicy zakładu zeznawali w tym samym duchu. Ponieważ dziewczynki nikogo nie potrafiły rozpoznać, a ta bardziej nieśmiała, z gimnazjum M. Konopnickiej, rozplakała się i już nic nie mogła dodać - konfrontację przerwano uznając, że oskarżenia są bezpodstawne. Tylko ojciec tej z Warszawy wychodził obrażony. Nawet ręki nie podał na pożegnanie kierownikowi Secie. Po paru miesiącach znów przyjechał.

- Dmuchać to możesz wiesz... - oświadczył kierownik zakładu patrząc przez wielką szybę na rzekę płynącą łagodnym łukiem wśród łąk oraz na drogę do miasta, po której od czasu do czasu przejeżdżały pojazdy mechaniczne. W pokoju zapadło przykre milczenie.

Dla towarzysza M. Sety wspomniana sprawa była rzeczywiście wyjątkowo nie na rękę. Pierwszy sekretarz Wydziału Miejskiego naszej partii, towarzysz Czesław Mizera, podkreślał wielokrotnie, że ojciec dziewczyny ze stolicy zajmuje odpowiedzialne stanowisko w M.G. i E.

- Górnictwo, Mieciu, wiesz co to znaczy! Nieprzystępny gość. Trudna rozmowa. - I dorzucał, zatroskany, następującą uwagę: - Musisz chłopaków utemperować!

- Utemperować, utemperować! - mamrotał w odpowiedzi Seta. - Kto przy tym był? Kto widział?

Towarzysz Mieczysław westchnął. Nie lubił przykrości. Przed trzema laty przyjechał do nas po wydarzeniach w R., kiedy to został zmuszony do ucieczki z płonącej siedziby naszej partii (piwnicami, a następnie przez podwórze sąsiednich bloków), na piechotę, bez kwadratowej teczki i płaszcza, jedynie w jasnym garniturze poplamionym węglem trzeciego gatunku. Oglądając się niepewnie i unikając spojrzeń przechodniów. Dwa miesiące przesiedział u rodziny na wsi, później poszedł na kurację w Ośrodku Rehabilitacji Zakłóceń Ośrodkowego Układu Nerwowego (stąd zapewne na tablicy zakładu wytrzeźwień znalazły się litery „o.u.n.”). Następnie został skierowany do naszego miasta, które - po ciężkich przeżyciach w R. - wydało się towarzyszowi Secie oazą spokoju i ciszy. Pierwszym sekretarzem był jego przyjaciel z lat pracy na odcinku młodzieżowym, Czesław Mizera. W tym czasie ukończono budowę pawilonu z betonu i szkła, a władze partyjne i państwowe rozglądały się, komu powierzyć kierownictwo odpowiedzialnej placówki. I tak towarzysz Los zdecydował: kierownikiem został Mieczysław Seta, zasłużony działacz społeczno-polityczny, były młodzieżowiec, były sekretarz komitetu naszej partii w R., doświadczony organizator. Człowiek całkowicie oddany sprawie budownictwa socjalistycznego.

Z początku nie był zadowolony: - Nigdy na odcinku walki z alkoholizmem nie pracowałem. To dla mnie obcy teren, Czesiu.

- Dasz sobie radę, Mietek! - klepał zasłużonego działacza pierwszy sekretarz. - Nawet nazwisko masz odpowiednie! - śmiał się.

Tak było. Ci, którzy pamiętali kierownika M. Setę z tamtych pierwszych dni, kiedy przyjechał do nas: zalęknionego, zagubionego, przytłoczonego nieodpowiedzialnymi wystąpieniami elementów chuligańskich w R. (były to zapewne wspomnienia związane z widokiem tłumu pod oknami podpalonej siedziby naszej partii) oraz porównali z obecnym towarzyszem M. Setą - mężczyzną w niebieskim garniturze i różowej koszuli, z wielkim brzuchem, na którym nie można było pozapinać guzików, z karkiem, na widok którego myślało się o golonce - byliby zaskoczeni zmianą.

Jeszcze podczas uroczystego otwarcia zakładu nowomianowany kierownik odczytał swoje przemówienie cicho i bez zapалу: - Zebraliśmy się tutaj w celu odebrania z rąk towarzyszy wykonawców tego nowoczesnego budynku, który od dziś spełniać będzie pozytywną rolę w dobie spadającego spożycia alkoholu!

Zebrani klaskali. Był przedstawiciel prasy. W organie wojewódzkim naszej partii ukazało się następnego dnia zdjęcie grupy towarzyszy zwiedzających obiekt podczas uroczystości otwarcia. Goście z kilku komitetów, władze miejskie i tak dalej. Zabierając głos podczas uroczystego obiadu, jaki odbył się po zakończeniu części oficjalnej, w sali za

kotarami restauracji „Turystyczna”, towarzysz Czesław Mizera oświadczył:

- Wy go jeszcze nie znacie, naszego Miecia! Chłopak pistolet! W każdym razie jestem pewien, że oddaliśmy obiekt w dobre ręce...

Słowa pierwszego sekretarza sprawdziły się wkrótce. Po kilku zaledwie tygodniach załęczniony M. Seta zmienił się nie do poznania. To był znowu ten sam, dobrze znany obywatelom z R. działacz: człowiek zadowolony z siebie, wypowiadający się głośno, traktujący otoczenie z rubaszną dobroduszością., która niespodziewanie mogła zamienić się w atak gniewu. Potrafił na przykład żartować z młodymi opiekunami zmianowymi, pracownikami naszego zakładu, sypać po prostu żartami na temat kontaktów fizycznych z kobietami (ulubiony temat M. Sety), a w chwilę później odsądzić człowieka od czci i wiary, krzyżeć tak, że na parkingu i wzdłuż dwustumetrowego odcinka ulicy B. Prusa słyszano niecenzuralne słownictwo. Również ton przemówień działacza wygłaszanych w czasie różnych uroczystości, zmienił się wyraźnie. Mówił teraz z podniesioną głową i przestał zerkać na boki, jakby sprawdzając, czy nie gromadzą się naokoło wrogie elementy.

Przyczyna zmiany w postawie byłego działacza-młodzieżowca była prosta: zespół, nad którym objął kierownictwo okazał się zespołem świadomym ciążących na nim obowiązków oraz oddanym całkowicie odpowiedzialnej pracy w ramach, jak mówił M. Seta, dobrze pojętego obowiązku społecznego. Byli to zgrani pracownicy, wykonujący bez sprzeciwu jego polecenia. Momentem przełomowym okazała się zapewne poufna rozmowa z wzorowym pielęgniarzem E. Fulem, pełniącym jednocześnie funkcję zastępcy kierownika placówki. Ten był pracownik Urzędu Celnego (zwolniony za rzekome „nadużywanie stanowiska pracy w celu osiągnięcia korzyści materialnych”), mężczyzna około czterdziestki, drobnej postury, łysy, „za którego dwóch groszy się nie da” (cytujemy pierwsze wrażenie M. Sety), okazał się człowiekiem na właściwym poziomie. Energiczny, pełen twórczych pomysłów, wesoły i jednocześnie odpowiedzialny towarzysz. To on wyposażył tak zwaną salę z pasami w specjalne łóżka, do których można było przywiązywać dowiezionych, on również polecił umieścić w łazienkach gumowe węże do polewania rozrabiaczy. Niezmiennie w dobrym humorze, stukający chodakami z równą energią rano, wieczorem i w nocy - wszędzie obecny, gotów w każdej chwili przyjść z pomocą kolegom pełniącym trudną służbę. W życiu osobistym rozwodnik - ojciec dwojga nieletnich dzieci, nękany przez byłą żonę o alimenty, przez co „tracił czas i zdrowie”, jak mówił.

Poufna rozmowa odbyła się w miesiąc czy dwa po otwarciu i objęciu kierownictwa przez zasłużonego działacza. Byli sami w gabinecie (pora obiadowa) - towarzysz Seta zamierzał udać się na posiłek do bloku przy B. Bieruta, na piechotę, ponieważ fiat 125P

„kogel-mogel” nie zjechał jeszcze z taśmy montażowej, a przydział wozu z puli, o której decydował towarzysz Mizera, nie był podpisany. I jeszcze do bloku, ponieważ jednorodzinny domek na osiedlu Podzamcze, w którym towarzysz M. Seta zamieszkuje obecnie wraz z rodziną, stał wówczas w stanie surowym, bez okien i drzwi oraz częściowo bez dachu.

- Szefie - mógł powiedzieć starszy zmianowy Ful - można dodatkowo zarobić.

- Ja posuwam - odpowiedział normalnie szef. Albo: - Ty mi tu nie posuwaj!

Wtedy prawdopodobnie E. Ful przedstawił prosty plan: - Element przychodzi w stanie upojenia i tak dalej. Noc zalegają w łóżkach, rano żaden nie pamięta. A wielu przecież naładowanych środkami płatniczymi. Na przykład wczoraj jeden chłop posiadał przy sobie dwie paczki: dwieście tysięcy.

Patrzyli na siebie przez biurko, później głos zabrał towarzysz M. Seta:

- Mów, Edek, jaśniej.

- Środki można by tego... - W tym miejscu E. Ful wykonał ruch dłonią w powietrzu, jakby łapał muchę. - To samo jeśli chodzi o inne walory. Czy jasno mówię?

Po tej wypowiedzi zapadło milczenie. M. Seta powiedział w końcu dość zagadkowo: - W każdym bądź razie, Edziu, ja nie chcę o tym nic wiedzieć. Nic!

- Tak jest, szefie! - oświadczył były pracownik Urzędu Celnego. Pochylił się i położył na szklanej płycie kopertę. Następnie opuścił gabinet.

Tak się zaczęło. Towarzysz M. Seta nie zwrócił koperty. Odtąd w soboty zawsze na biurku leżała nowa. Pieniądze, czasem twardy złoty przedmiot. Ciężki sygnet, radziecki zegarek. Czasem zielone papierki. Plon obfity zwłaszcza po pierwszym i piętnastym, kiedy do zakładu trafiali „poborowi”, jak mówili między sobą pracownicy naszej placówki - czyli zatrudnieni w zakładach produkcyjnych po wypłacie. Ponieważ natychmiast udawali się do zakładów gastronomicznych w celu konsumpcji alkoholu, a następnie trafiali do nas - rano wychodzili na ogół bez grosza. Sumy zaoszczędzone w państwowych zakładach gastronomicznych szły do podziału: po dwadzieścia pięć procent otrzymywali Seta, Ful i Kot. Resztę dzielono między młodych opiekunów zmianowych. Ginekolog Lipkowski nie miał stałej działki - raz na miesiąc otrzymywał prowizję w kopercie. Te koperty chował nie zaglądając do środka.

- Ja wiem, co z tego będzie? - zastanawiał się obecnie były działacz analizując sprawę zgwałconych dziewcząt.

Pracownicy nie wyrażali zaniepokojenia.

- A co może być, szefie? - zadał pytanie pielęgniarka. - Najwyżej mogą nam wskoczyć, dobrze mówię, Jasiu?

- O to chodzi - potwierdził dyspozytor. - Edek ma rację. - Następnie poszedł wydawać zdeponowane przedmioty.

Około dziewiątej przeprowadził rozmowę z dowiezionym w nocy Józefem Kamieniakiem.

- Brakuje dwóch tysięcy, towarzyszu - oświadczył Kamieniak po przeliczeniu pieniędzy.

Jan Kot powiedział krótko: - Po pierwsze, raz ci mówiłem: palant dla mnie jesteś, nie towarzyszu! Po drugie, zwracamy wszystko, co do grosza, jasne?

Zmaltretowany magister - z wielkim sińcem, jak pieczęć z orłem, na czole, ze śladami krwi na brodzie i podkoszulku, w szarych kalesonach i dziurawych skarpetkach - stał przed biurkiem dyspozytora i sapał głośno. W płucach coś chrobotало.

- Pobiliście mnie i okradli! - powiedział w końcu.

- Idź na milicję - poradził Kot. - Tu podpisz kartę! - podsunął papiery, które obywatele opuszczający zakład podpisywali. Rachunek oraz krótkie oświadczenie: „Traktowano mnie dobrze, żadnych pretensji nie zgłaszam”.

- A może złożymy melduneczek? Narozrabialiście nieźle. - I Kot mrugnął do Józefa Kamieniaka.

Podobne pytania na ogół skutkowały. Zatrudnionym grożono dodatkowo powiadomieniem zakładu pracy. Rencista-alkoholik pochylił się i skreślił na podsuniętych kartkach podpisy. Depozytor odliczył resztę z tego, co zostało w portfelu. Opłata za pobyt obejmowała koszty noclegu oraz badania lekarskiego (którego nie było).

- Następny! - zawołał Kot w kierunku drzwi, podczas gdy Józef Kamieniak opuszczał pokój.

Tymczasem w gabinecie M. Sety rozmowa na temat uczennic utknęła.

- Posuwać, szefie, dmuchać! - powtarzał Ful.

Stan wyczekiwania i niepewności przerwał huk za oknem. Osowiały towarzysz Seta od razu znalazł się przy parapecie. Po chwili obok stanął Ful.

- To palant! - Wypowiedział się podniesionym głosem kierownik zakładu. Następnie pobiegnął do drzwi.

Starszy zmianowy stał przy oknie. Przyglądał się, jak drugi Fiat - również koloru żółtego, jednak brunatny i poobijany (dlatego budzący skojarzenia raczej z jajkami chłodniczymi) - manewruje usiłując stanąć równolegle do samochodu towarzysza Sety. Przed chwilą uderzył w drzwi tego wozu wgniatając blachę i zrywając listwę boczną. Z manewrującego pojazdu, który po chwili znieruchomiał, wysiadł mężczyzna w skórzanej

marynarce. Był to lekarz ginekolog Lipkowski, na widok którego Ful wykrzyknął zwiijając dłoń w trąbkę: - Będzie polka, doktorze!

Mężczyzna w skórzanej marynarce uniósł głowę i machnął, zrezygnowany, ręką. W tym momencie zza węgła wybiegł towarzysz Seta: - Jak jedziesz, palancie? - wołał. I tak dalej. Powiewając krawatem, w rozpiętej marynarce, trzęsąc wielkim brzuchem, biegł w kierunku żółtych wozów.

E. Ful stał w oknie i śmiał się bezgłośnie. Wulgarne słownictwo słyhać było za rzeką.

Dr Lipkowski przed dwoma miesiącami nabył w tutejszym Wydziale Komunikacji prawo jazdy za pięć tysięcy. Od razu zaczął jeździć swoim nowym fiatem 125P i od razu zaczęły się kłopoty. Wóz tylko co odebrany z POLMO wielokrotnie zawodził (wersja lekarza ginekologa). Doktor uszkodził kilka drzew, kilka latarni, płotów oraz jednego przechodnia. Tylko dzięki stanowisku komendanta MO, pułkownika mgr Zenona Mamuli, którego żona była pacjentką Lipkowskiego, wypadki licznych zakłóceń w ruchu drogowym nie zakończyły się odebraniem prawa jazdy a nawet aresztem. Był to powód do wielu żartów i docinków na temat doktora.

- Ty ginekolog może jesteś dobry - mówił śmiejąc się Seta - ale kierowca, jak laska!

Doktor, mężczyzna młody, krótkowidz (nosił okulary o grubych szklach), przyjmował docinki dobrotliwie. Pracę w naszym zakładzie podjął społecznie, choć pół etatu przyznano. Do izby zaglądał rzadko: pośmiać się, pożartować, hurtem podpisać listę obecności.

- Na telefonie jestem, szefie - mówił do M. Sety, kiedy ten zgłaszał zastrzeżenia. I brał cztery patyki za nic. I jeszcze to, co dostawał w kopertach. A Zakład Opieki Zdrowotnej, gdzie pracował, a prywatna praktyka, a szpital?

- Kozak! - myślał starszy zmianowy Ful z podziwem. - Ten się ustawił w życiu!

Trzeba podkreślić, że na doktora Lipkowskiego zawsze mogliśmy liczyć. Wszelkie obrażenia, jakie zgłaszali najbardziej poszkodowani pacjenci (do których wzywano Lipkowskiego telefonicznie) okazywały się obrażeniami spoza zakładu.

- Nie wiem, o co wam chodzi mówił najczęściej zatroskany. - Wystąpiła amnezja, to jasne. Musieliście przed dowiezieniem narozrabiać. Także funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej - tu doktor zdejmował grube szkła i mrużył oko - nie wychowują dzieci w przedszkolach!

Za plecami starszego zmianowego, na biurku przykrytym szklaną płytą, odezwał się telefon. Wzorowy pielęgniarz podbiegł do aparatu.

- Z towarzyszem Setą! - zahuczał znajomy bas.

Wzorowy pielęgniarz poznał głos pierwszego sekretarza KM naszej partii. Staął w

postawie zasadniczej: - Chwilowo nieobecny w pokoju!

- Powiedźcie, żeby przyszedł do Komitetu. Jak najprędzej!

- Tak jest, towarzyszu sekretarzu! - wyrecytował E. Ful. Stuknął drewnianymi chodakami.

- Palancie! - słyhać było za oknem - Gdzie masz oczy? - I tak dalej.

Rozdział III

Szkoła imienia M. Konopnickiej terenem działalności ośrodków dywersji ideologicznej

Na fasadzie budynku gimnazjum imienia M. Konopnickiej pracownicy fizyczni rozwiesili niedawno czerwony transparent: „Pod przewodnictwem partii młodzież na piątkę zda egzamin życiowy!”. Pod tym hasłem, o godzinie ósmej rano, chłopcy z klasy trzeciej „B” - Krzysztof Biedronka i Zbyszek Makarewicz - rozdawali wchodzącym małe kartki. Nauczycielka PNOS Wanda Szymanek podniosła jedną ze schodów. Chciała podejść do Biedronki, ale ktoś krzyknął za jej plecami: „Konstytucja!”. Było to przezwisko nauczycielki związane z tematem zajęć „rola ustawy zasadniczej w życiu obywateli PRL”. Ostrzeżeni uczniowie uciekli.

Z kartką w ręku, zdyszana, w przekrzywionym berecie i rozpiętym płaszczu - W. Szymanek dotarła do pokoju nauczycielskiego w chwili, kiedy inni nauczyciele rozchodzili się na pierwszą lekcję. W pośpiechu upuściła kartkę obok szafki z dziennikami. Poszła do wyznaczonej planem klasy.

*

Podczas dużej paazy W. Szymanek wzięła udział w zorganizowanej przez obywatel dyrektora akcji usunięcia symbolu religijnego ze ściany sali gimnastycznej. Symbol religijny - krzyżyk wycięty z blachy z wygrawerowanym wizerunkiem Chrystusa - nieznana ręka zawiesiła nad drzwiami, na wysokości trzech metrów od podłogi. O fakcie tym powiadomiła obywatel dyrektor nauczycielka języka rosyjskiego - sekretarz POP - towarzyszka Jadwiga Kaganowicz. Ze względu na wyjątkowo słaby wzrok, sama nie mogła zobaczyć krzyżyka - ktoś towarzyszkę Kaganowicz również powiadomił.

Sprawa usunięcia symbolu religijnego zaprzętała głowy aktywu partyjnego naszej szkoły od kilku dni. Pracownicy fizyczni odmówili udziału w akcji, uzasadniając swoje

stanowisko podeszłym wiekiem oraz sztywną nogą (w wypadku dozorca). Woźna, obywatelka Zofia Wnuk, rozpląkała się słysząc polecenie:

- Czegoś takiego w życiu nie zrobię, towarzysz dyrektor. Wolę już pójść na rentę.

W tej sytuacji dyrektor naszego gimnazjum podjęła decyzję usunięcia symbolu przy pomocy zaufanych koleżanek z grona pedagogicznego.

Ekipa wyruszyła do sali gimnastycznej o godzinie 10.30. Na czele szła towarzyszka Halina Mizerowa - aktywistka-działaczka, żona pierwszego sekretarza KW naszej partii. W różowej bluzce, przez którą przeświecał stanik, z mocno podkreślonymi wargami, jakby w kształcie serca, otoczona zapachem wody kwiatowej „Zielone jabłuszko”, której nadużywała. Do zapachu kosmetyków, jaki towarzyszył H. Mizerowej, gdziekolwiek przybyła, nawiązywały napisy w sanitariatach szkolnych. Napisy te osobiście usuwały ze ścian nauczycielki z aktywu partyjnego - przede wszystkim towarzyszka Kaganowicz. Z niewielkim skutkiem: wroga ręka wypisywała nowe hasła.

- Może mamy ukrytą kamerę zainstalować? - zastanawiał się aktyw.

Wanda Szymanek śmiała się po kryjomu z tego projektu.

Jako druga w grupie szła sekretarz POP. W granatowej bluzce z białym żabotem, w grubych szklach, za którymi nie widać było oczu. Drobnym kroczeniem - jak mysz przemykająca się pod ścianą. Za nią podążała Wanda Szymanek - podobnej postury, jak towarzysz dyrektor - w niebieskim swetrze i spodniach. Ponieważ łatwo ulegała zadyszkom - i teraz szła zasapana. Woźna Zofia Wnuk - siwa kobieta w granatowym fartuchu - szła ostatnia.

Jak opowiadała później Wanda Szymanek - po przybyciu na miejsce nauczycielki ustawiły piramidę złożoną ze stołu, stołka i krzesła. Przy ścianie - w miejscu, gdzie wisiał krzyżyk. Następnie na stół weszła osobiście towarzysz dyrektor podsadzona przez dwie nauczycielki. Kiedy chciała wejść wyżej, obsunęła się noga krzesła. Pod ciężarem towarzysz dyrektor krzesło i stołek spadły na podłogę. Sama H. Mizerowa, z okrzykiem „Jezus, Maria!”, uklękła ciężko na stole. Stłukła kolano i podarła rajstopy.

Po tej nieudanej próbie, do akcji przystąpiła najlżejsza z trójki - J. Kaganowicz. Stała na chybottliwym krześle, które trzymały z dwóch stron towarzyszki z aktywu. Wspięła się na palce i zdjęła blaszany symbol.

- Brawo, dziękujemy koleżance! - powiedziała zadowolona H. Mizerowa. Na rozłożonej dłoni towarzysz dyrektor mały krzyżyk błysnął, jak srebrna rybka.

Zofia Wnukowa płakała. Towarzyszka Mizerowa wręczyła jej krzyżyk ze słowami: - Niech Wnukowa to weźmie i w domu powiesi. A płakać nie trzeba, nasza szkoła to nie

kościół!

Po wykonaniu zadania ekipa opuściła salę gimnastyczną i skierowała się do gabinetu towarzysza dyrektora.

- To wtedy - opowiadała później W. Szymanek - ta głupia Kaganowicz wyjechała z ulotkami...

Siedziały przy biurku, na przysuniętych krzeselkach. Sekretarka Lusja przyniosła kawę. Zapach kawy przyćmił zapach „Zielonego jabłuszka”.

- Towarzysz dyrektore, muszę towarzysza dyrektora zmartwić - powiedziała podobno sekretarz POP. Spod białego żabotu wyjęła kilka złożonych kartek. Rzuciła na biurko: - Proszę, czytajcie! To się po prostu w głowie nie mieści.

Wanda Szymanek opowiadała Kamieniakowi, że od razu pomyślała o chłopcach z trzeciej „B”. Były to takie same kartki, jak ta podniesiona ze schodów i upuszczona obok szafki z dziennikami. Papier w kratkę - wszystkie pisane ręcznie, niektóre przez kalkę. Wzięła jedną i zaczęła czytać:

„Młodzieży polska, nie wierz sloganom! Partyjni kłamią! Nie wierzcie w „przyjaźń” , „braterstwo” ze Związkiem Radzieckim. Nie wierzcie w „sprawiedliwy ustrój”! Pamiętajcie: ten reżim był przyniesiony na ruskich bagnetach! Władza należy do zdrajców, którzy posłusznie wykonują rozkazy Moskwy. Młodzieży polska, nie ufaj partii! Partia to spadkobierca Targowicy! Nie dajcie się okłamać! Walcząc z kłamstwem, walczysz o wolność! Niech żyje niepodległa Polska! Precz z komuną! Przeczytaj, przepisz, daj innym do przeczytania! Podpisane: Komitet Wolnej Młodzieży Polskiej”.

- W głowie się nie mieści, w głowie się nie mieści! - powtarzała J. Kaganowicz.

- Wiesz, Józiu - opowiadała Wanda Szymanek w czasie przedostatniego spotkania z magistrzem - tej Mizerowej aż twarz poszarzała. Ona, ze swoją partią! To się naprawdę w głowie nie mieści.

- Pierwszą znalazłam w pokoju nauczycielskim. Dwie leżały w toalecie, trzy na schodach, reszta na korytarzu, towarzyszu dyrektore! - wyliczała Jadwiga Kaganowicz. - Zrobiłam obchód jak pierwszą znalazłam.

- Proszę, do czego są zdolni! - oświadczyła pobladała Halina Mizerowa. - Kto mógł do waszego pokoju podrzucić?

- Masz ty pojęcie, Józiu? - śmiała się Wanda Szymanek. - Może miałam powiedzieć? Od razu zaczęły mówić o wrogich ośrodkach, dywersyjnych rozgłośniach, CIA i tak dalej. Jak coś wtrącałam nie chciały słuchać.

- Magistr Miłanowicz czytał to głośno, towarzyszu dyrektore - poinformowała Jadwiga

Kaganowicz.

- Mógł czytać gazetę, Jadziu - powiedziała Wanda Szymanek. Przypomniała sobie, że młody matematyk rzeczywiście czytał coś półgłosem. Ale to było w pokoju nauczycielskim, na drugim końcu zielonego stołu - nie słyszała dobrze słów. O kartce nie pomyślała. Potem poszły z koleżanką Kaganowicz zdejmować srebrny krzyżyk.

- Gazetę, gazetę! Sam się chwalił, że słucha wrogich rozgłośni! Jaki on może mieć wpływ na naszą młodzież, towarzysz dyrektor?

- Radźcie, moje drogie - przerwała spór Halina Mizerowa. - Osobiście uważam, że należy powiadomić organa.

- Tak jest, jak najbardziej! - ucieszyła się towarzyszka Kaganowicz. - W przeciwnym wypadku zaczną z okien rozrzucać. Mam rację?

Wanda Szymanek milczała. - Ja tam się nie wypowiadałam, Józiu. Chcą, niech meldują. Ich sprawa.

- W ogóle, towarzysz dyrektor, atmosfera w szkole jest zła - mówiła sekretarz POP. - Ten symbol, napisy w ubikacjach. Miłanowicz. Teraz doszły ulotki.

- Co piszą w sanitariatach? - zainteresowała się towarzyszka Mizerowa.

- To co zawsze, towarzysz dyrektor. Na towarzysz dyrektor najgorsze wyrazy. Sama dziś usuwałam ze ścian.

W gabinecie zapadło milczenie. Surowo, z namysłem w skośnych oczach, spoglądał na aktyw nauczycielski towarzysz Lenin. Z portretu nad biurkiem Haliny Mizerowej.

- Radźcie, koleżanki - powtórzyła zasłużona pedagog. Odczytała ponownie wrogi tekst. Ulotka lekko drżała jej w palcach. Zamigotał niebieski kamień na radzieckim pierścionku. - Może jeszcze zaczekać?

- Meldować, towarzysz dyrektor. Meldować! To przecież w głowie się nie mieści!

- Wysłałam z gabinetu przed dzwonkiem - opowiadała Wanda Szymanek. - Przy mnie jeszcze nie meldowały. Musiały niedługo potem.

*

Może około jedenastej, kiedy pułkownik magister Mamula, kamendant tutejszej MO, powrócił z krótkiej narady w KM naszej partii? Zadzwoił telefon. Pułkownik położył na biurku okrągłą czapkę milicyjną i podniósł słuchawkę.

- Niech pułkownik tylko posłucha - powiedziała od razu Halina Mizerowa - co nam tu w szkole rozrzucają! - Zaczęła czytać wrogi tekst.

Po zdaniu „Młodzieży polska, nie ufaj partii!”, komendant MO przerwał: W porządku, towarzysz dyrektor. Wszystko jasne. Sprawę prześlemy towarzyszom z bezpieczeństwa.

Wkrótce po tej rozmowie podniesiona ze schodów kartka (pod transparentem „Pod przewodnictwem partii młodzież na piątkę zda egzamin życiowy!”) znalazła się w kartonowej teczce, na której szef tutejszej SB, major mgr T. Dolatek, napisał czerwonym mazakiem: „Wrogie ulotki znalezione na terenie szkoły im. M. Konopnickiej”.

- Niedźwiadku - zaniepokoiła się Wanda Szymanek - oni jeszcze ciebie wrobią w te ulotki!

Rozdział IV

Błędy i wypaczenia naszej partii, sił porządkowych oraz zasłużonych działaczy - tematem konstruktywnej rozmowy

Pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczący Okręgowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, wiceprzewodniczący Komitetu Obrońców Pokoju, radny - przewodniczący Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, wiceprezes Zarządu Okręgowego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, członek Sztabu Wojewódzkiego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz innych organizacji społeczno-politycznych - towarzysz Czesław Mizera - od godziny dziewiątej rozmawiał z komendantem tutejszej Milicji Obywatelskiej, wiceprzewodniczącym Okręgowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, przewodniczącym Komitetu Obrońców Pokoju, prezesem Okręgowego Zarządu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, radnym - zastępcą przewodniczącego Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, komendantem Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, zastępcą komendanta Sztabu Wojewódzkiego, aktywnym członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz działaczem wielu innych organizacji - towarzyszem pułkownikiem magistrem Zenonem Mamulą.

Towarzysz Czesław Mizera urodził się 21 października 1924 roku w rodzinie chłopskiej na Kielecczyźnie. W latach wczesnej młodości pomagał rodzicom przy gospodarstwie. Po zakończeniu działań wojennych podejmuje naukę w szkole zawodowej. Jeszcze jako uczeń rozpoczyna aktywną działalność w szeregach ZWM. Po kongresie zjednoczeniowym partii robotniczych wstępuje do PZPR. Wkrótce rozpoczyna pracę w aparacie partyjnym na stanowisku instruktora. Działa na odcinku młodzieżowym. W roku 1970 zostaje powołany na stanowisko sekretarza KM PZPR w naszym mieście. Odznaczony

medalem trzydziestolecia, krzyżem kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz krzyżem Sztandaru Pracy drugiej klasy. Żonaty, ojciec dwojga dzieci.

Towarzysz Zenon Mamula urodził się 1 listopada 1925 roku w rodzinie robotników rolnych koło Tarnowa. Po zakończeniu działań wojennych zaciągnął się do szeregów Milicji Obywatelskiej. W latach 1946-49 bierze udział w walkach z reakcyjnym podziemiem. W 1961 roku awansuje na kapitana, a w 1967 na majora. Zajmuje kolejno stanowiska: zastępcy naczelnika wydziału oraz naczelnika wydziału w KW MO. W roku 1972 powołany na stanowisko komendanta KM MO w naszym mieście - stanowisko to piastuje do dziś. Towarzysz Mamula z powodzeniem godzi obowiązki służbowe z nauką. W roku 1974 kończy studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu imienia M. Curie-Skłodowskiej. Ma tytuł magistra. Jest żonaty, posiada dwoje dzieci.

Rozmowa prowadzona w dniu dzisiejszym w gabinecie towarzysza Czesława na pierwszym piętrze Komitetu Miejskiego naszej partii, przebiega w szczerzej i serdecznej atmosferze. Towarzysze zajmują fotele przy małym stoliku w kącie gabinetu, obok donicy z palmą. Pierwszy sekretarz nalewa do pękatek kieliszków radziecki koniak. Ze ściany nad biurkiem, po drugiej stronie gabinetu, spogląda na obecnych pierwszy przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, przywódca międzynarodowego proletariatu, założyciel partii bolszewickiej, twórca państwa radzieckiego - Włodzimierz Iljicz Lenin (z portretu w połączanej ramie formatu 100 x 120 cm).

W czasie szczerzej wymiany zdań towarzysze-działacze często używają „odpowiedniego” słownictwa, które (podobnie jak Józef Kamieniak) zastępujemy słownictwem umownym. Rozmowa może mieć przebieg następujący:

- Co ten twój Seta, palant, sobie myśli? - pyta pułkownik Zenon Mamula, towarzysz jakby pozbawiony szyi (nr kołnierzyka 48 - duża głowa na karku przypominającym pień u nasady). Ostrzyżony na jeża, z policzkami o niebieskim połysku po goleniu. Na mundurowej kurtce baretki licznych odznaczeń. - Jak mu ten Adamowicz przyładuje, to się nie pozbiera.

- Tak jest - potakuje Czesław Mizera, działacz podobnej postury, z wielkim brzuchem i dużymi rękami. Ma jasne włosy i wypukłe oczy. Granatowa marynarka rozpięta, świeci srebrny guzik. - Nie jest dzieckiem.

- Zachowuje się, jak dziecko.

- Tak jest. Zgadza się z tobą w tym punkcie.

Pauza. Towarzysze sięgają po pękate kieliszki. Radziecki koniak pachnie jakby goździkami. Rozmowa dotyczy „przelecenia”, jak mówi starszy zmianowy Ful, dwóch uczennic. Wspomniany przez pułkownika Mamulę ojciec jednej z nich, jest zastępcą

dyrektora departamentu w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Okoliczność ta budzi uzasadniony niepokój towarzyszy.

Po przerwie pierwszy zabiera głos pułkownik Mamula: - Ty, a może tego Setę, wiesz: hopla!

- Daj spokój. To swój chłop.

- Popelnia podstawowe błędy.

- Każdy popelnia błędy - stwierdza Czesław Mizera.

W tym momencie do gabinetu wkracza kierownik Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n., były sekretarz Komitetu Wojewódzkiego w R., radny - członek Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, działacz Frontu Jedności Narodu, Komitetu Obrońców Pokoju, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz innych organizacji - towarzysz Mieczysław Seta, którego działalność ma być przedmiotem konstruktywnej rozmowy. Przybyły zdecydowanym krokiem podchodzi do siedzących, wita się przez podanie ręki, a następnie przesuwa krzesło spod ściany i siada (trzeciego fotela nie ma).

- Nareszcie, Mietek - mówi sekretarz Mizera. - Jak wiesz, Zenek ciągle zajęty, a ty kładziesz łaskę na sprawę!

Po tym zagajeniu kark towarzysza Sety czerwienieje. - Ja osobiście również mam problemy na głowie - stwierdza. - O co chodzi?

- Adamowicz chce na was sankcji prokuratora.

Towarzysz Seta: - Ciekawe za co?

Towarzysz Mamula: - Sprawa ewidentna. Wasi ludzie gwałcą dziewczyny w czasie pełnienia obowiązków służbowych, w pomieszczeniach państwowych i tak dalej. Towarzysz kierownik o tym nie wie?

Towarzysz Seta: - Obie perlice były pijane. Czego ten Adamowicz przed dowiedzeniem nie pilnował?

Towarzysz Mizera: - Posłuchaj, Mietek. Gość może sprowadzić Prokuraturę Generalną, NIK nie NIK i tak dalej. Musisz do niego pójść.

Towarzysz Seta: - Ja, ja?

Towarzysz Mamula: - A kto? Jak gwałciliście, to teraz przepraszajcie.

M. Seta - Tylko nie tak, pułkowniku. Tylko nie ja. Ja tych małych na oczy nie widziałem.

C. Mizera: - Gość jest w hotelu, pokój ci podam. Bierz butelkę, kopertę i wal. Ja cię będę uczył?

Seta: - Nigdy w życiu!

Mamula: - To was ten Adamowicz posadzi. Ewidentna sprawa.

Chwila milczenia. Zasłużony działacz sięga po butelkę gruzińskiego koniaku. Nalewa do kieliszka stojącego przed towarzyszem Mizera. Nie proszony bierze kieliszek i upija łyk.

Swobodne zachowanie może zirytować pierwszego sekretarza: - Ty, Mietek, posłuchaj! Ja cię nie będę bronił. Ja ci udowodnię dodatkowo te wasze koszalki-opalki z depozytorem, wiesz, to się nie zobaczymy wcześniej, jak za dziesięć lat. Dobrze mówię, pułkowniku?

Pułkownik mgr Mamula kaszle znacząco.

Aluzja do koszalków-opalków z depozytorem Kotem wywołuje ostrą wypowiedź M. Sety: - A tobie, Czesiek, ile się należy za tego człowieka, co go rozjechałeś na śmierć? Tak lekko liczę pięć lat, albo i więcej, jakby sprawa ruszyła z miejsca.

Towarzysz Mizera patrzy swoimi wypukłymi oczami na kierownika zakładu wytrzeźwień. Przez chwilę nic nie mówi. Napomknięcie o wypadku, jaki miał miejsce, przy aktywnym udziale sekretarza, przed dwoma laty, kiedy to (na skutek spożycia alkoholu) towarzysz Czesław zbyt późno zauważył przed własnym pojazdem obywatela zataczającego się po środku drogi publicznej E-22 - jest grubiaństwem, które należy pozostawić bez komentarza. W wyniku wypadku potrącony obywatel zmarł. Śledztwo umorzono.

- Jaka sprawa? O co mu chodzi? - zabiera głos pułkownik Mamula. - Ty, Czesiek, ja dobrze radzę: trzeba go hopla!

- Pułkownik też nie święty - stwierdza w odpowiedzi kierownik Seta - kto strzelał do zająca?

Komendant naszej MO nie odpowiada. Kręci wielką głową na karku-pniu, jakby kołnierzyk nr 48 był za ciasny. Aluzja do tego zająca nawiązuje do sprawy głośnej przed rokiem, kiedy to pułkownik - zapalony myśliwy - zbyt późno zorientował się (zapewne również pod wpływem alkoholu), że zając przemykający wzdłuż płotu, koło leśniczówki, jest kilkuletnim chłopcem - synkiem leśniczego. Zawracając raptownie z ganku, na który wyszedł, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Mamula wbiegł do sieni, zdjął wiszącego na pasie Iza kaliber siedem sześćdziesiąt dwa, wrócił i strzelił między krzaki porzeczek i agrestu, pod płot. Krzyk chłopca, którego po chwili podnieśli z ziemi, świadczył o pomyłce.

W gabinecie zapada milczenie. Towarzysz Lenin spogląda skośnymi oczami na obecnych. Na biurku sekretarza dzwoni telefon, ale Mizera nie wstaje, aby podnieść słuchawkę. Telefon po chwili milknie. W krtani pułkownika Mamuli lub towarzysza Sety, jakby coś bulgotało.

Ciszę przerywa Mizera: - Co proponujesz, Mietek?

Towarzysz Mieczysław wyciera chusteczką pot z czoła. - Ja was mam uczyć? Pułkownika? Ciebie? Macie na miejscu Talarka, ojca tej drugiej. Talarka przycisnąć, jasne. Z Talarkiem nie umiecie pogadać? - I M. Seta parska cienkim śmiechem, jakby zaczynał mutację.

Pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczący Okręgowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, wiceprzewodniczący Komitetu Obrońców Pokoju, radny - przewodniczący Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, wiceprezes Zarządu Okręgowego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, członek Sztabu Wojewódzkiego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz innych organizacji - towarzysz Czesław Mizera spogląda na komendanta tutejszej Milicji Obywatelskiej, wiceprzewodniczącego Okręgowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, przewodniczącego Komitetu Obrońców Pokoju, radnego - zastępcę przewodniczącego Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, komendanta Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, prezesa Okręgowego Zarządu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, zastępcę komendanta Sztabu Wojewódzkiego, aktywnego członka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz działacza innych organizacji społeczno-politycznych - pułkownika magistra Zenona Mamulę, a po chwili, jakby z uznaniem, na zasłużonego działacza społeczno-politycznego, kierownika Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n., byłego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w R., aktywnego członka Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, działacza Frontu Jedności Narodu, Komitetu Obrońców Pokoju, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, itd. - towarzysza Mieczysława Setę. Zwracając się bezpośrednio do towarzysza Mieczysława mówi: - Weź kieliszek z szafki, Mieciu. Z mojego chcesz pić?

Rozdział V

Elementy pasożytnicze podejmują działania wymierzone w ład i porządek

Po opuszczeniu „przechowalni” J. Kamieniak udał się do baru „Kubanka” przy placu Zwycięstwa. Plac Zwycięstwa znajduje się, jak wiadomo, w centrum naszego miasta, w pobliżu dworca PKP. Z tego powodu w oszklonym pawilonie, nad którym wieczorami świeci różowy neon, od wczesnych godzin porannych dopisuje frekwencja. Gwar rośnie po

dziewiątej, kiedy przywożą piwo „Warka”. Butelki podzwaniają w skrzynkach rzucanych przez konwojentów. Od tej chwili między konsumentami a kierowniczką-kasjerką panią Hanką rozpoczyna się nigdy nie rozstrzygnięty spór: ile porcji fasolki lub bigosu należy wykupić do pobranych butelek? Piwo w „Kubance” jest dodatkiem do konsumpcji.

Podobnie było w dniu dzisiejszym, kiedy J. Kamieniak - w zmiętej marynarce, w pilśniaku zsuniętym na tył głowy, z widocznym z daleka siniakiem na czole - zatrzymał się zasapany w drzwiach. Klęby tytoniowego dymu oraz pary z kuchennych okienek wypełniały lokal. Podzwaniały butelki. Wiało ciepłym zaduchem.

Po chwili ktoś krzyknął z głębi sali: - Te, Las Vegas, magister!

Przy stoliku pod zaparowanym oknem (obok stał wózek ze stertą brudnych naczyń) siedzieli znajomi przedstawiciele marginesu. Byli to:

Bogumił Kwiatek, znany jako „Las Vegas” od zawołania „te, Las Vegas!”, którym przywołał magistra. Z długimi włosami koloru blond, wiszącymi jakby w strąkach, wypłowiałych džinsach i starej kamizeli z teksasu - Buguś Las Vegas, lat 28, nigdzie nie zatrudniony, zasadniczo bez stałego miejsca zameldowania (mieszkający kątem u szwagra), był stałym klientem baru „Kubanka” oraz innych zakładów gastronomicznych na terenie miasta.

Następny z obecnych: Stanisław Nalewajko alias „Rewizjonista”. Mężczyzna czterdziestoletni, chudy, z siwą czupryną, którą przyczesał co pewien czas szybkim ruchem rozczapierzonych palców. Palił „Radomskie” w szklanej cygarniczce. Siedział w rozpiętym prochowcu poplamionym olejną farbą. Rewizjonistą zwany z powodu dyskusji, jakie toczył z Marksem-Kamieniakiem.

Trzecim znajomkiem był Zenon Kujawski zwany „Fajerantem”. Powiedzenia „na dziś fajerant” używał po przybyciu do baru z placu budowy. Znany także jako „Szklaneczka”, ponieważ posiadał umiejętność gryzienia i połykania szklanek, podczas konsumpcji połączonej ze spożyciem alkoholu. W zielonym swetrze-golfie, z kilkudniowym zarostem - Z. Kujawski był typowym przedstawicielem pracowników fizycznych zatrudnionych w PRB „Budopol”. Nie odzywał się często, natomiast łatwo ulegał atakom chrapliwego śmiechu. Posiadał duże poczucie humoru.

Czwartym konsumentem był zbieracz odpadków wtórnych - Janek Dykta, zwany również Jagodzińskim. Przewiska nawiązywały do uzależnienia od „dykty” albo „jagodzianki na kościach”, czyli denaturatu produkcji PMS. J. Jagodziński pijał „dyktę” w dniu dziesiątego każdego miesiąca oraz w ciągu kilku następnych dni po odebraniu renty. Żył później „z przyzwyczajenia” jak mówił Kamieniak - spijając piwo na opuszczonych stolikach,

zjadając resztki z talerzy, prześladowany przez kelnerki, sprzątaczkę i bufetowe wszystkich zakładów gastronomicznych. W starej rogatywce zsuniętej na oczy, płaszczu-kapocie przewiązanym sznurkiem oraz butach owiniętych foliowymi torbami (w celu uniknięcia przemoczenia nóg) - J. Jagodziński spał ze zwieszoną ręką wydając co pewien czas cichy bulgot.

Stojąc obok stolika zastawionego butelkami oraz talerzykami zastygłej fasolki po bretońsku - Józef Kamieniak od razu sięgnął po piwo. Wypił odchylając głowę i głośno odmierzając każdy łyk. Następnie przywitał się z obecnymi (opuszczając śpiącego Jagodzińskiego). Usiadł na podsuniętym przez Bogusia krzeselku.

- Te, Las Vegas, magister! Kto cię tak urządził? - zadał pytanie Las Vegas. Wstał, żeby obejrzeć siniec przypominający fioletową pieczęć z orłem. Na brodzie Kamieniaka szklily się czarne paciorki zakrzepłej krwi.

J. Kamieniak chwilę siedział sapiąc i rozglądał się po sali. Jak zgodnie podkreślają świadkowie, był bardzo wzburzony.

- Aby człowieka zmienić, należy zmienić okoliczności! - oświadczył na wstępie. - Tego uczą klasycy. Przeżytki starego tkwią w okolicznościach. Nie wystarczy likwidacja prywatnej własności środków produkcji...

- Do kogo ta mowa? - zapytał Rewizjonista-Nalewajko. - Ledwo przyszedł, zaczyna swoje. Skończ, Józek, na litość Pana!

- Taka jest prawda - mówił tymczasem Kamieniak. - Czy pamiętacie drugie prawo materializmu historycznego?

- Zadzwoń do Komitetu, jak zapomniałeś - poradził Nalewajko.

- Ty, Boguś - kontynuował magister - aby zmienić się i zacząć uczciwie żyć, musisz pojechać do Związku Radzieckiego. Mnie, koledzy, wystarczy pobić i okraść!

Dopiero ta wypowiedź poruszyła słuchaczy.

- Byłeś na Prusa?

- Nocowałeś w „przechowalni”?

- Kiedy cię wzięli?

- Który cię pobił? - zasypali Józefa Kamieniaka pytaniami.

- Nicpoń go skopał - oświadczył chrapliwym szeptem Fajerant-Szklaneczka - Tymi półbutami, nie?

- Taka jest prawda! - oświadczył magister Kamieniak.

Następnie dokładnie opisał środki przymusu, jakim podlegał w „przechowalni”. Z przyciśniętymi do tułowia rękami biegał naokoło stolika demonstrując zabawę „w

odrzućanego”. Balansując rękami pokazał, jak był kopany. Mówił o konfiskacie renty, kłótni z J. Kotem, odmowie przeliczenia banknotów. I tak dalej. Rzucił ceratowy portfel na stół.

- Każdy z was może sprawdzić. Pusty.

Na zakończenie wypił piwo: - To ostatnia butelka, jaką piję w bm. - powiedział głośno. Zabułgotało.

Od tego momentu, jak twierdzą świadkowie, miał zacząć wrogą agitację.

- Czas skończyć z rządami łobuzów! - wykrzykiwał podobno krążąc między stolikami. Rozpytywał o przeżycia w „przechowalni”. Doznane obrażenia. Rzekome kradzieże. Cały czas wzburzony, wywijał butelką. Na rudej brodzie, jakby wplecione, czarne paciorki krwi.

- Wyglądał jak ranny niedźwiedź - powiedział któryś z konsumentów.

- Banda łobuzów, złodzieje, sadyści! Musimy z nimi inaczej gadać! Taka jest prawda!

Na marginesie tej „kampanii wrogich oszczerstw”, jak powiedział później na zebraniu egzekutywy towarzysz M. Seta, trzeba przyznać, że trafiła ona na podatny grunt. Jeżeli wierzyć konsumentom zgromadzonym w barze - wszyscy doświadczyli „brutalnej i bezprawnej działalności” (J. Kamieniak) stykając się z „użyteczną i społecznie niezbędną pracą” (tow. M. Seta), - tej „neofaszystowskiej bandy” (J. Kamieniak), czyli „bezinteresownie poświęcającego się personelu” (M. Seta). Byli tam pobici, którzy rzekomo stracili uzębienie, mieli odbite nerki, połamane żebra, dziury w głowie, i tak dalej. Zatrudnieni, którzy stracili dniówki, którym odmówiono wypłaty zasiłku, wyrzuceni z pracy, pozbawieni poborów i rent. W tej sytuacji „wrogie wystąpienie” musiało się spotkać z „żywym oddźwiękiem”, jakby napisano w organie naszej partii.

Po wejściu na stół, J. Kamieniak uciszył zebranych wołając: - Cisza, koledzy towarzysze! - Następnie wołał: - Jak wiecie w „przechowalni” na Prusa biją i kradną! Każdy z nas podlegał tam różnym represjom z kopaniem chodakami po żebrach i przyrodzeniu! Taka jest prawda!

- Taka jest prawda! - powtórzyli niektórzy.

- Proponuję, koledzy-towarzysze: koniec bicia! Koniec rządów tej neofaszystowskiej bandy! Wielu z nas nadużywa alkoholu. I to prawda, ale czy legalne nadużycie jest przestępstwem? Jesteśmy tylko ludźmi!

Naokoło potakiwano, wielu wstało, żeby podejść bliżej agitatora. Ciasno otoczyli wózek z brudnymi talerzami i stertą butelek po piwie: kolejarze w zmiętych mundurach, urzędnicy z Urzędu Miasta, robotnicy z przedsiębiorstw budowlanych. Chłopi. Kolesie urodzeni w niedzielę. Wszyscy z oddechem przepojonym winem „Wino” - niewyspani, nieogoleni, o szarych jakby twarzach, trzęsącymi palcami przypalający połówkę „Sporta”, z

czerwonymi oczami, zdartymi strunami. Uzależnieni, jak pisano w gazetach. Organizatorzy „zrzutek” na placach targowych, w bramach, nad rzeką: na „patykiem pisane”, na browar, dyktę, szkło. Wszyscy spod znaku „półela”.

- Proponuję „Manifest”! - zawołał do nich Kamieniak. - Będziemy zbierać podpisy! Złożymy petycję z żądaniem likwidacji „przechowalni”! Albo niech zmienią personel!

W tym miejscu stracił równowagę. Zamachał rękami. Boguś Las Vegas pomógł mu zejść. Naokoło klaskano.

Kiedy oklaski umilkły, rozległ się głos kasjerki: - Co tam za wiec pod oknem? Pani Krysia, niech pani uspokoi tego z brodą!

Mimo to, jak zeznawano później, wokół Kamieniaka zaczęli gromadzić się konsumenci. Odpowiadał na pytania. Wszyscy mówili o własnych przeżyciach, rzekomych obrażeniach, kradzieżach, szykanach.

- Notuj, Boguś! - mógł powiedzieć. Tak się zaczęło: na kartce wyrwanej z zeszytu Las Vegas zanotował pierwsze nazwiska.

Nielegalną działalność zakłócił incydent z Dyktą. W chwili, kiedy przybyła z kuchni sprzątaczką roztrąciła element popychając brzuchem wózek - Dykta chciał wstać. Krysia-sprzątaczką - w brudnym chałacie i trepach na bosych nogach - chwyciła go za rękę: - Siedź, kocmołuchu!

- Potem krzyknęła w kierunku bufetu: - Pani kierowniczo, pani pozwoli!

Jak się okazało, pod krzesłem Jasia zobaczyła kałużę. Kiedy kierowniczką podeszła, Krysia rozchyliła poły kapoty Dykty, który posłusznie wstał: - Proszę, pani Haneczko, złał się!

- Dno! - oświadczyła kierowniczką baru. Następnie osobiście zamknęła drzwi wejściowe i poszła na zaplecze dzwonić po radiowóz.

Tymczasem Janek-Dykta krążył po sali-klatce. Bulgotał bezradnie szarpiąc klamką zamkniętych drzwi. Obecni doradzali: - Mów, że rozlałeś piwo.

- Jasne, stłukłeś butelkę.

- Z deszczu naciekło przez okno.

- Ty, spróbuj przez kuchnię...

W drzwiach kuchni czekała Krysia. Nie pomogła „zrzutka”: Las Vegas zebrał do kapelusza J. Kamieniaka osiemdziesiąt pięć złotych. Krysia tylko wzruszyła ramionami: - A na co mi? Niech go nauczą!

Nadjechał radiowóz. Funkcjonariusze wkroczyli do sali. Jasiu Dykta (przy którym nagle zrobiło się pusto) został ujęty pod łokcie. Szedł w tej starej rogatywce, powłócząc

foliowymi torbami. Konsumenci patrzyli przez zaparowane szyby jak funkcjonariusze wsadzają Dyktę do nyski. Radiowóz odjechał.

Pracę agitacyjną przerwano.

*

Jak wiadomo oprócz baru „Kubanka” działalność gastronomiczną w naszym mieście prowadzi dużo innych zakładów, jak na przykład: bar „Dworcowy”, bar „Piwosz” w nowej dzielnicy mieszkaniowej, restauracja „Muszelka” przy ulicy gen. Świerczewskiego oraz „Zamkowa” przy ul. Bieruta. Bar „Antek”, restauracja „Na szlaku” po drugiej stronie rzeki. „Myśliwska”, bar „Pod gruszą”. I tak dalej.

Rozpoczynając poszukiwania J. Kamieniaka Wanda Szymanek obeszła - kilka spośród wyżej wymienionych zakładów. Około dziewiętnastej znalazła magistra w zadymionej sali „Zamkowej”. W towarzystwie Rewizjonisty i Bogusia kończył pierwszą wersję odezwy skierowanej do obywateli legalnie nadużywających alkoholu. Odezwa miała formę „Manifestu Komunistycznego”.

- Kamyczku - ucieszyła się W. Szymanek - jesteś! - I zaraz, patrząc na wielki siniak, jak pieczęć z orłem, dodała: - Mój Boże, co oni ci zrobili?

*

Jak obecnie wiadomo Marks-Kamieniak ukończył „odezwę” w mieszkaniu nauczycielki, dokąd nieformalna grupa przeniosła się z restauracji. Wkrótce odczytał zebrany następujący tekst:

„Widmo obywateli nadużywających alkoholu krąży po naszym mieście - widmo pobitych i maltretowanych! Wszystkie ciemne siły połączyły się w świętej nagonce przeciwko temu widmu: partia i urzędy, funkcjonariusze MO i personel zakładu wytrzeźwień!...” - Po opisaniu kilku wypadków nadużycia środków przymusu fizycznego oraz kradzieży, „Manifest” kończył się wezwaniem: „Nadużywający legalnie alkoholu, łączcie się!”

- Niesmaczne żarty - oświadczył Rewizjonista. - Zostaw w spokoju ten „Manifest”! Napisz po ludzku parę słów.

- I tak wrzucą do kosza - stwierdził magister.

- Las Vegas - śmiał się Boguś - do nich trzeba ich językiem! Taka jest prawda, nie?

- Jego zawsze trzymają się żarty - mówiła Wanda Szymanek. - Po co błaznujesz? Pan Stasiu ma rację: trzeba po ludzku. Za takie głupstwa posadzą was w więzieniu.

Nie zważając na rzeczową opinię, J. Kamieniak przepisał nieodpowiedzialny tekst. Las Vegas sporządził listę poszkodowanych (na podstawie notatek z baru „Kubanka”). W

rubrykach „imię i nazwisko”, „zawód” oraz „rodzaj wyrządzonej szkody”, wyszczególnił niezbędne dane.

Jak wynika z późniejszych zeznań, na tym nielegalną działalność zakończono.

*

Nastąpiło zrozumiałe odprężenie, w ramach którego, obecni w mieszkaniu nauczycielki, mieli spożywać alkohol. Po wypiciu pierwszej szklaneczki magister Kamieniak zapomniał o „przechowalni”. Zdjął marynarkę. Ze szklaneczką w ręku wstał.

„Hej, razem z nami, dotrzymaj kroku,

Splata nam ręce braterska więź!...” - zaintonował swoją ulubioną pieśń z czasów aktywnej działalności w ZMP (czyli „Radosny marsz komuchów”, jak mówił Rewizjonista). W rudej brodzie i okularkach połyskiwało światło lampy. Goście siedzieli przy okrągłym stole, na którym gospodyni ustawiła półmiski z sałatką i wędliną. Zielony abażur kołysał się nad stołem.

„Wrogom wolności wzniesiona pięść!” - śpiewał J. Kamieniak schrypniętym basem. Potrząsał pięścią nad głowami obecnych.

Tego wieczoru W. Szymanek kilka razy schodziła do piwnicy, gdzie - oprócz zapasów „Stołowej” - trzymała świnkę wagi 70 kg, zwaną przez magistra Kamieniaka „towarzyszką Byt”. Obecność żywca w budynku była przyczyną licznych interwencji lokatorów, niesłusznie - zdaniem nauczycielki - utrzymujących, że świnia kwiczy, a fetor z bramy i schodów przenika do mieszkań. Wieczór przebiegał w serdecznej atmosferze. Zakłócenia wystąpiły po dwudziestej drugiej.

- Od jutra koniec z alkoholem - oświadczył niespodziewanie Józef Kamieniak. - Ogłaszam stan prohibicji!

- Ty, Marks, już raz wpędziłeś nas w biedę - skomentował propozycję Rewizjonista.

- Ja, ja? - obruszył się magister. - Kiedy?

- A kto „komuszyzm” wymyślił? Może pani Wandzia? - „Komuszyzm” w słowniku Rewizjonisty oznaczał „ustrój powszechnej sprawiedliwości”.

Zebrani przyjęli tę wypowiedź śmiechem.

Kamieniak-Marks rozpoczął wykład (przerywany czkawką) na temat genezy postępowej doktryny: - Proletariat podlegał procesom wyzysku i nędzy. Up! Ludzie byli traktowani gorzej niż zwierzęta. Up! Taka jest prawda!

- Minęło sto pięćdziesiąt lat. Kto dziś stosuje wyzysk?

- Las Vegas! - zatarł ręce Boguś. - Komuchy, jasne!

- Dajcie spokój, politykierzy - łagodziła spór Wanda Szymanek - jedzcie, pijcie!

- Taka jest prawda! - powtarzał Józef Kamieniak. - Up! - później znów zaczął śpiewać:

„Przez walczące krainy idą chłopcy, dziewczyny,
Idą silni, promienni, odważni!”

W drucianych okularkach błysnęła zielona lampa. Magister upadł na stół. Szklaneczka potoczyła się po białej serwecie. Marks-Kamieniak zachrapał. Na spoconym czole błyszczał wielki siniak, jak fioletowa pieczęć z orłem.

- O, Boże ty mój, Kamyczku! - krzyknęła podobno Wanda Szymanek.

O dwudziestej trzeciej, jak wynika z dalszych zeznań, S. Nalewajko alias Rewizjonista oraz B. Kwiatek alias Las Vegas, wyszli z cuchnącej bramy na ulicę Armii Czerwonej i zatrzymali się w celu załatwienia czynności fizjologicznych. Czynności te zostały zakłócone pojawieniem się radiowozu sił porządkowych. Dwóch funkcjonariuszy wysiadło z wozu, aby uniemożliwić dalsze zanieczyszczanie ulicy. Mężczyźni zaczęli uciekać. Z uwagi na okoliczność, że rozbiegli się w dwie strony, pościg zatrzymał się. Po wymianie kilku zdań funkcjonariusze pobiegli za obywatelem, który uciekał wolniej, zataczając się i potykając. Był to długowłosy młodzieniec w dzinsach i kamizeli z teksasu. Po krótkim pościgu został ujęty, a następnie przewieziony do zakładu wytrzeźwień na ulicę B. Prusa.

Rozdział VI

Mjr mgr T. Dolatek demaskuje prowodyrów akcji inspirowanej przez ośrodki dywersji ideologicznej na terenie szkoły imienia M. Konopnickiej

Podczas przerwy Krzyś Biedronka i Zbyszek Makarewicz poszli do sanitariatu na pierwszym piętrze. Stając przy kamiennym parapecie w zadymionym pomieszczeniu Krzyś Biedronka (najlepszy matematyk w naszej szkole) rozwiązał zadanie z trzema niewiadomymi, o co prosił Z. Makarewicz. Następnie wpisał do brulionu Zbyszka kilka punktów pod tematem: „Wyższość gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną na przykładzie Polski Ludowej”. Niedawno Konstytucja zapowiedziała pracę klasową na najbliższej lekcji PNOS.

- Chodzi o planowanie, stary - wyjaśnił Biedronka dodatkowo (był to szczupły chłopak w okularach). Cmokając zapalił fajkę. - Nawijaj o planowaniu, to wystarczy.

Z. Makarewicz, o głowę wyższy od Krzysia, palił „Marlboro”. - Walczą o pokój i planują - zaśmiał się - wiadomo!

- Nawijaj o planowaniu - powtórzył Krzyś. - O pokoju będzie kiedy indziej. - Wyjął z kieszeni scyzoryk. Pykając z fajki zaczął wydrapywać na ścianie słowo „towarzyszka”. Drobne łupiny olejnej farby odskakiwały od lamperii. Leciały na parapet.

Na korytarzu odezwał się dzwonek. Palacze zaczęli opuszczać sanitariat. Wychodząc rzucali niedopałki do muszli klozetowych. Biedronka złożył scyzoryk. Tytoń z fajki wystukał na parapet. Wyszli z Makarewiczem na korytarz.

Kiedy szli w kierunku klasy, minęli grupę młodych obywateli. Wyglądali na starszych uczniów. Kilku było w dzinsach i sztruksowych kurteczkach. Niektórzy nieśli walizkowe teczki zapinane na metalowe zatrzaski. Na czele szedł starszy mężczyzna w garniturze koloru terakota. O dwa kroki przed grupą podążała woźna - Zofia Wnuk.

- Absolwenci przybyli odwiedzić towarzysza dyrektora - mógł pomyśleć Krzyś.

Weszli z Makarewiczem do klasy.

*

W chwili, kiedy uczniowie-palacze opuszczali sanitariat, w gabinecie towarzysza dyrektora dobiegała końca narada aktywu naszej partii. Przedmiotem narady była sprawa „wzorowych lekcji” w związku z zapowiedzianą wizytacją towarzyszy z Wydziału Oświaty. Inicjatywa powołania „wzorowej klasy” oraz przeprowadzenia „wzorowych lekcji”, była osobistą inicjatywą towarzysza dyrektora. Obecnie H. Mizerowa zapoznała przedstawicielki aktywu - W. Szymanek i J. Kaganowicz - ze szczegółami technicznymi tej akcji, jak im powiedziała. Między innymi odczytała koleżankom-nauczycielkom listę uczniów, których wytypowała do „wzorowej klasy”. Byli to najlepsi uczniowie z wszystkich trzecich i czwartych klas. Przy każdym z wymienionych dopisywała fikcyjne nazwisko. W ten sposób powstał fikcyjny dziennik nieistniejącej klasy trzeciej lub czwartej „D”.

- Lipka Tadeusz, wiecie, ten historyk. Niech będzie Lipowicz. Adamek Magda - Adamska, Kostecki Zbigniew - Kwiatek Leszek. Biedronka...

- Biedronka, towarzyszu dyrektore, to całkiem nieodpowiedzialny uczeń! - zaprotestowała J. Kaganowicz.

- Tak, ale najlepszy matematyk.

- Matematyka go nie usprawiedliwia, towarzyszu dyrektore.

- Nie mogę skreślić - oświadczyła po namyśle H. Mizerowa. - Miłanowicz twierdzi, że ten uczeń mógłby wykładać na uniwersytecie.

- Miłanowicz! - zachnęła się towarzyszka Kaganowicz. - Jaki on ma wpływ na naszą młodzież? Towarzyszu dyrektore!

Zgodnie z planem uczniowie „wzorowej klasy” mieli wystąpić w cyklu „wzorowych

lekcji” przed grupą towarzyszy wizytatorów stosownie do okoliczności: raz jako uczniowie klasy trzeciej, raz jako czwartej.

- Trzeba wszystko pozapinać na ostatni guzik - mówiła zaaferowana H. Mizerowa. - Koleżanko Wando, wasz przedmiot będziemy wykładać wspólnie. Towarzyszka Jadwiga w ramach lekcji rosyjskiego. Na przykład weźmie temat: „Przyjaźń narodów Polski i ZSRR”. Jak to będzie po rosyjsku?

- Družba narodow Polszy i eseser, towarzysz dyrektor - wyjaśniła J. Kaganowicz.

- Ja mogę wziąć „Zasady socjalistycznego współżycia”, a koleżanka Wanda „Wyższość gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną na przykładzie PRL”. Macie pytania?

- Kto będzie stał na czele grupy wizytującej? - spytała W. Szymanek.

- Gala albo Zapadka, jak zawsze. Osobiście wolę Galę. To odpowiedzialny towarzysz.

- Towarzysz dyrektor ma rację - oświadczyła J. Kaganowicz.

- Ten Zapadka nigdy nie wie, czego chce - dodała H. Mizerowa.

W tym momencie trzy towarzyszki z aktywu naszej partii zamilkły i upiły po łyku kawy. Szklanki przyniesione przez sekretarkę Lusię stały na tacy w kwiatki. Na korytarzu odezwał się dzwonek. Drzwi obite dermą uchylily się. Zajrzała sekretarka Lusia. Za nią stała woźna Zofia Wnuk.

- Towarzysz dyrektor - powiedziała woźna wyglądając zza Lusi - przyjechały jakieś taksówkami i chcą rozmawiać z towarzysz dyrektor.

- Może inspekcja bez zapowiedzenia? - przestraszyła się H. Mizerowa.

Tymczasem grupa „absolwentów” czekała na opustoszałym korytarzu pod drzwiami sekretariatu. Mężczyzna w garniturze koloru terakota czytał rozpięte na czerwonym płótnie hasło-cytat (wisiało na ścianie między paprotkami w doniczkach): „Od członków partii należy wymagać zgodności czynów ze słowami, wysokiego poczucia odpowiedzialności za realizację powierzonych im zadań, wrażliwości na problemy ludzi pracy i aktywnego udziału w ich rozwiązywaniu, odwagi w walce ze wszystkimi przejawami zła i nieprawości”. Niżej był podpis: „Punkt 133 założeń programowych VII Zjazdu naszej partii”.

Z sekretariatu wyjrzała sekretarka Lusia: - Towarzysz dyrektor prosi!

*

Jak się okazało „taksówkami”, o których wspomniała woźna (w rzeczywistości były to pojazdy służbowe marki wołga i fiat 125P) przybyła do naszego gimnazjum grupa operacyjno-dochodzeniowa z KW oraz KM MO pod dowództwem majora Służby Bezpieczeństwa mgr Tadeusza Dolatka. Grupa ta przybyła w celu zdemaskowania autorów

wrogich ulotek.

Po wejściu do gabinetu mjr mgr T. Dolatek - szczupły mężczyzna w garniturze koloru terakota - przywitał się z towarzyszem dyrektorem całując dłoń ozdobioną radzieckim pierścieniem. Pocałował również w rękę dwie nauczycielki z aktywu partyjnego naszej szkoły. Następnie przedstawił grupę pracowników z Biura Ekspertyz przy KW MO oraz oficerów Służby Bezpieczeństwa z KM MO. Przybyli (w liczbie dwudziestu) rozsiadli się na krzesłach przyniesionych z sąsiednich klas przez woźną. Kwadratowe teczki położyli na kolanach. Przystąpiono do opracowania planu operacyjnego akcji.

*

Jak opowiadali później uczniowie, wkrótce po dzwonku na trzecią lekcję do klas weszli nieznani obywatele. Wszędzie zostali wprowadzeni przez towarzysza dyrektora lub towarzyszkę Kaganowicz. Byli to rzekomi „absolwenci” - w rzeczywistości młodzi oficerowie Służby Bezpieczeństwa. Z kwadratowych teczek wyjęli ponumerowane karty, które rozdali uczniom.

- W lewym rogu u góry wpisujemy imię i nazwisko - poinformowali.

Następnie podyktowali tekst ułożony na podstawie rozrzuconych w szkole ulotek (pod względem ideologicznym słuszny).

- „Młodzieży polska, nie ufaj wrogiej propagandzie! - pisali uczniowie w klasie trzeciej „B”, w której zajęcia, zgodnie z planem, miała prowadzić W. Szymanek (siedziała teraz obok funkcjonariusza w ciemnych okularach). - To Czerwona Armia przyniosła nam wolność w roku czterdziestym piątym. Banda sprzedawczyków i zdrajców, rodem z Targowicy, została w Londynie. Młodzieży polska, zaufaj partii! Komuniści budują Polskę demokratyczną i wolną. Niech żyje socjalizm, niech żyje przyjaźń z narodem radzieckim! Niech żyje nasza ojczyzna - Polska Ludowa! Przeczytaj głośno, przepisz, daj innym do przeczytania!”.

- Amen! - powiedział półgłosem Krzyś Biedronka.

Młodzież w klasie trzeciej „B” zareagowała śmiechem, ale funkcjonariusz SB - młody obywatel w sztruksowej kurtce i ciemnych okularach, w których odbijało się słońce, kiedy patrzył w okno - niespodziewanie wstał: - Kto to powiedział?

W klasie zapadło milczenie.

- Kto to powiedział? - powtórzył funkcjonariusz. Zastukał długopisem w kwadratową teczkę leżącą na stole.

W ciszy, z pewnym wahaniem, podniósł się Krzyś Biedronka.

- Ty? - zapytał funkcjonariusz.

- Ja. - wyjaśnił Krzyś. Zamrugał powiekami.
- Wobec tego napisz na końcu, to co powiedziałaś.
- Amen? - upewnił się Krzyś.
- Amen - powtórzył funkcjonariusz.

W tym momencie uczniowie klasy trzeciej „B” znowu zaczęli się śmiać. Przedstawiciel Służby Bezpieczeństwa ponownie zastukał długopisem o teczkę. Popatrzył na klasę przez szkła ciemnych okularów. Surowo, bez uśmiechu.

W takich okolicznościach K. Biedronka, jako jedyny uczeń w szkole, zakończył dyktando słowem „amen”. Niżej złożył swój podpis.

*

Dalsze wypadki na terenie naszego gimnazjum potoczyły się zgodnie z planem operacyjnym. Czterysta osiemnaście ponumerowanych i podpisanych kart zostało dostarczonych do gabinetu H. Mizerowej. Pracownicy Biura Ekspertyz KW MO niezwłocznie przystąpili do pracy (porównywano charakter pisma na ulotkach z charakterem pisma na kartkach z dyktandem). W toku tej pracy, dzięki naukowym metodom, szybko wykryto organizatorów wrogiej akcji. Ujawniono pięciu uczniów (tyle ulotek - każda pisana innym charakterem - poddano ekspertyzie). Między innymi w klasie trzeciej „B” zdemaskowano K. Biedronkę oraz uczennicę D. Talarek. Pięciu prowodyrów wywołano z lekcji i zaprowadzono do gabinetu towarzyszy dyrektora. W pokoju było ciemno od papierosowego dymu. Zupełnie jak w sanitariatach szkolnych podczas dużej pauzy. Zapach dymu przyćmił zapach „Zielonego jabłuszka”. Ujawnioną piątkę ustawiono pod ścianą.

- Na podstawie badań grafologicznych pisma - oświadczył major magister T. Dolatek - zostaliście zdemaskowani jako autorzy ulotek o treści antypaństwowej. Fakt ten napawa nas głęboko troską - mówił major zastępując samogłoskę „ą” samogłoską „o”. - Głęboko troską oraz niepokojem o waszą przyszłość. Od was samych zależy teraz, czy zejdziecie ze złej drogi, zdemaskujecie waszych przełożonych, jeśli działają z ukrycia. Okażecie zaufanie pracownikom sił bezpieczeństwa. Obecnie zostaniecie przewiezieni do siedziby naszej Komendy, celem złożenia wyjaśnień. Czy są pytania?

Ponieważ doprowadzeni milczeli, głos zabrała towarzyszy dyrektora H. Mizerowa. Wyraziła głęboki żal i oburzenie z powodu postawy zdemaskowanej grupy, która na progu dojrzałego życia zdecydowała się wejść na drogę antysocjalistycznej działalności.

- Nie chcemy wstydić się za was! - mówiła H. Mizerowa (wymalowane usta towarzyszy dyrektora przypominały karminowe serce). - Mamy nadzieję, że teraz oczy wam się otworzą!

Na zakończenie H. Mizerowa w gorących słowach podziękowała pracownikom organów ścigania za niezwykle sprawnie przeprowadzoną akcję.

Z kolei zabrał głos funkcjonariusz w ciemnych okularach - ten sam, który polecił Biedronce napisać słowo „amen”. Zwracając się do zgromadzonych w gabinecie wskazał na K. Biedronkę, jako na jednostkę cyniczną, która nie zawahała się zakpić w obliczu działań sił bezpieczeństwa. Zwracając się do ucznia, pracownik SB zapytał: - Co teraz powiesz, Biedronka? Może wymyślisz nowy żart?

Ku zdumieniu obecnych Krzyś Biedronka - chłopiec wątyły, jak na swój wiek, w okularach, które zdejmował, aby potrzeć szkła o rękaw swetra - zamrugał powiekami i odpowiedział trochę drżącym głosem:

- Niech żyje wolność!

Słowa te, wypowiedziane „ni w pięć ni w dziewięć”, jak to skomentowała obecna w gabinecie nauczycielka rosyjskiego, zostały wpisane przez funkcjonariusza sił bezpieczeństwa na kartę ucznia z tekstem dyktanda.

*

O godzinie czternastej ekipa operacyjna opuściła teren naszego gimnazjum. W ślad za wołgami i fiatami jechała sprowadzona z Komendy nyska z białym napisem „Milicja” na drzwiach. W nysce przewieziono na ulicę B. Bieruta wrogą grupę.

Rozdział VII

Starszy zmianowy Ful odsłania kulisy spisku

Wiadomo obecnie, że mikry czterdziestolatek „za którego dwóch groszy nie dasz” (jak początkowo sądził tow. M. Seta), czyli starszy zmianowy Ful, wykazał wyjątkową przenikliwość nie bagatelizując zmiętej kartki papieru w kratkę, jaka wypadła z kieszeni kamizelki dowiezionego kwadrans po dwudziestej trzeciej Bogumiła Kwiatka alias Las Vegas. Kartka wyleciała w czasie zmiany wierzchniego okrycia na zakładowe sorty, a następnie została odebrana dowiezionemu przy próbie zniszczenia. Jak się okazało zawierała tekst o treści podburzającej. Ponadto - po dokładnym przeszukaniu - znaleziono listę obywateli zgłaszających obrażenia, jakoby odniesione w czasie pobytu w Zakładzie RZOUN. Obywatele ci, znani z pasożytniczego trybu życia, protestowali przeciwko rzekomym nadużyciom dokonywanym przez pracowników naszej Izby oraz domagali się zmiany

personelu.

Po wstępnej lekturze kartki, którą dostarczył zmianowy Nicpoń, wzorowy pielęgniarz Ful odwiedził depozytora Kota i w jego obecności głośno odczytał tekst: - „Widmo obywateli nadużywających alkoholu, rozumiesz, krąży po naszym mieście. Widmo pobitych i maltretowanych...!”. Maltretowani protestują, łączą się, rozumiesz. Ty, Janek, co to znaczy?

Depozytor Kot nie wykazał dostatecznej czujności. Przeciwnie - dążył do zbagatelizowania i pomniejszenia sprawy. - Głupoty jakieś - oświadczył żując kawałek kiełbasy zwyczajnej (jak zawsze zajęty konsumpcją!). I dodał z przekonaniem: - Ja posuwam!

- Tylko nie posuwaj! - zaprotestował E. Ful. - Nie wiadomo, co z tego wyniknie. Za dużo palantów podało swoje dane. Trzeba pogadać z dowiezionym. Gienek! - huknął otwierając drzwi.

Na korytarzu rozległ się klekot drewniaków opiekuna Nicponia.

- Doprowadzić dowiezionego! - wydał polecenie wzorowy pielęgniarz.

Wkrótce rozpoczęło się przesłuchanie. Przesłuchujący: wzorowy pielęgniarz Ful oraz - zagląający co pewien czas do pokoju przesłuchań - opiekun zmianowy Nicpoń.

- Ty, skąd to masz? - pytał Ful, poświstując przez ubytek i podsuwając kartkę z „Manifestem” pod nos dowiezionemu. - Gadaj, no gadaj: tyś pisał?

Przesłuchiwany wzruszał ramionami: - Nie powiem nic. Możecie mnie zabić.

- Ty, Las Vegas! - mówił Ful bijąc Bogusia po twarzy zwiniętym w rulon „Manifestem” - taki kozak z ciebie?

- Nie powiem nic, możecie mnie zabić.

Wtedy zmianowy, mrugając na Nicponia: - Słyszysz, Gieniu?

Nicpoń oddziaływał fizycznie. Bił pięściami. Głowa Bogusia latała na prawo i lewo.

- Nie powiem nic! - wołał przesłuchiwany. - Koniec bezprawia! Koniec bicia! - Wznosił wrogie hasła.

Ful i Nicpoń śmieli się. Pod to przesłuchanie pili w kieliszkach, które depozytor wyjął z szuflady. Nalewał po pięćdziesiąt gram „Stołowej”. Oczy Nicponiowi poczerwieniały. Ful mówił do Kota konsumującego kiełbasę zwyczajną: - Sam widzisz, Janek, po dobroci nie idzie nic! - I znów do Nicponia: - Pod te obcasy, palanta!

Około dwudziestej czwartej Las Vegas zaczął zeznawać. Okazało się, że autorem podburzającego tekstu jest znany pracownik naszego zakładu „całkiem rąbnięty gość” (jak niedawno wypowiedział się depozytor Kot) czyli magister Kamieniak, zwany również Marksem.

- Takie buty - mówił stając na rozkraczonych nogach, naprzeciwko posadzonego na

krzeselku dowiedzionego, E. Ful. - Takie buty! Trzeba było od razu gadać. A ty, dowieziony, podskakiwałeś!

- U nas jak ktoś podskoczy, to wiesz... - Nicpoń podtykał pięść pod nos przesłuchiwanego. Pchał głowę Bogusia przyciskając do ściany.

Las Vegas starał się zapewne pomniejszyć swój udział w spisku: twierdził, że tekst „Manifestu” oraz listę rzekomo poszkodowanych, przepisał jedynie dla własnej wiadomości. Siedział pod ścianą, naprzeciw biurka depozytora Kota i pluł czerwoną śliną do chusteczki. Potem prawdopodobnie zemdłał. Jak później opowiadali świadkowie - Bogusia przywlekli na łóżko po północy. Był nieprzytomny.

O siódmej trzydzieści rano E. Ful - kierując się dobrze pojętym obowiązkiem obywatelskim wynikającym z art. 256 k.p.k., który wzywa każdego do złożenia meldunku w razie posiadania informacji o przestępstwie, zadzwonił do naszej Komendy i zawiadomił o znalezieniu materiałów obciążających niejakiego Bogumiła Kwiatka alias Las Vegas. Wkrótce pod „przechowalnię” zajechała stalowa nyska, w celu przewiezienia dowiedzionego z ul. B. Prusa na ul. B. Bieruta.

Sam Ful postanowił niezwłocznie udać się do miejsca zwanego przez mieszkańców miasta „Eldorado”, czyli do ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego dla pracowników aparatu oraz kadry kierowniczej administracji państwowej. W ośrodku tym, w ramach kilkudniowego urlopu wypoczynkowego, przebywał kierownik Zakładu RZOUN towarzysz M. Seta. W tym celu E. Ful zadzwonił na postój „taxi” na placu Zwycięstwa i zamówił kurs na godzinę dziewiątą trzydzieści.

Ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy nad rzeką Słonką, zlokalizowany na terenie rezerwatu „Czarna paproć”, powstał w ciągu roku mimo znanych trudności na odcinku zaopatrzeniowo-materiałowym, braku mocy przerobowych oraz kłopotów z siłą roboczą. Dzięki konstruktywnemu podejściu kierownictwa PRB „Budopol”, wykorzystaniu pracy więźniów z terenowych zakładów karnych, pomocy jednostek WP i MO - wspomniany ośrodek wybudowano na terenie nieuzbrojonym, pozbawionym drogi dojazdowej, wody, siły, linii telefonicznej, itp. W krótkim czasie teren uzbrojono, doprowadzono linię 15 Kv (odcinek pięciokilometrowy zbudowało wojsko), drogę dojazdową, podciągnięto przewody telefoniczne i tak dalej. Efektem wyteżonej pracy było „Eldorado”. Nad rzeką - z widokiem na lasy - stało kilkadziesiąt budynków, wykonanych stosownie do życzenia właścicieli przez ekipy ciesielsko-murarskie „Budopolu” oraz brygady składające się z więźniów. Kilka budynków znajdowało się w stanie surowym, inne podlegały wykończeniu. Wszystko w kolorach: czerwone i szare eternity, dachówki, blachy ocynkowane i malowane. Budynki z

tarasami i bez tarasów, z wieżyczkami, gankami, balkonami i podcieniami. Obok solidnych bunkrów (szarych jak płaszcze funkcjonariuszy więziennych) stały smukłe domy w stylu zakopiańskim, dalej wille o szerokich oknach, pod którymi właściciele sadzili srebrzyste świerki. To kolorowe osiedle z betonu, modrzewiowych belek i szkła, przywodziło na myśl wizję wielkiego przywódcy filozofów: jego osiedli przyszłości, w których mieszkańcy zajmować się będą uprawą kwiatów, warzyw, badaniami antropologicznymi, hodowlą pszczół oraz lekturą dzieł Platona.

Dojeżdżając do „rogatek”, taxi z E. Fulem wjechała na odcinek drogi pozbawiony nawierzchni bitumicznej. Wóz jechał rozpryskując na boki drobny grys i wzniesając wielką chmurę kurzu.

*

Po przybyciu na miejsce Edward Ful udał się w kierunku domu-bunkra, ozdobionego mozaiką z czerwonych szkiełek nad drzwiami wejściowymi. Obok budynku, przy stercie desek oraz worków z cementem przykrytych folią, stał fiat 125P koloru żółtek z jaj pierwszego gatunku.

M. Seta, w starych spodniach zawalanych cementem portlandzkim i podartej na rękawach koszuli, przywitał starszego zmianowego słowami:

- Co tam, Edziu, patafianie? Nie dacie mi spokoju nawet tutaj?

- Szefie, sprawa jest poważna - oświadczył wzorowy pielęgniarz. Po czym, wprowadzony przez kierownika do holu wyłożonego boazerią dębową, a następnie na taras z widokiem na rzekę Słonkę, sadowiąc się na turystycznym krzeselku, rozpoczął relację o podburzającym „Manifeście” oraz zeznaniach B. Las Vegas na temat szczegółów nielegalnej akcji wymierzonej w Zakład RZOUN. - Aby nie być gołosłownym, oto odpisy dokumentów!
- zakończył (odpisy wykonała znajoma sekretarka).

Trzymając w spracowanych rękach papiery, posapując i ścierając z czoła pot, zasłużony działacz zapoznał się z treścią dokumentów, a następnie splunął przez murek na kwiatki w ogródku. - Głupoty jakieś, Edziu! Podrzyć i wyrzucić!

Wzorowy pielęgniarz zaprotestował: - Chwileczkę, szefie! Wspomnianego Las Vegas przekazaliśmy organom ścigania. Ten Kamieniak to niebezpieczny gość! Tu chodzi o szeroko zakrojoną akcję! Element buntuje ludzi, żąda zmiany personelu i tak dalej!

- Ja posuwam! - oświadczył M. Seta, podobnie jak niedawno J. Kot. - Co nam mogą zrobić?

W tym momencie rozmowę przerwał helikopter. Zatoczył koło nad osiedlem, zniżył się i zawisł nad placem o kilka domów na prawo. Śmigła ciężkiej maszyny o barwach

ochronnych wzniecały tumany kurzu. Lotnik dawał znaki mężczyznom w szarych drelichach z literami „ZK” na plecach. Odbierali opuszczane na linach pakunki. Były to zapewne worki z cementem, klepka podłogowa lub glazura. Pracownicy „przechowalni” obserwowali akcję z podziwem. M. Seta krzychał: - Pułkownik Kociołek z Ochrony Powietrznej Kraju! Niedawno rozpoczął budowę, a tempo, rozumiesz, jak żaden! Mamulę zakasował, Mizere, dyrektora „Budopolu” i doktora Lipkowskiego, choć doktorek robi, co może!

- Który budynek Lipkowskiego? - zainteresował się E. Ful.

Seta machnął podartym rękawem: - Na końcu!

Kiedy helikopter odleciał, wrócili do przerwanej rozmowy.

- Ty, który to Kamieniak? - spytał Seta. - Ja go znam?

E. Ful wyraził zdziwienie: - Szeł nie zna magisterka? Marksem go nazywają...

- Marks, Marks - przypomniał sobie kierownik placówki wytrzeźwień. I zaraz zaczął opowiadać, jak Kamieniak-Marks zakłócił przed rokiem czyn partyjny: - Porządkowaliśmy skwerek przy Nowotki. Nastrój wesoły, żarty, pogoda jak drut. Towarzysze w białych koszulach, marynarki pozdejmowane, wiszą na drzewach... Mizera, Mamula, Stala i ja... Przerzucamy łopatami ziemię, aż furczy! A ten stanął obok i krzyczy: „Biurokracjo radziecka, jeden spych za was wykona robotę w trzy minuty!”. I Marksa zaczął cytować, czy kogoś tam: „Biurokracja śmiertelną chorobą rewolucji!”. Nabuzowany świrus: ruda broda, okularki... „Człowieku - mówię - idź stąd!”, a on: „Głową trzeba ruszać, towarzysze, nie łopatą!”. Taka była z nim rozmowa. Dopiero tamci radiowóz wezwali!

- Tu M. Seta uderzył się po kolanie i zaśmiał: - „Biurokracjo radziecka”, rozumiesz?

- Teraz nie będzie żartów - oświadczył E. Ful wierząc się na turystycznym krzeselku. Słuchał nieuważnie.

Zasłużony działacz po raz drugi splunął na kwiatki: - Co nam mogą zrobić? Mnie, tobie, chłopakom? O robotę się martwisz, Edziu? W tym kraju coraz więcej wody trzeba! Jak nie będzie czym płacić, za robotę zapłacimy wodą... Rzeki, rzeki gorzały popłyną przez kraj... Wspomnisz moje słowa.

- Szeł, temu Marksowi Kot zabrał dwa tysiące. Może oddać? On na pewno z tego powodu zrobi szum.

- Edek - powiedział Seta - jaka z tobą rozmowa?

W tym momencie z ogródka rozległo się wołanie: - Mieciu, cement się wiąże! - To żona działacza, ob. Jadwiga Seta, domagała się powrotu męża do prac rekreacyjnych.

Nawoływania zagłuszył helikopter. Ponownie nadleciał: wyjął silnikami opadał w celu przekazania kolejnej partii materiałów deficytowych. Pracownicy „przechowalni”

schronili się do holu wyłożonego dębową boazerią.

- To wariat, szefie! Co on w tym „Manifeście” powypisywał! - krzyczał Ful. - „Widmo maltretowanych”, „święta nagonka”! Co to wszystko znaczy?

Kierownik Seta zaczął się śmiać: - Edek, Edek, z powodu jednego palanta obleciał cię strach? - Zwrócił pielęgniarzowi kopie dokumentów:

- Możesz to sobie na kołku powiesić! Wiesz gdzie.

- Mieciu, chodźże tutaj! Mieciu!

Huk krążącej nad osiedlem maszyny z jednostki ochrony powietrznej kraju oraz nawoływania ob. Jadwigi Seta, uniemożliwiały dalszy dialog. Szef nie zatrzymywał. E. Ful uściskał dłoń, szarą od portlandzkiego cementu, zszedł po schodkach, wyminął żółty wóz, a następnie potykając się, zatykając uszy i zaciskając powieki, aby w oczy nie nawiało kurzu, pobiegł w kierunku „taxi”.

Rozdział VIII

Towarzyszka Byt wypowiada się na temat podstawowych praw dialektyki

W chwili kiedy starszy zmianowy Ful wracał z ośrodka rekreacyjnego „Eldorado” - w piwnicy budynku przy Armii Czerwonej 12 zebrała się grupa obywateli w celu zawiązania nielegalnego spisku. Gdyby wiedział o tym sprawozdawca wojewódzkiego organu naszej partii, w gazecie ukazałaby się zapewne informacja pod tytułem: „Elementy pasożytnicze podjęły działania wymierzone w ład i porządek”. Oto kilka pierwszych zdań z domniemanej notatki:

„Grupa notorycznych alkoholików i chuliganów zebrała się w znanej okolicznym mieszkańcom melinie, aby uknuć spisek wymierzony w podstawy ustrojowe naszego państwa oraz dać upust nienawiści do władzy ludowej. W nielegalnym zgromadzeniu udział wzięli:

- Józef K., zatrudniony poprzednio w tutejszym Urzędzie Miejskim, obecnie rencista, rozwodnik, notorycznie nadużywający alkoholu;

- Stanisław N. alias Rewizjonista, inżynier-elektronik bez stałego miejsca zatrudnienia, nigdzie nie meldowany, rozwodnik, alkoholik i chuligan;

- Zenon K. alias Fajerant-Szklaneczka, pracownik PRB „Budopol”, obibok-bumelant, bywalec wielu zakładów gastronomicznych w naszym mieście, alkoholik, robotnik niewykwalifikowany;

- Jan J., degenerat nigdzie nie zatrudniony i nie meldowany, utrzymujący się z dorywczej sprzedaży makulatury w państwowych punktach skupu surowców wtórnych;

- Stanisław B., kolejarz zatrudniony na terenie tutejszej lokomotywowni przy ulicy gen. Franciszka Józwiaka-Witolda, nałogowy alkoholik, ojciec trojga dzieci;

- Jan K., pracownik PKP, zatrudniony również na terenie lokomotywowni, żonaty, bezdzietny, nałogowy alkoholik...”

I tak dalej. Wspomnianymi w notatce pracownikami PKP byli przetokowi: Stanisław Brzóska i Jan Kwiatkowski. Dodajmy, że w „zebraniu” mogli wziąć udział inni, nie znani bliżej obywatele. Z całą pewnością była obecna przedstawicielka żywca, zwana przez Józefa Kamieniaka towarzyszką Byt, pochrząkująca za drewnianym przepierzeniem oraz wystawiająca zza desek różowy ryj.

Siedząc na krzeselkach i stołkach przyniesionych z mieszkania pani Wandy, pod półkami zastawionymi od góry do dołu wyrobami PMS, zebrani przedstawiciele marginesu znajdowali się w stanie silnego wzburzenia. Ujawniono nowe fakty stosowania środków przymusu przez personel „przechowalni” oraz nowe wypadki kradzieży. Pogłoska o aresztowaniu Bogusia Las Vegas (przy którym znaleziono nielegalną „odezwę”) została potwierdzona. Na prośbę Józefa K. - „przewodniczącego” - dowiezieni w nocy na ulicę Prusa opowiedzieli o swoich przeżyciach. Wymieniony Fajerant-Szklaneczka mówił:

- Wzięli mnie spod „Muszelki” o dwudziestej pierwszej, nie? Wcale nie byłem pijany. Na Prusa od razu Nicpoń z Ćmielewskim krzyczą: „Skacz na łóżko, palanciel!”. Nie chciałem iść, nie? Wtedy doprowadzili siłą. Jak założyli pasy, Nicpoń chciał po mnie skakać... - Tu Fajerant-Szklaneczka osunął się na kolana między nielegalnie zebranych. Podskoczył demonstrując zastosowany środek przymusu. - Kiedy krzyczałem, dołożyli mi po twarzy, nie? Rano stwierdziłem brak tysiąca. Z dwóch jakie posiadałem. Ten drugi i tak wzięli za pobyt...

- Bogusia widziałeś? - spytał „przewodniczący”.

Szklaneczka zamilkł na chwilę. Zakaszłał. - Tak jest. Bogusia przywlekli po dwudziestej czwartej.

- Mówże, Zenek. Mów!

Pracownik „Budopolu” milczał. Pocierał przekrwione oczy, wzdychał. Tarł nieogolony podbródek. - Człowieka zatyka na wspomnienie. Wodą go polewali, jak przywlekli. Rano powieźli na Komendę.

- Klamka zapadła - mógł powiedzieć wtedy magister Kamieniak. - Klamka zapadła.

- Jaka klamka, jaka klamka? - głos Rewizjonisty. - Manifest przepadł, chłopaka biją. Po coś mu te papiery dawał?

- Czas nagli, koledzy - oświadczył Józef Kamieniak nie zwracając uwagi na słowa Rewizjonisty. - Trzeba podjąć decyzję: wóz albo przewóz!

Zgromadzeni przedstawiciele marginesu śmiali „Sporty” pokaszując. Towarzyszka Byt chrząkała za przepierzeniem. O swoich przejściach zaczął opowiadać kolejarz Brzózka:

- Zasadniczo byłem trzeźwy. Wzięli mnie spod domu na Józwiaka-Witolda. Jeszcze żona wołała z okna: „panowie, mąż tu mieszka!”... Na Prusa istna Sodoma z Gomorą. Ful pijany, Nicpoń pijany. Przesłuchują Bogusia. Las Vegas krzyczał okropnie. Dostałem sorty, kopa i na łóżko. Jakoś przespałem do rana. O dziewiątej jeszcze przebywałem na terenie zakładu. Widziałem, jak Bogusia zabierali. Pieniądzy nie posiadałem.

Ostatni z poszkodowanych, Dykta - zbulgotał pokazując fioletowy obrzęk pod okiem. Splunął za przepierzenie z towarzyszką Byt.

Józef Kamieniak wstał: - Koledzy, fakty są tego rodzaju, że dłużej czekać nie można. Trzeba podjąć próbę samoobrony. Czy ktoś ma propozycje?

Tylko towarzyszka Byt pochrząkiwała w kojcu. J. Jagodziński sapał bezsilnie. Fajerant-Szklaneczka pocierał zarośnięte policzki.

- Co proponujesz, Józek? - głos Rewizjonisty.

Zapewne wtedy, błyskając szklami w drucianych oprawkach J. Kamieniak oświadczył krótko: - Osobiście jestem za bojkotem państwowych zakładów gastronomicznych oraz sklepów monopolowych, na przeciąg tygodnia!

S. Nalewajko z wrażenia wstał: - Józek!

„W toku dyskusji - jakby napisał dziennikarz z organu naszej partii - zaślepieni nienawiścią do wszystkiego, co ich otacza, przedstawiciele marginesu poparli ostatecznie obłąkańczy projekt Józefa K., jakkolwiek wielu protestowało wskazując na jego utopijność, brak poparcia ze strony innych obywateli, itp. okoliczności.”

W rzeczywistości protestował jeden Rewizjonista: - Wyjdź na ulicę! Co drugi pijany idzie! Nas dziesięciu, dwudziestu, nawet stu, powstrzyma się od spożycia, a reszta? Idź na błonia, nad rzekę, na budowy! Do zajezdni, na dworce, wejdź do bram. Tu nie chodzi o sklepy ani knajpy. Ludzie piją wszędzie. Na okrągło: dzień i noc. Kto ich zmusi, aby przestali pić? Józek, Józek! - Tu inżynier Nalewajko zaczął się śmiać bijąc rękami o kolana. Ponieważ śmiał się rzadko, obecni przyglądali się z zainteresowaniem. Fajerant-Szklaneczka nawet zawtórował ochryple.

Kamieniak czekał, kiedy skończą. - Ty, Stachu, jesteś mocny w słowach. „Komuchy”, „czerwoni” i tak dalej. I co z tego? A ja ci powiem: tylko ekonomia! Jak przestaniemy pić, „przechowalnię” trzeba będzie zamknąć. Spadną obroty, wymknie się szmal. Wtedy dopiero

zaczną gadać. Taka jest prawda!

Milczeli. Brzózka liczył półlitrowki w rzędach. Jagodziński bulgotał. Jeden Szklaneczka niespodziewanie zatarł ręce: - Tak jest! Dobrze gada.

- Bojkot, koledzy, bojkot! - agitował Kamieniak. - „Manifest” odtworzymy z pamięci. Powoła się komitet „Akcji Bojkot”. Napisze się na murach hasła, rozlepi ulotki, wezwie ludzi, aby poparli... Oto program, Stasiu: trzeba wstać z kolan! Taka jest prawda!

Rewizjonista uśmiechał się kpiąco. Nadal siał defetyzm wśród obecnych. Może wspominał własne porażki? Niegdyś zatrudniony w Zakładach Radiowych w Dzierżoniowie, później w Oddziale Zakładów w naszym mieście, następnie w punkcie usługowym naprawy sprzętu elektronicznego Nr 2. Wszędzie zwalniany „za przebywanie podczas pracy w stanie wskazującym na spożycie alkoholu”. Wtedy jeszcze próbował walczyć: obiecywał poprawę, podpisywał zobowiązania. I zawsze kończyło się źle. Po latach, mocując przełamane na pół „Sporta” w brązowej cygarnicze, nie wierzył już w nic.

- Ty, Stasiu, w nic nie wierzysz - mówił do niego Kamieniak. - Po co żyjesz?

- Z przyzwyczajenia - kpił S. Nalewajko.

Znany z wielu zakłóceń ładu w naszym mieście (ostatnio, z powodu zdrowia nie tak częstych), nieprzejednany wróg ustroju i ludowego państwa nazywał najbardziej postępową doktrynę „komuszysmem”. I on, jak wiadomo, wymyślił słowa „komuchy” - obraźliwe określenie towarzyszy-działaczy.

- Komuszysm, Józiu, jak faszyzm. I ty im jeszcze wierzysz?

W czasie jednej z takich „dyskusji” mówił podobno: - Józek, ten twój komuszysm jest jak tapczan z pluskwami. Stąd, ze Wschodu, pełźnie robactwo na cały świat. Trzeba spalić tapczan. Inaczej pluskiew nie wytępisz. Czy nie mam racji? - popatrzył na słuchaczy z „Kubanki”.

- Ludzie są ułomni - odpowiedział wtedy Kamieniak - idea jest niezniszczalna.

- Masz rację, ona zniszczy świat!

Być może dlatego, niejako z przyzwyczajenia i teraz był „przeciw”:

- Dziecinada! Śmieszny pomysł!

- Co proponujesz? - zapytał Kamieniak patrząc na obecnych. - Mamy dać się bić i okradać? Znosić to latami, aż do śmierci? Stasiu!

S. Nalewajko zamilkł. Za jego plecami pochrząkiwała towarzysza Byt.

I nagle, podobno, machnął ręką: - Zasadniczo róbcie, jak chcecie! Ja z wami, to jasne.

Był to zapewne moment zwrotny nielegalnego zebrania. Józef Kamieniak zapytał: - Kto za bojkotem?

Podnieśli ręce.

- Kto przeciw?... Nikt. Dziękuję. - I dodał cicho, jakby do siebie:

- Założyliśmy nasz Komitet „Akcji Bojkot”.

Czy tak było na pewno? W zeznaniach uczestników „zebrania” występują sprzeczności uzasadnione ogólnym wzburzeniem, atmosferą napięcia oraz stanem po nadużyciu alkoholu poprzedniego dnia. Jedno jest pewne: nielegalny Komitet powstał w piwnicy Wandy Szymanek. „Zebranie” trwało do szesnastej. Siedząc na stołku, nad starą maszyną „Mercedes”, magister Kamieniak wystukał odtworzony z pamięci „Manifest”. „Widmo obywateli nadużywających alkoholu krąży po naszym mieście...” - pisał. Tak rozpoczyna się „Odezwa” rozlepiona na murach tego dnia. S. Nalewajko mógł być autorem agresywnej ulotki. Oto tekst, również przepisany z muru: „Obywatelu nadużywający alkoholu! Powstrzymaj się od spożycia! W ciągu tygodnia wywołamy absencję w „przechowalni” na B. Prusa. Zmusimy czerwonych faszystów do zaniechania brutalnych metod! Pamiętaj: tylko powstrzymując się od spożycia osiągniemy wspólny cel! Podpisano: Komitet „Akcji Bojkot”.

Wiadomo o ułożonej liście sklepów, melin oraz zakładów gastronomicznych, przed którymi widziano później pikietę. Na ścianach wypisywano hasła olejną farbą: „Precz z czerwonymi faszystami!”.

Około piętnastej Rewizjonista zaproponował „wybór” „przewodniczącego” nielegalnej organizacji: - Kandydatury nie trzeba uzasadniać: Józef Kamieniak! Nasz magister.

Zebrani dokonali wyboru przez aklamację.

„Przewodniczący” podziękował: - Ta akcja będzie trudna, wymagająca poświęceń. Siły, jakie sprzysięgły się przeciwko nam, są potężne! Ale każdy, koledzy-towarzysze, przynajmniej raz w życiu, stawia sobie pytanie: czy można dłużej tak żyć? Taka jest prawda!

Fajerant-Szklaneczka zeznawał później, że w tym momencie Rewizjonista zaintonował znaną skądinąd pieśń: „Wyklęty powstań ludu ziemi!”.

Nie zważając na protesty obecnych, którzy przeciwni byli zakłóceniu atmosfery powagi i skupienia, śpiewał fałszując okropnie: - „Powstańcie, których dręczy głód!”

- Przestań, Stasiu, daj spokój! - prosili zebrani. Jedyne towarzyszką Byt pochrząkiwała wesoło.

- „Bój to będzie ostatni!” - grzmiał fałszując Rewizjonista, jakby odprężony, radosny. Wyraz zgorzknienia znikł z niebieskich oczu. Potrząsał pięścią nad głową. Fajerant-Szklaneczka zaniósł się chrapliwym śmiechem.

W tym momencie do piwnicy wkroczyła Wanda Szymanek. Z wiadrem zlewek ze stołówki szkolnej przeznaczonych dla towarzyski Byt. Dopiero wtedy Rewizjonista przestał śpiewać.

Pojawienie się właścicielki lokalu wywołało zamieszanie. Towarzyszka Byt kwiczała domagając się wiania zawartości wiadra do koryta w kącie kojca, wszyscy mówili jednocześnie.

Wanda Szymanek zawołała przekrzykując hałas: - Ludzie, czyście powariowali? Jak możecie wytrzymać w takim zaduchu?

Istotnie: w piwnicy od dłuższego czasu nie było tak zwanego świeżego powietrza, na co zebrani, zajęci nielegalną działalnością, nie zwrócili uwagi. Mieszanina zapachów obornika i mazi, w jakiej brodziła za drewnianym przepierzeniem towarzyska Byt, kłęby dymu papierosowego oraz zapachy, jakie wydzielał podrzemujący i spuchnięty J. Jagodziński, tworzyły ciężką zawiesinę, która - dla przybywającej z zewnątrz Wandy Szymanek - była szczególnie przykra.

- Dosyć, dosyć, dosyć! - mówiła nauczycielka mocując się z okienkiem nad stertą koksu. - Wynoście mi się stąd natychmiast! Lokatorzy mnie zabiją! Józiu, pomóż otworzyć okienko!

Uczestnicy spisku zaczęli wymykać się z piwnicy, podczas gdy J. Kamieniak próbował oczyścić atmosferę przy pomocy strumienia świeżego powietrza.

- Chodźże na górę - mówiła za jego plecami W. Szymanek - ile godzin można wytrzymać w takim zaduchu? Zjesz coś, prześpisz się. Butelek ci twoi koledzy nie pokradli? - spojrzała zatroskana na drewniane półki.

Magister Kamieniak, rezygnując ostatecznie z otworzenia okienka, odpowiedział urażony: Wandziu, to nie są złodzieje! - Następnie zaczął opowiadać o akcji, jaką Komitet „AB” ogłosił.

Wanda Szymanek przyjęła tę wiadomość pukając się palcem w czoło:

- Starzy i głupi. Przepędzą was, pobiją i zamkną! Tyle z tego będzie.

- Rybko, nie kracz - mówił Józek Kamieniak niezdarnie zsuwając się ze sterty koksu. - Nie można tak dalej żyć. Oni katuja ludzi.

W. Szymanek śmiała się: - Wy, pijacy, nie będziecie pić? Jak ty sobie to wyobrażasz?

- Dzióbku, nie kracz - powtórzył znużonym głosem rencista. W kojcu towarzyska Byt, głośno mlaskając, kończyła konsumowanie zlewek.

- Oj, Józiu, Józiu! - westchnęła pani Wanda. - Pozbieraj klamoty i chodź na górę... - Podniosła z podłogi wiaderko. Mówiąc o klamotach miała zapewne na myśli starą maszynę

marki „Mercedes”, którą Józef Kamieniak przyniósł rano.

Pozostawiony sam sobie (nauczycielka opuściła piwnicę kołysząc pustym wiadrem) Józef Kamieniak usiadł na jednym z taboretów i zamyślił się. Sceptyczny stosunek Wandy Szymanek do akcji skłonił nielegalnego działacza do niewesołych rozmyślań. Towarzyszka Byt pochrząkiwała przyglądając się renciście zza drewnianego kojca. J. Kamieniak widział jej uszy i różowy ryj wystający zza desek. Małe oczka pod białymi rzęsami.

- Towarzyszko Byt - odezwał się cicho - ty przecież istniejesz obiektywnie, poza świadomością. Ty jedna, jako obiektywna rzeczywistość, możesz odpowiedzieć: czy to potrzebne? Jakie prawa dialektyczne, jaka prawidłowość skłoniła nas do działania wbrew tobie? Wbrew faktom? Jeżeli jutro wybiją mi zęby, jeżeli Nalewajce połamią zębra, a Jagodzińskiego zatłuką na śmierć i ja wiem o tym, to po co ten bunt? Godność, prawo, honor? Puste dźwięki, towarzyszko Byt, co one znaczą tutaj, gdzie przyszło nam żyć?

Małe oczka poruszyły się i towarzyszka Byt chrząknęła.

- Masz rację - kontynuował „przewodniczący” Komitetu „AB”. - Byt kształtuje świadomość a nie odwrotnie! I tu on miał rację. Wmówił nam, widzisz, że to niemożliwe być człowiekiem, bo człowiek to świadomość i tylko świadomość, która kształtuje byt. A ty, towarzyszko z różowym ryjem, skutecznie przeciwdziałasz!

Chrząknięcie zza przepierzenia było odpowiedzią na wywód.

- Tak, tak - kiwał głową magister-Marks - żadne prawa dialektyki nic tu nie znaczą. Zostało czekanie na gorsze, jak zauważył kiedyś Staś Nalewajko. Na gorsze. Na gorsze, towarzyszko Byt. I ty i ja możemy się spodziewać tylko czegoś gorszego od życia. Tylko czegoś najgorszego. Taka jest prawda!

Małe oczka poruszyły się i towarzyszka Byt ponownie cicho chrząknęła. „Przewodniczący” nielegalnego Komitetu postawił maszynę do pisania na półce pod butelkami, w których połyskiwała zakazana obecnie wódka, westchnął jeszcze raz i tak jak przed chwilą Wanda Szymanek, zaczął wchodzić po schodkach na górę.

Rozdział IX

Zapach władzy ludowej

Grupa uczniów z gimnazjum imienia M. Konopnickiej, podejrzana o redagowanie i kolportowanie wrogich ulotek, po przewiezieniu na Komendę przy ulicy Bieruta została

osadzona w areszcie tymczasowym. Cele aresztu mieszczą się w piwnicach. Są to pomieszczenia o betonowych podłogach - małe, brudne, z niewielkimi okienkami lub bez okienek. Z zewnątrz dobiega odgłos kroków funkcjonariuszy, zgrzyt otwieranych drzwi obitych blachą, piski zawiasów i krzyki odprowadzanych lub doprowadzanych przedstawicieli świata przestępczego. W takich warunkach znaleźli się niespodziewanie uczniowie wyrwani z klas i ławek, zajęci tak niedawno rozwiązywaniem zadań z trzema niewiadomymi, C.K. Norwidem oraz problemem wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną na przykładzie PRL.

Rozpoczęło się śledztwo prowadzone pod nadzorem majora magistra T. Dolatka przez młodych oficerów śledczych. Doprowadzani pojedynczo lub parami (w celu skonfrontowania zeznań), poddani środkom nacisku psychicznego, a w końcowej fazie również oddziaływaniu fizycznemu, uczniowie gimnazjum imienia M. Konopnickiej znaleźli się w świecie surowym, jak twarz pierwszego komisarza Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją, towarzysza Feliksa Edmundowicza, którego portret wisiał w pokoju przesłuchań.

Jeśli chodzi o majora T. Dolatka, był on jednostką całkowicie oddaną sprawie budownictwa socjalistycznego, które rozumiał, jako nieustanną walkę z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym. Nieubłaganą wojnę wrogom ludu wypowiedział major Dolatek w wieku 18 lat, kiedy to trafił do organów bezpieczeństwa (prosto z lasu, z szeregów GL). Później były twarde lata budowy podstaw ustroju, walka z reakcyjnym podziemiem, wrogiem przenikającym do szeregów naszej partii. Jednocześnie aktywna działalność w ZWM, ZMP oraz PZPR. Studia na ASW ukończone z wyróżnieniem oraz nienaganna praca w resorcie, wielokrotnie nagradzana odznaczeniami państwowymi. Nie pijący, nie palący, mieszkający samotnie major (żona, jak mówiono, opuściła go z drugim i nie powróciła więcej) był jednostką tak pozytywną, że stał się, podobno, niewygodny dla przełożonych z Departamentu Śledczego. Dlatego oddelegowano T. Dolatka do nas, aby „postawił na nogi” Służbę Bezpieczeństwa na tutejszym terenie.

Niektórzy towarzysze twierdzą, że majora przeniesiono z powodu złej wymowy. Ta wada miałaby uniemożliwić awans w organach centralnych. Istotnie, major mgr T. Dolatek mówił czasem „lubieją” oraz z reguły kończył samogłoską „o” wyrazy na „ą” (mówił np. „mogo”, „zrobio”, „przyjdo”). Młodzi towarzysze z organów naśladowali ze śmiechem sposób wysławiania się szefa.

W swoim skromnym pokoju na pierwszym piętrze naszej Komendy major Dolatek od wczesnych godzin porannych przesłuchuje taśmy i podejrzanych, czyta meldunki informatorów, organizuje sieć inwigilacji i podsłuchów. Udziela instrukcji, niezmordowany w

pracy dla dobra socjalistycznej ojczyzny.

Jeśli chodzi o metodę przesłuchań, był zwolennikiem oddziaływania psychicznego przede wszystkim. Stworzenie sytuacji osaczenia, niepewności, osamotnienia. - Trzeba pozbawić wroga powiązań ze światem zewnętrznym. Zniszczyć jego wolę oporu! - powtarzał często podczas szkolenia. - Niech straci nadzieję!

Taką metodę stosował wobec Danusi Talarek porucznik Gawęda - funkcjonariusz w ciemnych okularach. Chciał znać odpowiedzi na dwa pytania: „Kto was namówił?” i „Za ile?”.

Ponieważ uczniowie sami napisali tekst, a „Komitet Wolnej Młodzieży Polskiej” był organizacją wymyśloną przez Krzysia Biedronkę, Danusia Talarek odpowiedziała zgodnie z prawdą: - Sami ułożyliśmy. Za darmo.

Podobne pytania i podobne odpowiedzi powtarzały się bez końca.

Porucznik Gawęda nie był zadowolony. - Wiemy o tobie wszystko - mówił przecierając szkła ciemnych okularów chusteczką. - Nie ma co owijać w bawełnę: w stanie upojenia alkoholowego trafiłaś to zakładu wytrzeźwień, gdzie zachowywałaś się wyzywająco, bijąc i obrzucając wyzwiskami pracowników. Było tak?

- Przeciwnie, proszę pana - protestowała Talarkówna. - To oni mnie wyzywali i bili.

- Słuchaj mała, porozmawiajmy poważnie. Zagrajmy w otwarte karty: powiesz nam, kto was zwerbował, my ci pomożemy przy maturze a potem na studiach, zgoda? Nikt z kolegów nie dowie się. To jasne.

Danusia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ze zdenerwowania miała nudności. Od czasu do czasu do pokoju wchodził major Dolatek. Zjawiał się niespodziewanie, stawał przy dziewczynie kładąc kościstą rękę na jej ramieniu i mówił: - No, Danusia, jeszcze ciebie tu trzymają? Po co ukrywać fakty? Mów prawdę, tylko prawdę. - Był życzliwy, zupełnie przeciwieństwo tego młodego.

- Panie majorze, ja naprawdę nie kłamię. My sami napisaliśmy ulotki.

- Twój upór napawa mnie trosko - uśmiechał się major. - Głęboko trosko, dziecko... - Opuszczał pokój przesłuchań.

Danusia płakała. Potem wezwany funkcjonariusz odprowadzał przesłuchiwaną do celi, zamykał, po chwili drzwi otwierały się ponownie:

- Talarek na przesłuchanie.

Schody, pokój w którym urzędował porucznik Gawęda w ciemnych okularach. Światło żarówki błyskało w szklach, kiedy zapadła noc. I ostre słowa porucznika:

- Prędszej, głupia, przestań beczeć! Przyznaj się bez bicia: kto i za ile?

- My sami, my sami - powtarzała Danusia. Drobna, w białej bluzeczce, zmiętej i poplamionej łzami. Siedziała na krześle, zapłakana.

Podobny przebieg miały przesłuchania pozostałych autorów ulotek. Po bezskutecznych próbach uzyskania wyjaśnień metodami nacisku psychicznego, najbardziej opornych poddano środkom przymusu fizycznego.

- Powąchaj, jak pachnie władza ludowa! - krzyczał do Krzysia Biedronki starszy sierżant sztabowy Smolarek - rudy funkcjonariusz o bladych oczach i rękach porośniętych czerwonymi włosami. „Orangutan!” mógł pomyśleć Krzyś. Widział te owłosione ręce, blade oczy i białą pałkę. Sierżant Smolarek podsuwał pałkę pod nos Krzysia, a następnie odpychał głowę chłopca krzyżąc: - Powąchaj, jak pachnie władza ludowa!

Krzyś schował okulary do kieszeni. Mrugał powiekami. Cofał się i zasłaniał ramieniem. Czuł zapach gумы, potu funkcjonariusza, widział owłosione ręce. Kiedy po raz pierwszy Smolarek uderzył go w głowę, krzyknął piskliwym głosem: - Nie macie prawa nas bić!

Smolarek tylko zaśmiał się. Tak mijała noc.

*

Rano wyszły na jaw nowe okoliczności. Dowiedziono Bogumiła Kwiatka alias Las Vegas, podejrzanego o napisanie i kolportowanie wrogiej „odezwy”. Major Dolatek kilkakrotnie przeczytał tekst szkalujący pracowników państwowego zakładu wytrzeźwień. Zbieżność dwóch akcji - tej zdemaskowanej na terenie gimnazjum oraz tej wykrytej dzięki czujności jednego z pracowników zakładu przy ulicy Prusa - wydawała się nie przypadkowa. Major osobiście zaczął przesłuchiwać dowiedzionego.

- Co wiecie o akcji w gimnazjum M. Konopnickiej? - padło pierwsze pytanie.

Las Vegas był zaskoczony. Może udawał?

Jednocześnie porucznik Gawęda pytał Biedronkę: - Co wiesz o Bogumile Kwiatku? Kto to jest Las Vegas?

Krzyś nie wiedział, co odpowiadać.

Kontynuowano oddziaływania fizyczne.

Mijały godziny. Przesłuchiwani z uporem trzymali się własnych wersji.

- Może mówio prawdę? - zaczął zastanawiać się major. Wezwał oficerów śledczych do gabinetu.

Podobno około piętnastej porucznik Gawęda podsunął Danusi druk z krótkim oświadczeniem: „Zobowiązuję się do przekazywania wiadomości na temat wszelkich nielegalnych akcji, wypowiedzi godzących w ustrój i władzę, rozpowszechniania wrogich

książek i tym podobnych działań osób, które znam” - przeczytała Danusia.

- Podpisz - powiedział porucznik. - Zostaniesz zwolniona. I zapomnimy o tych ulotkach...

Danusia wzbraniała się. - Nigdy na nikogo nie skarżyłam.

- Podpisz, podpisz. Chcesz siedzieć za ulotki?

Major Dolatek wszedł do pokoju i stanął za krzesłem. - Spotkacie się czasem na kawce. To wszystko. Popatrz, Danko, jaki przystojny kolega porucznik! No, podpisz, rodzice tam już czekają!

I zapłakana Danusia podpisała pierwsza. Tak przynajmniej twierdzili uczniowie, którym pokazano później „deklarację” z podpisem Talarkówny. Danusia kategorycznie zaprzeczyła. Czy inni podpisali? Funkcjonariusze nagle złagodnieli podobno - godzili się na różne „poprawki” w deklaracjach. Krzyś Biedronka nie chciał podpisać do końca.

- Żaden cyrograf, żadna współpraca - śmiał się major Dolatek słuchając wypowiedzi chłopca. - Czasem was poprosimy na króciutko rozmowę. To wszystko, kolego Biedronka. No, podpisz, podpisz. Już osiemnasta.

O dziewiętnastej Krzyś został zwolniony. Kiedy wyszedł na ulicę Bieruta, wydało mu się, że miasto wygląda inaczej. Ludzie byli jacyś inni - opowiadał później - domy, drzewa, nawet powietrze miało inny smak. Ojciec czekał na Krzysia przed bramą Komendy.

W sprawie Bogumiła Kwiatka, przesłuchanie - połączone z oddziaływaniem fizycznym - trwało nadal.

Rozdział X

Ajentka Z. Mamulowa stwierdza niedobór kasowy

Towarzyszka życia komendanta naszej MO, pułkownika magistra Mamuli - obywatelka Zofia Mamulowa - od wczesnych godzin porannych przebywała na stanowisku pracy w restauracji drugiej kategorii „Zamkowa”, w którym to zakładzie pełniła funkcję agentki na podstawie umowy zawartej z tutejszym Wydziałem Usług i Handlu. Głową pułkownikowej (na której piętrzyły się jasne loki misternie ułożone przez pracownice Zakładu Fryzjerskiego Nr 3) zaprzętała sprawa rozliczenia z Komitetem Miejskim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Chodziło o poczęstunek zamówiony z okazji zakończenia dwutygodniowego kursu dla instruktorów szkolenia ideologicznego, jaki zorganizowano w

siedzibie naszej partii.

Na podstawie zamówienia dostarczono: dwie skrzynki wódki „Wyborowej”, skrzynkę wódki „Soplica”, dwanaście skrzynek piwa „Żywiec”, pięć skrzynek piwa „Radeberger”, dziesięć transporterów oranżady, trzy półmiski jaj na twardo w majonezie, dwa półmiski śledzia po japońsku, jeden półmisek karpia w galarecie, cztery miski sałatki z jarzyn (przystrojonej natką pietruszki), dwa kilogramy pokrajanego sera salami (posypanego pieprzem tureckim) oraz trzy półmiski szynki w plastrach i kiełbasy zwyczajnej w kawałkach, po pięć dekagramów (przyjęcie z okazji zakończenia kursu odbyło się przed tygodniem). Zwróconą w dniu wczorajszym fakturę pokreślono czerwonym mazakiem nie uznając niektórych spośród wyszczególnionych pozycji. Ponadto zakwestionowano ceny oraz dokonano cięć niezgodnych ze stanem faktycznym, wyraźnie na szkodę agentki. Winą za powstałą sytuację Z. Mamulowa obarczała księgową Komitetu Miejskiego naszej partii, niejaką Stefanię Patek - była koleżankę z lat szkolnych - znaną ze swej, demonstrowanej za plecami Z. Mamulowej, wrogiej postawy wobec towarzyszki życia pułkownika Mamuli.

Udowodnienie błędów oraz złej woli księgowej Patek, wymagało opanowania i cierpliwości. Obecnie, aby wyrównać niedobór kasowy w stosunku do rozchodowanej masy towarowej, jak powiedziała do kelnerki kierowniczką zakładu, należało podjąć doraźne kroki w celu wyrównania deficytu poprzez rozcieńczenie kilku litrów wódki „Stołowej” - zwyczajnej, sprzedawanej na gramy, niedoważania niektórych asortymentów porcjowanych, jak na przykład kiełbasy zwyczajnej, zaniżenia wymienionej w instrukcji Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług ilości kawy naturalnej-parzonej na szklankę, obcięcia porcji cukru i tym podobnych prostych działań, które stratę miały wyrównać.

Zajęta kalkulacjami Z. Mamulowa przebywała w pomieszczeniu administracyjnym za bufetem, od czasu do czasu wzywając kelnerki, Jadzię i Krysię oraz kucharkę Kominiarczyk.

W dniu dzisiejszym agentka opuściła pokój służbowy i stanęła w drzwiach sali konsumpcyjnej około południa. Pojawienie się Zofii Mamulowej wywoływało zwykle szmer na sali. Obecni półgłosem wymieniali uwagi na temat wielkości tak zwanej dolnej części ciała agentki (wyjątkowych rozmiarów). Teraz przywitała ją cisza. Sala była pusta. Przy stoliku w kącie siedział jeden konsument spożywając sałatkę w majonezie oraz szklankę kawy czarnej-parzonej (która zawierała zapewne niezgodną z instrukcją ministra Handlu Wewnętrznego i Usług ilość deficytowej używki).

- Kochane moje - zwróciła się Z. Mamulowa do dwóch kelnerek siedzących przy służbowym stoliku obok bufetu z oszkloną gablota.

- Co się tu dzieje?

- Nie wiemy, pani kierowniczo - odpowiedziały zgodnie z prawdą kelnerki Jadzia i Krysia, zajęte rozmową i paleniem papierosów „Carmen”. Napoczęta paczka leżała obok tabliczki z napisem „stolik służbowy”.

- Chwileczkę, która godzina? - zadała kolejne pytanie pani Zofia.

Obie kelnerki wyjaśniły, że minęła właśnie godzina dwunasta, o czym świadczył płynący z radioodbiornika hejnał z wieży Mariackiej. Po czym ponownie usiłowały powrócić do palenia i rozmowy na tematy niezależne. Z. Mamulowa nie pozwoliła na to. Zdenerwowana, kołysząc ogromnym siedzeniem, rozpoczęła obchód pustej sali głośno komentując fakt powszechnej, można by powiedzieć totalnej, absencji. Czyste serwety oraz krzeselka przysunięte do krawędzi stolików świadczyły, że od rana zakład stał pusty. Było to zjawisko tak niezwykle, że Z. Mamulowa sprawdziła, czy drzwi wejściowe przypadkiem nie są zamknięte na klucz (przeczyła zresztą takiej ewentualności obecność obywatela spożywającego w kącie sałatkę w majonezie).

Niepokój agentki zakładu gastronomicznego „Zamkowa” był w pełni uzasadniony. Zwykle o godzinie dwunastej w południe salę konsumpcyjną „Zamkowej” wypełniał gwar i zaduch, wszystkie stoliki były zajęte, a ilość butelek piwa, wina i wódki, jakie znajdowały się na stołach, świadczyła o wysokich obrotach i przyczyniała do podniesienia znanej powszechnie statystyki GUS, z której wynikało, że ilość litrów stuprocentowego spirytusu etylowego na głowę jednego obywatela w naszym kraju jest najwyższa na świecie.

- Co się dzieje, moje kochane? - powtórzyła bezradnie Z. Mamulowa, zajmując pozycję za obitym blachą bufetem i stając się pozornie wiotką kobietą z upiętą wysoko fryzurą z jasnych loków. - Przecież jest piwo!

Proszę pana - zwróciła się do spożywającego sałatkę obywatela - może piwko podać?

Obywatel z kąta zamamrotał niezrozumiale i jakby trwożliwie obejrzał się przez ramię. Za szybą restauracji „Zamkowa”, przesłoniętej muślinową firanką, przechodzili obywatele śpieszący w rozmaite strony, przejeżdżały pojazdy mechaniczne. Z radioodbiornika płynął hejnał. Czas biegł naprzód.

Chwilami Z. Mamulowa miała wrażenie, że drzwi wejściowe zaraz się otworzą i wtoczy się tłum znanych dobrze postaci przepijających tu ostatnie zarobione pieniądze. Tłum, który obecnie przyjęłaby z radością - serdecznie, nawet osobiście zapraszając do stolików. Całą tę pijaną hałastrę: tych wszystkich urwipołciów, jak mówiła, urodzonych w niedzielę, obiboków. Nigdzie nie zatrudnionych, nigdzie nie meldowanych, zawsze w stanie wskazującym na spożycie. Tymczasem znudzone kelnerki paliły papierosy „Carmen”, kucharka Kominiarczyk zaglądała do kuchni. Połyskiwały na półkach napoje oprocentowane:

Stołowa, Myśliwska, Jarzębiak, Cherry Cordial, Śliwowica, Gorzka, Orzechówka... Skrzynki z piwem wyglądały zza bufetu, wino „Wino” w transporterach po trzydzieści sztuk. Jakby nikomu niepotrzebne.

Około trzynastej agentka poszła do pokoju za bufetem w celu porozumienia się z innymi zakładami gastronomicznymi, a przede wszystkim z zaprzyjaźnioną kierowniczką baru „Kubanka” przy Placu Zwycięstwa.

- Pani Haneczko - powiedziała po wykręceniu odpowiedniego numeru i zgłoszeniu się abonenta - co się tam u was dzieje? Jest komplet?

Z potoku słów, jaki natychmiast popłynął do ucha Z. Mamulowej (pani Haneczka - ta sama, która przed kilkoma dniami oddała w ręce sił porządkowych Dyktę-Jagodzińskiego - potrafiła mówić bez przecinka) wynikało, że praca w zakładzie gastronomicznym „Kubanka” napotyka na podobne zakłócenia, jak w restauracji „Zamkowa”.

- Skąd komplet, pani Zosiu! Jaki komplet? Od rana pustki! Stoją tu i pikietują jacyś! Po prostu nie wpuszczają ludzi do środka...

- Co pani mówi, co pani mówi? - powtarzała z przejęciem Z. Mamulowa. - Pikietują?

- Pikietują, pikietują, pani Zosiu. Po prostu prowokacja!

Rozmowę przerwało pojawienie się kelnerki Krysi, wysłanej poprzednio przez agentkę do miasta. Krysia potwierdziła opinię kierowniczką „Kubanki”: - Wszędzie stoją pikiety! Po dwóch, trzech, pani kierowniczo. Z tych, którzy tu zawsze siedzą. Zatrzymują bezczelnie ludzi, zawracają od drzwi... Nawet posłyszałam rozmowę, kiedy jeden kolejarz chciał wejść. Drugi go nie wpuścił. „Nie pójdziesz, człowieku i koniec!” „Dwa dni i będzie po krzyku...”

- Jakim krzyku? - zapytała Z. Mamulowa odkładając jednocześnie słuchawkę, z której płynął potok słów pani Haneczki.

Kelnerka Krysia nie wiedziała. Dodała jedynie do siebie: - Tam stoi ten, co zawsze je szklanki, aż człowiekowi robi się niedobrze.

- Szklanki? - powtórzyła Zofia Mamulowa wykręcając numer Komendy. - Szklanki? Z pułkownikiem Mamulą, proszę - powiedziała głosem zmienionym. I zaraz zaczęła żalić się przed mężem: - Zomuś - mówiła (tego pieszczotliwego imienia nie należy kojarzyć ze znanymi Zmechanizowanymi Oddziałami Milicji Obywatelskiej; było to zdrobnienie imienia Zygmunt, wymyślone przez Z. Mamulową przed laty, kiedy komendant - wówczas w stopniu porucznika - zaręczył się z obecną agentką) - Zomuś, czy wiesz co się dzieje? Element nie dopuszcza konsumentów do zakładu, obroty spadły!

Pułkownik Mamula był już poinformowany o akcji elementów pasożytniczych. Odpowiedział krótko: - Nie denerwuj się, Zosia. Mamy do czynienia z zakrojoną na szeroką

skalę akcją wymierzoną w ład i porządek.

- Co to znaczy, Zomuś - pytała płaczącym głosem Z. Mamulowa - o co im chodzi? Dlaczego zakłócają spokój?

- Nie wiadomo. Na razie podjęliśmy wstępne kroki w celu przeciwdziałania.

- Zomuś, zabierzcie tych ludzi z ulicy. Oni tu stoją przed zakładem. Dopuścili jednego konsumenta, który nawet piwa nie zamówił!

Pułkownik przerwał połączenie, jak zawsze bez uprzedzenia.

Z. Mamulowa wykrzyknęła jeszcze raz do niemej słuchawki: - Zomuś, ja mam niedobór w kasie!

Niepokój Z. Mamulowej był uzasadniony. Jakkolwiek niedobór wystąpił na skutek działania księgowej z KM naszej partii - okoliczności uniemożliwiające szybkie pokrycie wspomnianego niedoboru były spowodowane akcją elementów pasożytniczych.

Z. Mamulowa wyszła z lokalu i zbliżyła się do mężczyzn stojących na ulicy Bieruta, kilka kroków od wejścia do restauracji. - Rozejść się! - zawołała. - Co tu robicie? Zaaresztuj was. Właśnie rozmawiałam z mężem!

Bez słowa, nie wdając się w rozmowę z agentką, wspomniana grupa, w której wyróżniał się obywatel w zielonym swetrze-golfie, wycofała się do pobliskiej bramy. W przypływie zrozumiałego oburzenia agentka podniosła garść rozsypanego obok okienka do piwnicy miału węglowego i cisnęła za oddalającą się grupą. - Wnocha! - krzyknęła piskliwym głosem. Tymczasem siły porządkowe istotnie podjęły wstępne kroki, jak powiedział pułkownik, celem przeciwdziałania. Patrole zatrzymały prowokatorów utrudniających dostęp do zakładów gastronomicznych i sklepów monopolowych. Zatrzymanych poddano przesłuchaniom. Trzeba powiedzieć, że przed siłami porządkowymi od początku piętrzyły się trudności. Zatrzymani nie chcieli zeznawać, ci z ulicy uciekali do bram i na podwórka. Na murach porozklejano „Odezwę-manifest”. Wypisywano wrogie hasła: „Przechowalnia dla czerwonych”, inicjały „AB” z wykrzyknikiem. Nadchodziły sygnały o innych wybrykach.

Zofia Mamulowa powróciła do obliczeń matematycznych. Niedobór kasowy, w stosunku do rozchodowanej masy towarowej, jak mówiła, wynosił pięć tysięcy. Nie można było przeciwdziałać. A przecież wydatki, to była studnia bez dna. - Skąd ja mu nastarczę pieniędzy? - mogła myśleć o mężu. Pułkownik budował dwa domy: jeden na terenie ośrodka nad rzeką Słonką, drugi na działce szwagra w Gorcach. Wprawdzie koszty remontu mieszkania przy M. Nowotki oraz przebudowy willi (z której przed tygodniem wysiedlono do bloków pięć rodzin) pokrywał resort, ale co na przykład z wozami na nazwiska kuzynki i

szwagra? Z kurzą farmą? Z wyjazdem Pawełka do Nepalu? Zomś może sobie ręce urobić po łokcie, wszystkich więźniów zagonić do pracy! Jak ja nie nastarczę pieniędzy, to nic z tego nie będziemy mieli...

Weszła kelnerka Jadzia: - Pani kierowniczo, jest nowy konsument.

- Co zamówił?

- Jajko na majonezie i herbatę.

- Wyjdź! - krzyknęła pani Zofia. - Chyba widzisz, że liczę! - Drobnią dłonią uderzyła w blat biurka, aż podskoczyła szklanka z czarną kawą (ilość deficytowej używki była w tym wypadku zgodna z normą przewidzianą w instrukcji Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług).

Rozdział XI

Dowieziony J. Sikora stosuje środki przymusu

O godzinie dziewiętnastej dwudziestego piątego bm. w Zakładzie Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n. przy ulicy Prusa panowała cisza. Nie słychać było klekotu drewniaków opiekunów zmianowych śpieszących korytarzem po kolejnego obywatela w stanie upojenia (dowiezionego przez przedstawicieli sił porządkowych), nie dzwonił dzwonek przy drzwiach. Tablicy z napisem „Zakład Rehabilitacji Zakłóceń” nie omiały niebieskie światła lamp-migaczy z dachów radiowozów. Nikt nie krzyczał, nikogo nie trzeba było wlec do szatni, a następnie do pokoju depozytora Kota. Środki przymusu fizycznego normalnie stosowane o tej porze wobec dowożonych przedstawicieli marginesu były niepotrzebne: nikogo nie dowieziono.

Przebywający na terenie zakładu etatowi pracownicy prowadzili na ten temat rozmowy, próbując wyjaśnić przyczyny niespodziewanych zakłóceń w pracy placówki wytrzeźwień.

- Ty, Jasiu - mówił do depozytora Kota wzorowy pielęgniarz Ful - nie wierzyłeś. Tak samo jak Seta. Obaj kładliście laskę na dokumentach i całej sprawie. A teraz masz! Absencja!

- Przestali pić! - mówił J. Kot, „człowiek na poziomie”. Niespokojnie krążył po sali specjalnej obok pokoju, gdzie normalnie urzędował. - Przestali pić!

W sali tej pielęgniarz Ful wiercił otwory na haki, które miały być umocowane na amen, jak powiedział, aby żaden palant nie podskoczył. Przerażliwy jazgot wiertarki, którą co pewien czas E. Ful uruchamiał wierząc kolejny otwór, zakłócał ciszę. Stojąc na drabince, z

wiertarką w dłoniach, E. Ful oświadczył tonem opryskliwym: - Gdzie tam „przestali pić”! Co ty, Jasiu, posuwasz? Najwyżej możesz mówić o „przerwach w spożyciu”. Wystąpiły przerwy w spożyciu, tak jest, na skutek, jak wiesz, akcji tego ptaszka Kamieniaka!

- Ogólnie rzecz biorąc, Edziu, spada spożycie...

- Gdzie tam spada! - mówił wzorowy pielęgniarz przymierzając się do nowego otworu. - Oficjalnie, jasna rzecz, spada, bo nikt ci nie powie, że rośnie, ale między nami mówiąc rośnie, jak jeszcze nigdy nie rosło. Chcesz mi wmówić, że spada? Jasiu! - E. Ful obrócił się na chwilę, żeby spojrzeć z góry na przygnębionego depozytora. Następnie przytknął wiertło do ściany i nacisnął klawisz. Przerażliwy jazgot słychać było nie tylko na terenie budynku, ale również na ulicy Prusa, a nawet za rzeką, w której odbijały się jarzeniowe latarnie.

- Mnie to wiesz - oświadczył J. Kot - zasadniczo to sprawa wisi. Ale jakby tak przyszło zmieniać obecnie miejsce zatrudnienia, to te wszystkie kłopoty, trudności, nowe układy, wiesz, Edziu, o co idzie?

- Daj spokój, daj spokój! - powiedział niezbyt wyraźnie E. Ful przyciskając ponownie spust wiertarki.

Haki, które zamierzał przymocować „na amen”, aby żaden palant nie podskoczył, były kolejną inicjatywą wzorowego pielęgniarza - jego pomysłem racjonalizatorskim, zatwierdzonym przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Białe w ścianę oraz zaopatrzone w specjalne szelki z rękawami bez otworów, miały skutecznie przeciwdziałać agresywnym postawom nieodpowiedzialnych elementów dowiezionych w stanie upojenia. Tych najbardziej niebezpiecznych. Obleczeni w szelki, z rękami unieruchomionymi, półwisząc na wspomnianych hakach, obywatele ci będą po prostu nieszkodliwymi baranami lub palantami, jak mówił E. Ful, wyjaśniając zasadę nowego pomysłu.

- Ty, Edziu, masz głowę! - podziwiał kolegę depozytor J. Kot. - Marnujesz się u nas, jak Boga kocham!

Około godziny dziewiętnastej trzydzieści ostry dźwięk dzwonka przy drzwiach przerwał ciszę panującą w zakładzie. Wszyscy etatowi pracownicy wybiegli na korytarz, a następnie klekocząc drewniakami pobiegli w kierunku drzwi. Kiedy wzorowy pielęgniarz E. Ful uchylił okienko - wizjerek, zobaczył dobrze znaną scenę: przedstawiciele sił porządkowych wysadzali z radiowozu barczystego obywatela, którego zachowanie wskazywało na spożycie znacznej ilości alkoholu. Obywatel ten, omiatany niebieskim światłem lampy z dachu radiowozu, zachowywał się wyjątkowo agresywnie. Obrzucał przedstawicieli sił porządkowych wulgarnym słownictwem, szamotał się oraz uniemożliwiał

normalne doprowadzenie do drzwi. Przez chwilę wzorowy pielęgniarz z podziwem obserwował przez okienko postawę nieznanego obywatela, którego usiłowało doprowadzić aż czterech funkcjonariuszy. Cała piątka zataczała się, trzem funkcjonariuszom spadły czapki. Klnąc, sapiąc i dysząc, powoli zbliżyli się do drzwi zakładu.

- Edziu - powiedział stojący obok E. Fula opiekun Nicpoń - będzie cyrk! - I zatarł ręce.

Młody personel naszej Izby, tak niespodziewanie pozbawiony codziennej porcji silnych wrażeń, obecnie palił się do pracy (zgodnie z profilem naszego zakładu).

- Dawać go tu! - powiedział opiekun Ćmielewski. - Na hak, palanta!

- Tak jest! Na hak, na hak! - śmieli się młodzi opiekunowie.

Jednakże w chwili, kiedy E. Ful otworzył drzwi oraz znalazł się naprzeciw dowieszonego - zapał młodego personelu zgasł, jak przysłowiowy płomień. E. Ful cofnął się o krok w głąb korytarza, a za jego przykładem cofnęli się wszyscy etatowi opiekunowie zmianowi. Obywatelem, którego wulgarne słownictwo natychmiast zakłóciło ciszę panującą na korytarzu naszej Izby, okazał się - znany wszystkim pracownikom - prokurator okręgowy mgr J. Sikora. Dowożony co pewien czas, jak to miało miejsce w dniu dzisiejszym, prokurator Sikora sprawiał pracownikom zakładu (jak również dowożącym go milicjantom) mnóstwo kłopotów i przykrości.

- Rury połamane, sankcje na was! - wołał szarpiąc się z przedstawicielami sił porządkowych.

- Bierzcie go, szybciej! - wystękał funkcjonariusz bez czapki. - Nabuzowany jak nigdy!

W milczeniu, bez zapału, a nawet z pewnym ociąganiem, młodzi pracownicy zmianowi chwycili prokuratora Sikorę pod ramiona usiłując odciągnąć od drzwi wejściowych. Zmęczeni funkcjonariusze otrzepywali spodnie, obciągali kurtki i wkładali czapki.

- Narozrabiał w „Turystycznej”, kierowniczką zadzwoniła: „ratujcie, panowie, rozbije zakład!” - opowiadał ciężko dysząc sztabowy Smolarek (aktywny uczestnik przesłuchania wrogich uczniów). - Przyjeżdżamy, a tam sądny dzień! Lustro w lokalu rozbite, serwety ze stołów pościągane. Konsumenci opuścili lokal. A on szczał po stołach.

- Nie mogliście do żony zawieźć?

- W żadnym wypadku! - oświadczył funkcjonariusz. - Ty, Edziu, wiesz dobrze, że w takim stanie żona go nie przyjmie. Niech się u was prześpi.

Tymczasem prokurator mgr J. Sikora wykrzykiwał obraźliwe hasła:

- Wy palanty! - krzyczał obrażając młodych pracowników zakładu. - Ręce precz, bo dam sankcje!

E. Ful zamknął drzwi za przedstawicielami sił porządkowych, a następnie udał się w ślad za opiekunami usiłującymi obezwładnić dowiezionego.

Sytuacja podobna, jak w dniu dzisiejszym, powtarzała się co pewien czas. Zawsze wtedy, gdy prokurator J. Sikora nadużył alkoholu w stopniu poważnie zakłócającym ośrodkowy układ nerwowy. Budzący wśród pracowników naszej Izby zrozumiały lęk i szacunek, prokurator Sikora ulegał mniej więcej raz na miesiąc gwałtownej presji - owemu, tak dobrze znanemu obywatelom alkoholikom, głodu. „Ssało go”, jak mówił. Rozpoczęła się trzydniówka kończąca pobytem w zakładzie. Trzydniówka, podczas której miały miejsce ekscesy, których prokurator nie pamiętał później, a które, jak np. rozbicie w dniu dzisiejszym lustra w restauracji „Turystyczna”, prędzej czy później narażały magistra na przykre uwagi znanych działaczy polityczno-społecznych oraz jeszcze bardziej uzależniały od humoru i pobłażliwego stosunku wspomnianych towarzyszy. Zwłaszcza major Dolatek lubił wypominać prokuratorowi kolejne „rozmowy”. Niby żartobliwie groził palcem i mówił: - Oj, narozrabiał towarzysz prokurator, narozrabiał!

- Majorze - tłumaczył się skruszony J. Sikora - człowiek musi czasem pofolgować sobie!

T. Dolatek krzywił się, jakby w uśmiechu: - Pofolgować, pofolgować, a ludzie poturbowani, państwowy sprzęt rozbity. Oj, prokuraterek, prokuraterek!

Magister J. Sikora doznawał nieprzyjemnego ucisku w żołądku po uwagach majora. I stawał się zapewne bardziej niż przedtem dyspozycyjny - był gotów spełnić każde polecenie. Najczęściej żądano czegoś przez telefon.

- Jasiu - dzwonił na przykład pułkownik Z. Mamula - daj sankcje na tego ptaszka - tu wymieniał nazwisko. - teczkę ci przyślemy. - Albo: - Jasiu, potrzebne postanowienie o przeszukaniu - tu znów padało nazwisko.

Prokurator spełniał każde polecenie. I tylko z upływem lat pił jakby więcej. Owe prokuratorские trzydniówki powtarzały się coraz częściej, sprawiając pracownikom naszego zakładu coraz więcej kłopotów, ponieważ, z biegiem lat, również zachowanie prokuratora stawało się jakby bardziej agresywne, wulgarne słownictwo wyszukane, a kopniaki i ciosy, jakie spadały na młodych opiekunów zmianowych, mocniejsze. Ten ogromny mężczyzna w granatowym garniturze i żółtych półbutach, ważący sto dwadzieścia kilogramów i mierzący blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wykrzykujący tubalnym głosem wyzwiska - stał się z czasem postrachem naszego zakładu. Jego autorytet w oczach młodych opiekunów

zmianowych rósł wbrew oczywistej pozycji prokuratora w życiu społeczno-politycznym naszego miasta, o czym etatowi pracownicy zakładu (z wyjątkiem zapewne towarzysza M. Sety) nie wiedzieli. Dlatego, chcąc nie chcąc, znosili środki przymusu fizycznego, jakie wobec nich stosował, zanim - po długiej szarpaninie - nie udało się zaprowadzić prokuratora do sali przeznaczonej dla działaczy społeczno-politycznych oraz kadry kierowniczej administracji państwowej.

Tak było w dniu dzisiejszym. Pod kompozycją z kartonowych gołąbków, wokół portretu W. I. Lenina i hasła „Pokój, Przyjaźń, Socjalizm!”, prokurator Sikora wyrwał się czterem młodym opiekunom, poczem zerwał czerwone płótno z dekoracją. Na podłogę, tuż obok opiekuna Ćmielewskiego, spadł portret wodza rewolucji. Głośno stuknął o płytkę PCV. Szkło rozprysnęło się i zaraz zaczęło chrzęścić pod chodakami. Papierowe gołąbki sfrunęły lekko. Czerwony materiał opadł na ramiona J. Sikory.

- Sankcje na was, buce! - krzyczał dowieziony. Następnie przystąpił do bicia i kopania personelu. Opiekunowie uciekali. E. Ful patrzył bezradnie na pobojuwisko oraz wysłuchiwał wulgarnych okrzyków. W pewnej chwili nie zdążył odskoczyć: cios potężnej pięści rzucił go na ścianę. W głowie zakołatały dzwoneczki.

- Sankcje! Wszystkim sankcje! Nie wyjdziecie z pudła, buce!

- Ty, Wiesiek, biegnij po pasy, worek trzeba! - zawołał Nicpoń do Ćmielewskiego.

Opiekunowie uciekając gubili chodaki. J. Sikora, z czerwonym płótnem na ramionach, biegł wymachując pięściami. Ślizgał się na rozbitym szkle.

Dopiero po upływie godziny udało się wszystkim obecnym w zakładzie pracownikom obezwładnić szaleńca. Omotany workami i szelkami został powalony na podłogę zasłaną szkłem (oprócz portretu wodza rewolucji poszła także szyba za kratami w wahadłowych drzwiach), a następnie przeniesiony do specjalnej sali. Stękając i omdlewając z wysiłku, pracownicy naszej Izby zdołali ułożyć wyżej wymienionego na kanapie, przywiązać pasami, otulić kołdrą oraz opuścić pokój. Wychodząc E. Ful włączył telewizor „Rubin” mając nadzieję, że pozytywne wiadomości z ostatniego plenum KC PZPR, przekazywane przez uśmiechniętego spikera w niebieskim garniturze, wpłyną kojąco na stan psychiczny prokuratora mgr J. Sikory.

Wyczerpani pracownicy zakładu zebrali się w depozytorni. Dwóch opiekunów ścierało krew z rąk i twarzy. Naokoło oka E. Fula wystąpił fioletowy obrzęk. Słysząc było przyspieszone oddechy, ktoś klął.

- Idźcie, chłopcy, posprzątać - powiedział starszy zmianowy. - Trzeba zmieść szkło z podłogi.

- Ja bym mu dał sankcje! - westchnął E. Nicpoń.
- Lenina podnieście. Jeszcze kogoś dowiozą i będzie polka! - zaniepokoił się J. Kot.
- Kogo ci dowiozą, Jasiu? Drugiego takiego palanta chyba. Możesz spać spokojnie.

Istotnie, zanosilo się na dalszą niespodziewaną absencję nękającą wzorowy zakład. Po paru minutach, kiedy znużony prokurator Sikora zasnął w izbie z kolorowym telewizorem - na terenie Zakładu RZOUN ponownie zapadła cisza. Nikt nie biegł korytarzem, aby otwierać drzwi, nie słyhać było dzwonek, lampy-migacze nie błyskały niebieskim światłem. Nikt nie krzycał. Przez chwilę jeszcze chrzęściło pod chodakami szkło i szeleściły papierowe gołębki. Później i te odgłosy ucichły. E. Ful macał skórę wokół podbitego oka, wyglądał na pustą ulicę, poświstywał przez ubytek w górnej szczęce. W ciemności, połyskując światłami, płynęła rzeka.

Rozdział XII

Sytuacja społeczno-polityczna w naszym mieście tematem obrad egzekutywy naszej partii oraz nielegalnego Komitetu

Jak wiadomo jednym z punktów sprzedaży alkoholu jest portiernia w gmachu naszej partii przy ulicy M. Nowotki. Portier, niejaki Szczęśliwiak, zwany „Ślepakiem” z powodu braku lewego oka (którego oczodół zarośnięty błoną może przestraszyć niejedno dziecko, a nawet dorosłego obywatela), jest jednocześnie szatniarzem. Z portierni-szatni ma dobry widok na hol, schody oraz drzwi główne, od których rozchodzą się czerwone chodniki. Po chodnikach tych od rana do zmroku przemieszczają się etatowi towarzysze.

U S. Szczęśliwiaka, czyli u pana Stasia alias Ślepaka lub Nelsona, jak go czasem nazywają, można otrzymać butelkę „Stołowej” o każdej porze, z wyjątkiem pory nocnej, kiedy jest nieobecny. Z tego powodu do siedziby naszej partii przybywają nie tylko działacze i organizatorzy życia społecznego, ale również obywatele, którzy chcą nabyć niezwłocznie pół litra wódki czystej „Stołowej”. Obywatele ci wypowiadają się na ogół cicho, rozglądając się jednocześnie na boki: Panie Stasiu, pół ela proszę!

Bez słowa, szybkim ruchem przechylając się przez barierkę, portier Ślepak wkłada do torby lub teczki przygotowaną butelkę, a następnie inkasuje należność. Niektórzy upierają się, że ten emerytowany klawisz, jak mówią, ma dwa etaty. Wiadomo, gdzie drugi. Na poparcie przytaczają opinie znajomych funkcjonariuszy.

26 bm. gmach naszej partii od wczesnych godzin porannych zapełniał się towarzyszami przybywającymi na posiedzenie egzekutywy, zwołane w celu omówienia aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w naszym mieście, w związku z próbami naruszenia ładu i porządku.

Mimo stanu wzburzenia, w jakim towarzysze znajdowali się, wielu zwróciło uwagę na szatniarza Szczęśliwiaka, zwykle witającego gości KM wesołymi powiedzonkami (np. „moje uszanowanie dla towarzysza dyrektorka!”), zarcikami, pogodnego, tryskającego humorem mimo braku oka. Obecnie, ponury i nieogolony szatniarz Ślępak, trzęsącymi się rękami, odbierał płaszcze i kurtki towarzyszy, bez słowa wręczając numerki.

Powodem zdenerwowania towarzysza Szczęśliwiaka była krótka rozmowa przeprowadzona w dniu wczorajszym z bliżej nieznanym obywatelem-kolejarzem, który niespodziewanie przybył do gmachu naszej partii, zbliżył się do barierki szatni-portierni i zamiast normalnie poprosić o flaszkę, wypowiedział się mniej więcej następująco: - Panie Szczęśliwiak, zawiadamiam pana, że w mieście jest bojkot alkoholowy. Mamy nadzieję, że pan zawiesi na kołku swój interes. Na parę dni. Inaczej mogą być przykrości - dodał już odchodząc.

- Te, panie - krzyknął portier przechylając się przez barierkę, ale nieznanemu kolejarz szybko opuścił budynek naszej partii.

Dodatkowo na stan Szczęśliwiaka wpłynął wyraźny spadek obrotów w handlu wyrobami PMS. Interesu nie trzeba było „wieszać na kołku”, jak wyraził się nieznanomy.

W tej sytuacji portier Ślępak z niepokojem oczekiwał wyników egzekutywy. Choć sam nie był jej członkiem, w odpowiednim momencie znalazł się na sali: po prostu wszedł z krzeselkiem, które ustawił przy drzwiach, jakby miał tam wyznaczone miejsce. W szatni zastąpił go kolega-ormowiec - palacz Kozłowski zatrudniony w motelu „Na szlaku”.

Punktualnie o godzinie dziewiętej posiedzenie otworzył pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczący Okręgowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, wiceprzewodniczący Komitetu Obrońców Pokoju, radny - przewodniczący Komisji do Walki ze Spekulacją i Marnotrawstwem, wiceprezes Zarządu Okręgowego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, członek Sztabu Wojewódzkiego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz innych organizacji społeczno-politycznych - towarzysz Czesław Mizera. Stukając ołówkiem w blat stołu przykryty zielonym suknem, upomniał towarzyszy: - Proszę o ciszę, zaczynamy!

A tymczasem za stołem sadowili się:

komendant Milicji Obywatelskiej, wiceprzewodniczący Okręgowego Komitetu Frontu

Jedności Narodu, przewodniczący Komitetu Obrońców Pokoju, prezes Okręgowego Zarządu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, komendant Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, zastępca komendanta Sztabu Wojewódzkiego, radny - zastępca przewodniczącego Komisji do Walki ze Speculacją i Marnotrawstwem, aktywny członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz działacz wielu innych organizacji - towarzysz pułkownik mgr Z. Mamula;

dyrektor Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń, były sekretarz Komitetu Wojewódzkiego w R., aktywny działacz Frontu Jedności Narodu oraz Komitetu Obrońców Pokoju, radny - członek Komisji do Walki ze Speculacją i Marnotrawstwem, działacz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz innych organizacji - towarzysz M. Seta;

naczelnik Urzędu Miasta i Gminy, aktywny członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, działacz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Frontu Jedności Narodu, Komitetu Obrońców Pokoju, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, delegat naszej Partii na V Zjazd PZPR - towarzysz mgr A. Kochanek;

dyrektor państwowej szkoły stopnia licealnego imienia M. Konopnickiej, członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodnicząca Okręgowego Zarządu Ligi Kobiet, wiceprzewodnicząca Zarządu Okręgowego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, aktywna działaczka na rzecz pokoju, radna - członek Komisji do Walki ze Speculacją i Marnotrawstwem - towarzysza H. Mizerowa;

prokurator okręgowy, zasłużony członek naszej partii, prezes Okręgowego Zarządu ZPP, działacz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Frontu Jedności Narodu, Komitetu Obrońców Pokoju, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i innych organizacji - towarzysz mgr J. Sikora;

dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych „Budopol”, członek Stronnictwa Demokratycznego, przedstawiciel Prezydium Komitetu Okręgowego SD na tej sali, działacz na rzecz pokoju, członek Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Frontu Jedności Pokoju, TPPR i innych organizacji - inżynier A. Stala;

dyrektor Zespołu Państwowych Gospodarstw Rolnych Dzierżoniów-Dąbki-Marcinkowice-Rostki, aktywny działacz ludowy, członek Komitetu Okręgowego ZSL - inżynier Z. Cyganek;

dyrektor Zakładów Meblowych „Meblomet”, działacz naszej partii, radny, członek Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Frontu Jedności Narodu, Komitetu Obrońców Pokoju, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej - inżynier magister J.

Grochmalicki;

Inni towarzysze. Jako ostatni miejsce za stołem zajął towarzysz major mgr T. Dolatek.

- Zebraliśmy się, aby omówić środki przeciwdziałania zakłóceniom, jakie mają miejsce w naszym mieście - rozpoczął wystąpienie sekretarz Mizera. - Jak wiecie elementy chuligańskie przystąpiły do szeroko zakrojonej akcji wymierzonej w ład i porządek. Ogłoszono bojkot zakładów gastronomicznych oraz sklepów monopolowych. Jednocześnie podjęto niewybredną kampanię oszczerstw przeciwko zasłużonej placówce, jaką jest Zakład Rehabilitacji Zakłóceń, którego dyrektor, towarzysz Mieczysław Seta, znajduje się na tej sali. Personel zakładu, wykonujący swoją ciężką pracę z poświęceniem, obrzuca się wyzwiskami, szkaluje w rozpowszechnianym nielegalnie „Manifeście”, wypisuje na murach wrogie hasła i tak dalej. Jak wiecie, towarzysze - mówił zatroskany pierwszy sekretarz - postawa towarzysza Sety nie budzi żadnych zastrzeżeń. Jako członek partii jest on całkowicie oddany sprawie budownictwa socjalistycznego. Taką samą opinię można wydać o wszystkich pracownikach zakładu wytrzeźwień. Więc nie o to tu chodzi...

Natychmiast po wypowiedzi towarzysza Mizery głos zabiera pułkownik Mamula: - Ja, towarzysze, pragnę zapytać kierownika Setę, jak to się stało, towarzyszu Seta, że dopuściliście do zaistniałej sytuacji? Towarzysz Czesław was broni, ale jak mówią, bez dymu nie ma ognia! Wysuwane są przeciwko wam zarzuty odnośnie czerpania korzyści osobistych, różnych ewidentnych nadużyć i tak dalej...

Kierownik Seta podnosi się z miejsca, z rumorem odsuwając krzesło:

- Ja, towarzysze, nie rozumiem, o co tu chodzi? Mam złożyć rezygnację? Proszę bardzo, dziś przekazuję zakład!

Uwagę portiera Ślepaka zwraca wzburzenie, jakiemu ulega zasłużony działacz. Wyrwany ze snu o piątej rano (przez kierowcę wołgi wysłanej do ośrodka „Eldorado” przez pierwszego sekretarza), zaskoczony bojkotem zakładu wytrzeźwień oraz sytuacją w mieście - kierownik Seta nie może obecnie opanować drżenia rąk. W chwili, kiedy nalewa do szklanki „Mazowszankę”, szyjka butelki podzwania o szkło. Kark przypominający golonkę, jakby przybladł trochę.

- Ja, towarzysze, po prostu nie wiem, o co tu chodzi? Jak wiecie, dysponujemy najlepszym obiektem wytrzeźwień w całym województwie. Specjaliści-wykonawcy zadbali o nowoczesne rozwiązania. Jest biblioteka, świetlica. Szeroka możliwość rekreacji. Tymczasem na porządku dziennym są zanieczyszczenia, dewastacja sprzętu. Straty sięgają miliona złotych. Teraz jeszcze ten bojkot! - Tu zasłużony działacz przerywa, aby ponownie napić się „Mazowszanki”. - Co do zarzutu, jakoby pracownicy czerpali korzyści, odwołam się do opinii

towarzyszy, którzy na terenie naszego zakładu przebywali i mogą się wypowiedzieć. Ja tu widzę kilku towarzyszy na sali.

Po tej wypowiedzi zapada milczenie. Kierownik Seta sadowi się na krześle z powrotem. Dopiero po pewnym czasie prosi o głos dyrektor „Meblometu” - inżynier Grochmalicki.

- Ja u towarzysza Sety nie byłem i mam nadzieję, nie będę! - wyjaśnia zaraz na wstępie. - My tu sobie gadu, gadu, ale może dowiemy się konkretnie jakie środki podjęto w celu przeciwdziałania zaburzeniom? Towarzysze wzajemnie się oskarżają, a my nie wiemy, co zrobiono, aby nie dopuścić do eskalacji wystąpień? Dziękuję.

- Kto kogo oskarża? - pyta kierownik Seta. Towarzysz Grochmalicki nie udziela odpowiedzi.

Pułkownik Mamula: - Na razie powszechnie stosujemy środki mandatowe.

- No dobrze, ale co dalej? Dziś im nasza wódka nie smakuje, jutro podpalą Komitet, pułkownik! Mam rację?

- Zgadzam się z towarzyszem Grochmalickim! - stwierdza dyrektor szkoły imienia M. Konopnickiej, H. Mizerowa. Informuje zebranych o ujawnionej akcji kolportażu wrogich ulotek na terenie szkoły. - Nie przypadkiem obecne zaburzenia wystąpiły jednocześnie. Stoją za nimi te same siły!

Towarzysz Stala domaga się zmiany polityki mieszkaniowej: - Niezadowolenie bierze się z braku mieszkań, towarzysze. Musimy sobie jasno powiedzieć o naszych błędach...

- Zaraz, zaraz. Od Sasa do lasa nie będziemy dyskutować, dyrektorze! - ucina tę wypowiedź sekretarz Mizera. I kończy za przedmówcę: - W jednym punkcie Stala ma rację. Więcej mieszkań warto przekazać. Jest rozgoryczenie, jest żal do administracji. Ludzie przychodzą do nas, ale co, konkretnie, możemy zrobić, jak administracja śpi?

- Towarzyszu sekretarzu - głos naczelnika Urzędu Miasta i Gminy, magistrza Kochanka: - jak u towarzysza Sety biją, to administracja winna?

- Kogo biją? Gdzie biją? - woła Seta.

- Spokój, towarzysze! - stuka długopisem pierwszy sekretarz.

Portier Ślepek opowiadał później palaczowi Kozłowskiemu o przebiegu obrad: - Ty - mówił - skakali sobie do oczu, masz pojęcie? Jeden tak, drugi inaczej. Nie było zgody w narodzie.

- Co uradzili? Zdejmą ten personel w końcu, czy nie?

Szczęśliwiak popatrzył na kolegę-palacza jednym okiem. Potem zgiął rękę w łokciu: - Tyle ci zdejmą! Tyle!

- Nie mów.

- A jak? Major Dolatek ich pogodził. „Grozi kontrrewolucja, towarzysze!”, „Wam tu klótnie w głowie, a tam CIA działa...”

- Nie mów.

- A jak? „Niby chodzi o personel placówki wytrzeźwień, mówił, o to że ludzi biją, o tamto-owamto, a tak naprawdę to władza ludowa im nie odpowiada, nasz ustrój, nasza partia!”

- Nie mów.

- Jak Boga kocham. Będą zdecydowane środki przeciw wichrzycielom! - I portier Ślepak, tym swoim wprawnym ruchem, wyjął spod barierki butelkę.

*

W tym samym czasie, na odległym przedmieściu zwanym „Syberią”, przywódcy „wichrzycieli” - organizatorzy akcji „AB” - przebywali w zdanej do zamieszkania połowie barakowozu porzuconego nad wysypiskiem śmieci za ogródkami działkowymi. Barakowóz zasiedlał od kilku miesięcy Jagodziński-Dykta - zbieracz odpadków wtórnych. Zebrani - podobnie jak towarzysze na sali konferencyjnej Komitetu Miejskiego naszej partii - zajmowali się analizą sytuacji społeczno-politycznej w mieście oraz planowali dalsze nielegalne działania.

Wybór tak odległego miejsca był uzasadniony: według wiadomości przekazanych przez rodziny i sąsiadów, przedstawiciele sił porządkowych odwiedzili już miejsca stałego pobytu „agentów CIA” z wyraźnym zamiarem ograniczenia ich prawa do swobodnego poruszania się. Także piwnica Wandy Szymanek stała się miejscem niebezpiecznym. W tej sytuacji jedynie barakowóz Dykty stwarzał gwarancje bezpieczeństwa, jak powiedział magister Kamieniak.

Akurat w momencie, kiedy na sali Komitetu Miejskiego naszej partii padały słowa-zapowiedzi podjęcia zdecydowanych środków przeciwko wichrzycielom, pod barakowóz, stojący na oklapniętych kołach z popękkanymi oponami, zajechał kolejarz Kwiatkowski Jan. Przekładając przez siodełko nogę (z nogawką spiętą agrafką w celu uniemożliwienia wkręcenia się spodni w łańcuch) obywatel Kwiatkowski podjechał pod schodki, a następnie oparł rower o wózek służący J. Jagodzińskiemu do przewozu makulatury. Stosy powiązanej sznurkiem „Trybuny Ludu” piętrzyły się na wózku przeznaczone do przewiezienia na ulicę Dworcową, gdzie znajdował się punkt skupu surowców wtórnych. W dole, niżej urwiska nad którym stał barakowóz, tliły się sterty śmieci. Siwy dym wypełniał kotlinę. Zdejmując z ramy roweru teczkę, z której wystawały szyjki butelek z mlekiem błyskające srebrnymi kapselkami,

kolejarz Kwiatkowski skrzywił się, ponieważ dym z kotliny gryzł w oczy a widok butelek z mlekiem wywoływał mdłości.

- Panie Janku, nareszcie!
- Mów, Jasiu, co się dzieje!
- Krawężniki nie legitymowali?
- Jak absencja? Spożycie spadło?
- Przez Prusa jechałeś?
- Co w „Zamkowej”?

Oto pytania, którymi zarzucili stojącego w drzwiach kolejarza-łącznika znajdujący się wewnątrz wozu przywódcy marginesu. Obywatel Kwiatkowski uniósł rękę: - Spokój, towarzysze, po kolei!

Następnie, w atmosferze gryzących wyziewów przenikających do pomieszczenia, zreferował zebranych sytuację społeczno-polityczną w naszym mieście zaczynając od słów: - Jest dobrze, nie jest źle! Pikiety porozpędzali jeszcze wczoraj, jak wiecie, ale ludzie prowadzą akcję dalej. Sami od siebie. W „Kubance” młodzież konsumuje fasolkę. Pusto. Tak samo w „Muszelce” i „Zamkowej”... Drzwi trzymają otwarte, a lokal wygląda na zamknięty. Podobnie w sklepach! Na moje rozeznanie te skrzynki „Stołowej” chętnie by powystawiali na chodniki. Byle ludzie brali! Plakaty zdarte. Napisy zamazują. Tylko miejsca znać po świeżej farbie. Ale wiara się trzyma! To jasne!

S. Nalewajko zatarł ręce: - W bazę trzeba bić, od podstaw. Miał rację Józek.

W atmosferze ogólnej radości upłynęły następne kwadransy. O trzynastej nadjechał nowy łącznik - kolejarz Brzózka. Potwierdził znane obecnym fakty.

- Co z Bogusiem, panie Brzózka? - dopytywał się Kamieniak. - Nie wie pan?

Brzózka nie wiedział: - Pewno dalej siedzi, panie Józefie.

Dykta-Jagodziński zaczął smażyć jajecznicę na okopconej patelni. Zebrani śmieli się, że jajka i patelnia ze śmietnika. Do musztardówek i kubków bez uszek nalano dowiezione mleko. Stos kromek chleba z kilku bochenków urósł na stole. Jajecznica skwierczała na patelni, piecyk-trociniak dymił. Dykta uchylał drzwi, ale wówczas nawiewało dymu ze śmietnika.

- Zamykaj, zamykaj! - wołali przedstawiciele marginesu.

Siedząc na skrzynkach, kulawych krzeselkach, stołkach oraz sienniku-barłogu Dykty, zebrani przystąpili do konsumpcji jajecznicy. Zapijali mlekiem.

- Czegośmy dożyli, panowie! - śmiał się Rewizjonista unosząc w górę białą szklaneczkę.

- Świadomość kształtują okoliczności, Stasiu - powiedział J. Kamieniak ścierając z brody biały osad. - Człowiek jest istotą przyrodniczą.

- Czegośmy dożyli, czegośmy dożyli! - powtarzał S. Nalewajko.

Kolejarz Kwiatkowski nie pił mleka, a kiedy pozostali pili, wyglądał przez okno, aby nie mdliło.

Mijał czas. Dykta zasnął o szesnastej na swoim barłogu. Bulgotał przez sen i głośno psuł powietrze. Rewizjonista palił „Sporty”, jednego po drugim, w szklanej cygarnicze. Kolejarze grali w karty. J. Kamieniak ustawił na kulawym stole maszynę „Mercedes”. Wystukał tekst komunikatu: „Bojkot trwa! Wzywamy wszystkich obywateli do poparcia naszej akcji! Żądamy zmiany personelu zakładu wytrzeźwień i ludzkiego traktowania! Żądamy wypuszczenia na wolność Bogumiła Kwiatka - Las Vegas i innych aresztowanych! Powstrzymajcie się od picia przez najbliższe dni! Pamiętajcie: „Akcję Bojkot” kontynuujemy do zwycięstwa! Podpisano: Komitet „AB”.

O dwudziestej pierwszej łącznicy-kolejarze opuścili barakowóz.

- Uważajcie, koledzy-towarzysze - mówił do odjeżdżających „przewodniczący”. - Przyklejać, jak nikt nie widzi. Sto razy sprawdzić. Panie Janku jak złapią, lepiej zjeść!

Kolejarz Kwiatkowski schował za koszulę kartki z komunikatem.

Okolo dwudziestej drugiej zbudził się Dykta. Wstał bulgocząc radośnie. Spod stołu na cegłach wyciągnął swój skarb: owinięty w szmaty telewizor złożony przez S. Nalewajkę z części znalezionych na wysypisku. Ostrożnie ustawił aparat na kulawym stole. Podłączył do sieci (Rewizjonista przeciągnął także kabel od słupa linii 15 Kv; z odległości 50 m popłynęła do barakowozu energia elektryczna).

Obecni przystąpili do oglądania DTV. Ćmiąc „Sporty” i „Radomskie” patrzyli na spikera - tego małego blondynka z lokiem. Czytał ostatnie wiadomości. „Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej...” Wyliczał zebrania, narady, akademie. I znów: „Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego naszej partii...” Przywódca ścisnął ręce stojących w rzędzie towarzyszy. Wolno, odmierzając paradny krok, maszerowali żołnierze. Składanie wieńca pod pomnikiem braterstwa broni. „Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego...” Portret towarzysza Lenina nad stołem prezydialnym. „Przyjaźń, socjalizm, partia. Braterskie więzy. Niezłomna wola. Pokój, pokój. Partia. Pokój. Partia... Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego PZPR...”

Nikt nie zwracał uwagi na S. Nalewajkę. Fajerant-Szklaneczka opowiadał później ze śmiechem: - Siedzimy, oglądamy, nie? A ten Rewizjonista-Nalewajko, jak nie zerwie się nagle! Jak nie puści pawia! Pod nogi Kamieniaka. Józek krzyknął: „Niech żyje!”. Chyba na

ten dziennik się zapatrzył, nie? Dopiero po chwili: „Stasiu, na litość boską!”.

S. Nalewajko pośpiesznie opuścił barakowóz.

Tłumaczył później obecnym, że nie może oglądać telewizji. - Ten dziennik, ten dziennik! To samo, jeśli chodzi o wstępne artykuły w reżimowej prasie. Zaraz mnie bierze.

- Daj spokój! Mleko cię ruszyło - mówił J. Kamieniak.

- Farmazon z tego Stasia, nie? - opowiadał kolejarzom Szklaneczka. - Jak Boga kocham! - bił się w piersi S. Nalewajko.

Wychodził znów. Stawał przy wózku z makulaturą. Oddychał głęboko. W kotlinie żarzyły się śmieci. Oczy zachodziły łzami. Za ogródkami, daleko, czekały psy. Zawieszane nad barakowozem mruwały obiekty astronomiczne.

- Gwiazdy, gwiazdy! - mógł powiedzieć Rewizjonista. Stał z zadartą głową. - Moje gwiazdy! - Wyciągnął rękę.

Mijał drugi dzień bojkotu.

Rozdział XIII

Stanowcze „nie” wicherzycielom!

Dwudziestego siódmego bm. przed tutejszą Prokuraturą Okręgową przy ulicy gen. K. Świerczewskiego czekał od godziny szóstej trzydzieści młody człowiek w kamizelce z teksasu i wytartych dżinsach. Dygotał z zimna. Jakby nerwowym ruchem odrzucał spadające na czoło przetłuszczone włosy. Wszedł do budynku razem z woźną i sekretarką około siódmej trzydzieści. Następnie czekał na korytarzu pod drzwiami Prokuratury magistra J. Sikory. Siedział na ławce pod ścianą krzywiąc się, jakby oddychanie sprawiało mu ból. Ciekawa sekretarka zagadnęła: - Co tak dziwnie się rusza? Pobity?

Młody człowiek skinął głową.

- Kto pobił?

- Milicja.

- I co: będzie skarżyć milicję?

Pobity ponownie skinął głową.

Sekretarka roześmiała się: - Dziecko!

Trochę później zaczęli schodzić się prokuratorzy i aplikanci. Urzędniczki zaczęły nosić szklanki z herbatą „plujką”. Milicjanci wprowadzili dwóch skutych kajdankami

młodych ludzi, z których jeden odezwał się do czekającego pod drzwiami gabinetu: - Te, Las Vegas, co tu robisz?

Boguś Las Vegas uniósł rękę w geście powitania, ale nie odpowiedział.

Tamci weszli do pokoju na końcu korytarza.

O ósmej trzydzieści przybył prokurator magister J. Sikora. Słysząc było przez uchylone drzwi do sekretariatu, jak tubalnym głosem zarządził zebranie prokuratorów i aplikantów. Sekretarka wyjrzała na korytarz: - Teraz szybko, niech pan idzie!... - Stukając szpilem poszła korytarzem.

Boguś wszedł do pustego sekretariatu, potem do gabinetu. Prokurator Sikora siedział za biurkiem, tyłem do okna. Bez słowa, stając w drzwiach, przybyły zdjął kamizelkę, a następnie ściągnął przez głowę koszulę. Odwrócił się tyłem. Prokurator patrzył w milczeniu na sinoczerwone plecy Bogusia, pocięte pręgami, przypominające kawał polędwicy. W ciszy słysząc było pojazdy mechaniczne przejeżdżające ulicą. Boguś odwrócił się i rozciągnął rękawy koszuli. - Proszę! - Koszula przypominała bandaż zdarty z rany. - Proszę! - powtórzył. I nagle - jakby opuściły go siły - zapłakał. Ścierał łzy rękawem pokrwawionej koszuli, odgarniał z czoła włosy. Nagi do pasa, z czerwono-fioletowymi pręgami na plecach, stał przed biurkiem magistra Sikory i płakał.

Prokurator powiedział po chwili głosem zupełnie normalnego obywatela („zupełnie po ludzku” zdołał pomyśleć Boguś): - Łzy nie pomogą, chłopcze. Trzeba złożyć meldunek o pobiciu. Nazwisko?

- Kwiatek Bogumił - powiedział szybko Boguś.

Prokurator Sikora wyrwał z niewielkiego notesu karteczkę. - Dam ci skierowanie na obdukcję. - Zaczął pisać: „ZOZ, w miejscu. Skierowuję ob. Kwiatka Bogumiła celem dokonania obdukcji w związku z pobiciem przez... - Kto was pobił?

- W zakładzie wytrzeźwień, a potem milicja - wyjaśnił Boguś. - Skopali. Tu boli, w płucach. Nie mogę oddychać, panie prokuratorze.

Prokurator Sikora odłożył długopis. Splótł ręce nad karteczką z niedokończonym zdaniem i zamyślił się.

*

W pół godziny później, w gabinecie zabiegowym ZOZ-u, pyzata pielęgniarka przemyła plecy riwanolem i długo owijała Bogusia bandażami. Drobne obrażenia smarowała gencjaną. - Trzeba przychodzić na zmiany opatrunków. I leżeć, leżeć! Żebra są połamane. Jezu, Jezu! - wzdychała, kiedy Boguś nakładał pokrwawioną koszulę.

W bandażach krępujących ruchy, obolały Las Vegas opuścił Zakład Opieki

Zdrowotnej i poszedł ulicą Marcelego Nowotki w stronę placu Zwycięstwa.

*

Nasze miasto wyglądało jak miejsce centralnych uroczystości z okazji Święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa: wszędzie patrole. ZOMO, ROMO, ORMO. Chłopcy w niebieskich mundurach kroczyli trójkami lub piątkami, w hełmach, czapkach i beretach, z tarczami i bez, z luźno zwisającymi na pasach pistoletami maszynowymi oraz z pałkami długości siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Po jezdniach krążyły patrole zmotoryzowane w samochodach „gaz” produkcji radzieckiej lub w nysach. Na rogach stały w pogotowiu wozy ciężarowe kryte plandeką oraz wozy-pudła z okratowanymi okienkami. Wewnątrz drzemali funkcjonariusze gotowi w każdej chwili wesprzeć patrole piesze.

Legitymowano przechodniów, sprawdzano zawartość teczek i torebek. Grzebano nawet w siatkach gospodyń domowych wracających z bazaru przy ulicy gen. Franciszka Józwiaka-Witolda. Wśród ziemniaków, marchwi i buraków obywatelki gospodynie domowe mogły przemycać antypaństwowe materiały. Na ogół niczego nie znajdowano. Zatrzymani bez sprzeciwu okazywali dowody, legitymacje służbowe i szkolne oraz jak najprędzej oddalali się do miejsca stałego pobytu, nauki lub zatrudnienia.

Od wczesnych godzin porannych gospodarze domów usuwali ponaklejane na murach świstki papieru zawierające antypaństwowe wezwania do bojkotu zakładów gastronomicznych i sklepów monopolowych. Zamalowywano hasła, które nocą wroga ręka wypisała na murach: litery „AB” z wykrzyknikiem, „Precz z faszystowską kliką!”, „Przechowalnia dla czerwonych!” i tym podobne wezwania. Plamy olejnej farby ożywiły szare mury. Tylko w jednym miejscu, zapewne na skutek opieszałości gospodarza domu, w zaułku między blokami, Boguś odczytał hasło: „Setę i Fula - do ula!”.

Zaśmiał się i zaraz zabolalo w płucach.

Na placu Zwycięstwa zajrzał do baru „Kubanka”. Tylko młodzież konsumowała fasolkę po bretońsku. Pusto. To samo było w „Muszelce”: ani jednej znajomej twarzy. Przygnębiony wszedł do baru mlecznego „Groszek” przy ulicy Armii Czerwonej. Usiadł przy oknie, nad szklanką mleka. Z widokiem na budynek numer 12 po drugiej stronie ulicy. Było południe.

Dziewczyny wydające potrawy krzyczały do konsumentów: „leniwe, proszę!”, „dwa razy ruskie”, „kasza gryczana”, „naleśniki”. I tak dalej. Zawiewało parą, kuchennym zaduchem, skrzypiące drzwi odzywały się za każdym razem, gdy konsumenci wchodzili lub opuszczali lokal. I tu przeważała młodzież szkolna. Konsumowano budynie i galaretki. Mała żebraczka-garbuska Akulina krążyła między stolikami wyjadając z talerzy resztki potraw.

Boguś przyglądał się, jak powykręcany przez reumatyzm palcami zgarbia kaszę i makaron do papierowej torebki. Ziarenka kaszy i muszelki makaronu, spadały na podłogę. Uśmiechnęła się do Bogusia sadowiąc naprzeciwko, ale udał, że drzemie. Jeśli upatrzyła kogoś, mogła potem krążyć naokoło, odganiana wracała gestykując, coś opowiadała bełkotliwie. Nie można było zrozumieć. Dzieci lubiły drażnić Akulinę. Wtedy ciskała kamieniami, biegła z krzykiem rozczapierzając palce. Działwa umykała w popłochu.

Około trzynastej piętnaście zobaczył przez okno trzech pijanych obywateli. Głośno śpiewając i zataczając się, podążali środkiem jezdni. Na wyludnionej ulicy Armii Czerwonej był to widok niezwykły. Boguś wstał, potem wybiegł z baru. Stojąc w drzwiach przyglądał się trzem obywatelom w stanie silnego zakłócenia o.u.n. A oni jakby publicznie demonstrowali swój stan: zataczali się, próbowali śpiewać. Grozili niewiadomo komu i nie wiadomo dlaczego krzyczeli: - Żydzi, chodźcie do nas! Damy wam nauczkę!

Kroczący po chodniku patrol nie reagował. Przeciwnie: funkcjonariusze przyjaźnie uśmiechali się do nietrzeźwych obywateli, ubawieni ich zachowaniem. Nie zwrócili uwagi także wówczas, kiedy jeden z trójki wybiegł do bramy budynku numer 12 i chwając się rozpoczął załatwianie czynności fizjologicznej. Sikął wielkim łukiem na żelazny słupek wmurowany w ścianę. Dwaj pozostali zaczęli kiwać na Bogusia: - Kolego, pozwól no! Gdzie tu najbliższy lokal? Dobrze idziem?

Boguś machnął ręką w kierunku B. Prusa: - W porządku...

Nie znał tych ludzi. Patrzył, zaskoczony, jak ten z bramy, zataczając się wraca na jezdnię. Oddalili się, wykrzykując: - Żydzi, chodźcie tutaj! Damy wam popalić!

Od strony placu Zwycięstwa zbliżała się następna trójka: śpiewali „Kolorowe jarmarki”. Z baru wyrzwały dwie dziewczyny w białych fartuchach. Śmiały się. Z okien wyglądali ludzie. Boguś stał przed barem mlecznym, kiedy usłyszał wezwanie: - Pozwólcie, obywatelu, dowodzik!

Odwrócił się: przed nim stało trzech funkcjonariuszy ORMO. Nadeszli ulicą generała Świerczewskiego. W niebieskich beretach i połowych mundurach, z białymi pałkami przytroczonymi do czarnych pasów, naszywkami „ORMO” na rękawach bluz. W krawatach, ogoleni i schludni, stali oto przed Bogusiem czekając na okazanie dowodu tożsamości.

- Dzień dobry, panie Szczęśliwiak! - powiedział Las Vegas poznając w jednym z funkcjonariuszy portiera-szatniarza z KM naszej partii. W pozostałych członkach patrolu rozpoznał emerytowanego funkcjonariusza Szprychę oraz palacza Kozłowskiego z motelu „Na szlaku”. Portier Szczęśliwiak - dowódca patrolu - nie zareagował pozytywnie na pozdrowienie. Powtórzył patrząc na zatrzymanego obywatela jednym okiem: - Dowodzik

proszę!

Boguś wysupłał z kieszeni dokument osobisty w ceratowej okładce.

Trzej funkcjonariusze Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej przystąpili do lektury danych personalnych. Obok, środkiem jezdni, głośno wyrażając żal po stracie „kolorowych jarmarków”, przechodziła następna trójka nietrzeźwych obywateli. Zupełnie jakby byli powietrzem dla przedstawicieli sił porządkowych.

- Panowie, tych trzech was nie interesuje? - spytał kontrolowany.

Portier Szczęśliwiak nie udzielił odpowiedzi. Krótka rozmowa z zatrzymanym miała przebieg następujący:

- Gdzie zameldowany?

- W Chorzowie. Chwilowo mieszkam u szwagra.

- Miejsce zatrudnienia?

- Chwilowo nie zatrudniony.

- Pasożyt - pokiwał głową ORMOWIEC Szprycha.

Palacz Kozłowski milczał.

- Panowie - powiedział Boguś - przebywałem na Komendzie przez kilka dni.

Wypuścili mnie rano. Widocznie wszystko w porządku.

Szczęśliwiak zwrócił mu dowód tożsamości. - Lepiej opuść to miejsce, Las Vegas - powiedział mniej oficjalnie. - Radzę ci prywatnie.

- Panie Szprycha - zapytał szybko Boguś - co się tu dzieje? Nietrzeźwy element rozrabia, a wy nic?

Od strony B. Prusa wracała pierwsza trójka. - Żydzi, znajdziemy was! - krzyczał ten, który szczał w bramie.

„Lecz najbardziej mi żal - kolorowych jarmarków!” - wtórowała trójka podążająca na spotkanie. Od placu Zwycięstwa słychać było wrzaski i śpiewy. Jakby pijany tłum wyległ na miasto.

- Gdzie tu ład, gdzie porządek?

Były funkcjonariusz Szprycha również nie udzielił odpowiedzi. Trójka przedstawicieli Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej oddaliła się spod baru mlecznego „Groszek”. Szli miarowym krokiem.

Boguś cofnął się do bramy. W tym momencie usłyszał znajomy głos:

- Panie Bogusiu, panie Bogusiu!

Po drugiej stronie, na trotuarze przed kamienicą nr 12, stała nauczycielka PNOS Wanda Szymanek. Las Vegas przebiegł jezdnię.

Z gorączkowej rozmowy, przeprowadzonej obok oblanego moczem słupka, wynikało, że pani Wanda nic nie wie o losach przyjaciół. - Ukryli się w jakiejś dziurze, panie Bogusiu, czekają na zmiłowanie boskie! A tu sam pan widzi, co się dzieje...

- Ale skąd pijani? Milicja się tylko śmieje! Co to wszystko znaczy?

Nauczycielka zdziwiła się: - Jak to? Nie wie pan? Autokarami ich pozwozili z całego województwa. Najgorszy element. Upili i wygonili na ulice. Teraz ta hołota rozrabia! Wszystko aby pokazać ludziom, że element normalnie pije!

Boguś nie wierzył - zaczął się śmiać: - To niemożliwe, pani Wando. Nigdy w życiu nie uwierzę!

Nauczycielka obruszyła się: - Co pan opowiada? Możemy iść na plac Zwycięstwa! Stoją autokary. Pewno nowych dowieźli. No i widzi pan, panie Bogusiu - powiedziała po chwili - nie miałam racji? Trzeba było cicho siedzieć. Teraz ludzi nachodzą po domach, męczą, przeszukania i przesłuchania w kółko... U mnie już byli, pytali o Józia.

- I co? Co pani powiedziała?

- Grozili, że jak nie powiem, gdzie przebywa, to zaszkodzą w szkole, ale czym mogą zaszkodzić? Do emerytury mam jeden rok. - Wanda Szymanek zamilkła. Z ulic dochodziły pijackie wrzaski. Gdzieś poleciała wybita szyba. Boguś zakaszał.

- Jezu, Jezu, panie Bogusiu, z komuchami, jak mówi Staś Rewizjonista, nie wygra. W szkole dzieci przesłuchują, rodziców, znaleźli jakieś ulotki. Grożą! - Niespodziewanie pani Wanda objęła Bogusia za szyję i pocałowała: - Uciekaj, chłopcze. Jak cię drugi raz wsadzą, mozesz już nie zobaczyć słońka!

Zaskoczony Boguś milczał. Od nauczycielki powiało octem - myła pewno włosy. Rękę miał ciepłą i spoconą. Odwróciła się, żeby odejść.

- Pani Szymanek! - zawołał - naprawdę nie wie pani, gdzie oni są?

- Nie wiem, nie wiem - powiedziała i znikła w drzwiach klatki schodowej.

*

Około dwudziestej Las Vegas znalazł się w barze „Dworcowym” PKP. Chciał jechać na Śląsk. Do szwagra i siostry nie zachodził: ze szwagrem nie lubili się. Ten przykładowy mąż, ojciec i obywatel, członek naszej partii oraz przewodniczący zakładowej organizacji związkowej w Zakładach „Meblomet”, gdzie pracował - zarzucał Bogusiu pasożytniczy tryb życia, brak stałego zatrudnienia, nadużywanie alkoholu i tak dalej. Obecne wypadki stanowiły wodę na młyn szwagra: nie było o czym rozmawiać. Siostra we wszystkim słuchała męża.

Znów czekał przy oknie z widokiem na puste perony. Nad drzwiami baru wisiała

tablica z hasłem: „Obywatelu podróżny! Kulturalnym zachowaniem przyczyniasz się do podniesienia kultury podróżowania!”. Co pewien czas ogłaszano opóźnienia pociągów. Garbata żebraczka Akulina zajrzała do baru. Uśmiechnęła się do Bogusia, jakby ucieszyła ponownym spotkaniem. Zaczęła myszkować wśród stolików spijając resztki herbaty ze szklanek, zgarniając do torby kromki chleba. Boguś drzemał pod oknem.

Około dwudziestej pierwszej zaczęli schodzić się obywatele podróżni. Według rozkładu jazdy pociąg do Katowic odchodził za godzinę. Senny Boguś słyszał gwar rozmów, śmiechy, piski Akuliny, którą ktoś odganiał od stolika. Potem do baru wkroczył patrol ORMO. Tych samych trzech obywateli w połowych mundurach: portier Szczęśliwiak, funkcjonariusz Szprycha i palacz Kozłowski. Legitymowali obecnych przy bufecie, później kupili piwo. Boguś ocknął się w momencie, kiedy siadali przy jego stole.

- Co tam, Las Vegas - zagadnął portier - wyjeżdżamy, wyjeżdżamy?

- Tak jest, panie majorze - odpowiedział Boguś.

Portier Nelson spojrzał na niego surowo zdrowym okiem (w pustym oczodole jakby coś błysnęło): - Tylko bez żartów! - I zaraz dodał: - Słuszną decyzję podjęliście. Prawidłową.

Kozłowski i Szprycha ustawili butelki z piwem. Kozłowski podsunął jedną Bogusiowi:

- Wypij, chłopiec, na pociechę. Zimne piwko!

Las Vegas poczuł pewno przyływ słabości - zamknął oczy. Zacisnął szczęki. Tamci mogli to dostrzec. Zaśmieli się. Boguś potrząsnął włosami spadającymi na kark.

- Nie chcesz? - zapytał palacz. - Ja nie zmuszam, nie namawiam. - Częstuję, jak człowiek człowieka.

- Nie chce mi się pić - oświadczył Las Vegas otwierając oczy. Starał się patrzeć obojętnie na salę za plecami funkcjonariusza. Żebraczka Akulina tańczyła przy drzwiach pod hasłem: „Obywatelu podróżny! Kulturalnym zachowaniem przyczyniasz się do podniesienia kultury podróżowania!” Ludzie śmieli się przyglądając, jak obraca się w miejscu trzymając swoimi czarnymi, powykręcanyimi palcami poły kapoty. Coś śpiewała zawodząc bez słów.

- Tak, tak, Las Vegas - powiedział Szczęśliwiak rozpierając się wygodnie w krześle. Niebieski beret położył przy butelkach na stole. - Z nami, jak widzisz, nie wygra. My ludziom mówimy jasno: życie sobie, jak chcecie, ale nie próbujecie podskakiwać. Jak podskoczycie, będzie źle! Nie mam racji? - zwrócił się do Szprychy.

Emerytowany funkcjonariusz zabalgotał przetykając haust piwa.

- Ustrój jest może i nie najlepszy, ale jest jaki jest i zmienić go nie damy. Czy nie mam racji?

Tamci milczeli. I Boguś milczał patrząc, jak za plecami ormowców Akulina tańczy, obracając się między stolikami, w oparach dymu, wśród śmiechu obecnych.

Portier wypił łyk piwa i dalej mówił: - Ja, widzisz, Las Vegas, przeżyłem niejedno i widziałem niejedno. Kiedyś może, jak miałem tyle lat, co ty, tak samo myślałem: z nimi da radę wygrać! Jak Boga Kocham, tak myślałem w wieku dwudziestu lat! I co z tego? Nic. Nikt z nimi nie wygra - portier Ślepek nagle schylił się nad stolikiem i ściszył głos - póki sami siebie, o tak! - Wielkimi rękami jakby zdusił coś w powietrzu. Palce zachrzęściły w stawach. Wyprostował się, uśmiechnął i powiedział:

- W czterdziestym piątym byłem we Lwowie... Ruscy sprawdzali stan majątkowy. Zgłosiłem kozę, jaką trzymaliśmy z matką. Kalkulowałem tak: kozy nam nie zabiorą, co im po kozie? Lepiej zgłosić, bo jeszcze przyjdą i zaczną szukać po kątach... Znajdą więcej. Nie minęły dwa tygodnie, jak przyszło urzędowe pismo: „kozę strzyc, włosie zdawać państwu!”. Tak jest, Jasiu - powiedział Szczęśliwiak do Kozłowskiego - to ruskie pismo trzymam do dziś!

Szprycha i Kozłowski zaśmieli się. Szczęśliwiak położył swoją wielką rękę na dłoni Bogusia: - Tak, tak, Kwiatek! To pismo od władzy radzieckiej przekonało mnie, że nikt z nami nie wygra. Nikt!

Boguś pokiwał głową. Akulina zawodziła za plecami ormowców - podrygiwała w miejscu, kręciła młynka, coś opowiadała siedzącym naokoło obywatelom. - Co ona mówi, co ona mówi? - myślał chaotycznie Boguś. - Ten Ślepek jakieś głupstwa opowiada...

Zachrypiał megafon zapowiadając nadejście spóźnionego pociągu. Naokoło oczekujący obywatele zaczęli podnosić się z krzeseł. I Boguś wstał.

- Boguś - powiedział portier Szczęśliwiak - Boguś!

Las Vegas już odszedł kawałek. Zatrzymał się, zdziwiony, odwrócił.

- Nie miej do mnie żalu, synku - powiedział portier. Zakaszłał.

Boguś nie odpowiedział. Przeszedł obok tańczącej żebraczki Akuliny, pod hasłem „Obywatelu podróżny! Kulturalnym zachowaniem przyczyniasz się do podniesienia kultury podróżowania!” i pchnął wahadłowe drzwi. Wyszedł na peron.

Rozdział XIV

Antyradzieckie nastroje

Aktywny obrońca nienaruszalności granic państw-stron Układu Warszawskiego, pułkownik sił powietrznych północnej grupy wojsk radzieckich, z jednostki stacjonującej na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pod Legnicą - Jura Aleksandrowicz Iwanow, jechał na urlop wypoczynkowy do miejsca stałego pobytu w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w obłastii charkowskiej. Podróż pułkownika samochodem gaz typu łażik, w towarzystwie milczącego majora-opiekuna oraz kierowcy-starsziny Griszy, przebiegała spokojnie do momentu, kiedy - w odległości 50 km od przejścia granicznego - pękł pasek klinowy. Zapasowego nie było. Kierowca Grisza truchlał pod surowym spojrzeniem majora-opiekuna, gdy stali bezradnie przy podniesionej masce. Pułkownik Jura spał wewnątrz wozu.

Było po godzinie dwudziestej pierwszej. Stanęli niedaleko nieznanego miasta przy trasie E-22. Kilkaset metrów dalej świecił neon „Motel”.

Recepcjonistka Lidka przeżyła moment zaskoczenia i przykrych skojarzeń, kiedy po godzinie dwudziestej pierwszej za barierką recepcji pojawiło się trzech mężczyzn w radzieckich mundurach wojskowych. Rozglądali się i mrugali powiekami w jaskrawym świetle jarzeniówek w holu.

- Pani - zwrócił się do Lidki jeden z mężczyzn - miejsce na noc ma?

- Zosiu! - zawołała recepcjonistka do koleżanki schowanej na zapleczu, od której o godzinie dwudziestej przejęła dyżur - chodź zobacz: chcą nam udzielać braterskiej pomocy!

Zosia wyrzwała z dyżurki, a następnie z okrzykiem „och!” cofnęła się z powrotem.

Niewiele brakowało, aby radzieccy goście spędzili wiosenną noc trzęsąc się z zimna na ceratowych siedzeniach terenowego łażika. Lidka - usposobiona nieprzychylnie do gości - oświadczyła, że żadnych wolnych miejsc nie ma, a poszukiwania noclegu gdzie indziej mogą robić na własną rękę. - W mieście jest hotel „Turystyczny” i kwatery prywatne - zakończyła powracając do lektury pisma „Przyjaciółka”.

W tym przykrym momencie, kiedy niespodziewani goście zamierzali opuścić motel, zjawił się magister inżynier Andrzej Jarymowicz - absolwent PW, stażysta zatrudniony w Przedsiębiorstwie Zaopatrzenia Rolnictwa w Wodę „Wodrol”, zajmujący wraz z kolegami-stażystami trzy pokoje w motelu „Na szlaku” (koszty zakwaterowania pokrywało przedsiębiorstwo).

- Pani Lidziu - zwrócił się do recepcjonistki słysząc koniec rozmowy z towarzyszami radzieckimi - koledzy wyjechali na niedzielę, dwa pokoje stoją puste. Pani da klucze!

- Na pana odpowiedzialność, panie Andrzeju! - oświadczyła po krótkiej wymianie zdań recepcjonistka.

I tak oto o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzięci doszło do wzajemnego bratania się przedstawicieli dwóch narodów podczas zaimprovizowanej libacji w pokoju 12 na parterze hotelu „Na szlaku”. Stronę polską reprezentował wspomniany inżynier Andrzej Jarymowicz (do którego radzieccy przyjaciele mówili „Andrej Fadiejewicz”), stróż-palacz Kozłowski, u którego inżynier zakupił pół litra wódki czystej „Wyborowej”, oraz przyjaciel palacza - ormowiec-emeryt Szprycha - były funkcjonariusz. Stronę radziecką reprezentował pułkownik, ponieważ towarzysz major-opiekun nie brał aktywnego udziału w libacji, natomiast co pewien czas zwracał się do towarzysza pułkownika z krótkim upomnieniem: „Chwatit, Jura Aleksandrowicz, chwatit!”

Kierowca Grisza - po przyniesieniu kanistra ze spirytusem z wozu porzuconego na poboczu trasy E-22 oraz wypiciu jednej szklaneczki na stojąco, w postawie zasadniczej, w drzwiach - opuścił pokój nr 12 i udał się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zasnął.

W tej sytuacji rej - w zaimprovizowanej manifestacji przyjaźni - od początku wodził pułkownik Jura, który okazał się szczerym, otwartym człowiekiem - niezwykle serdecznie usposobionym do polskich przyjaciół, wysoko oceniającym fakt podania ręki w biedzie. Ten barczysty mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy, w rozpiętej kurtce lotniczego munduru, klepał po ramieniu inżyniera powtarzając: - Wot czielowiek! Wot druh! Nu, Andriej Fadiejewicz, dawaj! - I podnosił szklanę (nieobecnego kolegi stażysty) pełną radzieckiego samogonu z kanistra. Samogon cuchnął benzyną, ale zmieszany z „Wyborową” nadawał się do picia. Szklanę przyniesiono z łazienki. Palacz Kozłowski i milicjant Szprycha pili w musztardówkach z kotłowni. Uczestnicy libacji - reprezentanci polskiej strony - patrzyli z podziwem na tempo, jakie narzucił konsumpcji radziecki lotnik.

- Dawaj, dawaj - powtarzał co pewien czas dolewając do szklanek i musztardówek.

Milczący major-opiekun - samotny na krześle przy drzwiach - odzywał się wówczas z przypomnieniem-przestroga: - Jura Aleksandrowicz, chwatit.

Ale pułkownik nie zwracał uwagi. Rozpoczęły się śpiewy radzieckich i polskich pieśni. W rozpiętej kurtce, ze szklanką cuchnącego etyliną samogonu, pułkownik Jura śpiewał lirycznym barytonem: - „W niebie bleszczat zwiazydy załatyje!...”

- Ma głos, panie Andrzeju! - mówił z podziwem palacz Kozłowski. - Jak pop batuszka!

Ormowiec-funkcjonariusz, po wypiciu dwóch musztardówek poczuł się źle: - Odwykłem, nie dla mnie takie tempo! - Z głową opartą o stół drzemał pochrupując.

Jarymowicz z pułkownikiem śpiewali: - „Pa dzikim stieпам Zabajkalia...”

Major powtarzał: - Chwatit, chwatit, Jura Aleksandrowicz!

Pułkownik nagle zdenerwował się. Poczzerwieniał na twarzy: - Idź, k'czortu matieri! Ja wolnyj czielowiek!

- Słusznie - ucieszył się Jarymowicz. - Tak trzeba z tymi, co pilnują!

- Panie inżynierze - ostrzegał palacz Kozłowski - niech pan z nimi uważa! Pułkownik nabuzowany, może podskakiwać, ale po trzeźwemu to on przed nim tak! - I palacz usiłował stanąć na baczność, ale zaraz opadł na fotelik.

Około północy połowa z dziesięciolitrowego kanistra jakby wyparowała. A może samogonu było mniej? Milicjant-emeryt z hukiem osunął się pod stół. Major milczał. Pułkownik z inżynierem śpiewali. Później Jura Aleksandrowicz chciał iść na dół - do recepcji: - Nużno dziewczek, Andrej! Idi sa mnoj!

- Śpią, pułkowniku, nielzja budzić - tłumaczył inżynier Jarymowicz.

Palacz Kozłowski walczył z atakiem czkawki: - Panie Andrzeju, up, tego Ruska nic nie zmoże, up! A kolega proszę! - I palacz szarpiąc bezwładną ręką rencisty-milicjanta, zawołał: - Szprycha, wstawaj, Ruskie na Sybir cię zabierają!

Milicjant nie zareagował. Pułkownik zdjął marynarkę, poczem na niepewnych nogach stanął w rozkroku przy oknie, z wyraźnym zamiarem załatwienia w tym miejscu czynności fizjologicznej.

- Jura Aleksandrowicz, czto wy! - krzyknął major-stróż zrywając się u krzeselka przy drzwiach. Podbiegł do pułkownika. Rozpoczęła się przepychanka.

- Won, padalec! - wołał pułkownik. - Idi k'czortu matieri!

Jarymowicz z palaczem Kozłowskim przyglądali się niespodziewanej scysji. - Up! - podrywało co pewien czas palacza. - Up!

Przedstawiciele radzieckiej armii wytoczyli się na korytarz. Odgłosy szamotaniny oddalały się, aż ucichły. Palacz zdrzemnął się na foteliku, inżynier - potykając się o rękę leżącego obok stołu Szprychy - podszedł do tapczanu i upadł na wznak. Na szafce cicho brzęczało włączone od kilku godzin radio.

Dalszy ciąg wizyty radzieckich gości w naszym mieście miał przebieg następujący: major-opiekun czekał na korytarzu przy drzwiach do wspólnej łazienki oraz WC. Pułkownik znikł w środku. Przez pewien czas słychać było, jak wykrzykuje hasła: „ja wolnyj czielowiek!”, „idi, padlec!” i tak dalej. Spuszczał wodę, później odkręcił kran nad umywalką. W rurach grzechotało - major stracił orientację. Kiedy po chwili otworzył drzwi do sanitariatów i wbiegł do środka - wszystkie kabiny z sedesami oraz kabina z prysznicem, były puste. Pułkownik znikł. Major, klnąc głośno, stał obok pustych kabin i patrzył na uchylone okienko nad umywalką. Na klamce drzwi do ostatniej kabiny wisiały spodnie. Z otwartego

kranu buchała woda.

Jadący około północy trasą E-22 w kierunku miasta milicjanci z patrolu zmechanizowanego Komendy Miasta zauważyli idącego środkiem jezdni mężczyznę w podkoszulku i kalesonach. Osobnik ten, znajdujący się w stanie nietrzeźwym, podążał przed siebie wymachując rękami i krzycząc: „Ja wolnyj czieławiek!”. Zatrzymany wznowił obraźliwe pod adresem funkcjonariuszy okrzyki po rosyjsku. Stawiał opór, kiedy funkcjonariusze usiłowali doprowadzić go do wozu.

I tak, kwadrans po północy, Jura Aleksandrowicz, wykrzykujący obraźliwe hasła pod adresem sił porządkowych, został dowieziony na ulicę B. Prusa, do Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń o.u.n., gdzie przekazano go w ręce pracowników naszej Izby.

W warunkach panującej w zakładzie absencji spowodowanej, jak wiadomo, nielegalną akcją bojkotu państwowych zakładów gastronomicznych - personel zakładu mógł ze zdwojoną energią zajmować się nielicznymi, dowiezionymi w stanie upojenia alkoholowego, obywatelami. Tak było z mężczyzną w kalesonach, który na dodatek - jakby specjalnie chciał dopiec młodym pracownikom - obrzucał ich wulgarnym słownictwem w języku rosyjskim. Wzięty pod łokcie, zaparł się nogami w drzwiach. Trzeba było zastosować środki przymusu bezpośredniego - starszy zmianowy Ful podjął decyzję o niezwłocznym użyciu kaftana bezpieczeństwa oraz skierował dowiezionego na salę z pasami.

O w pół do pierwszej po północy było po wszystkim. Zmęczeni szarpaniną młodzi opiekunowie wracali, stukając drewniakami, w kierunku pomieszczenia dla personelu.

Tymczasem major-opiekun, po kilku minutach gorączkowej bieganiny wokół motelu na drodze (zajrzał nawet do porzuconego na poboczu łazika), wbiegł do pokoju za recepcją i szarpiąc za ramię śpiącą na kozetce Lidkę zaczął wykrzykiwać: - Pani nie śpi, pani nie śpi!

Po dalszych kilku minutach ostrej wymiany zdań (podczas której przedstawiciel armii sojuszniczej jakoby groził recepcjonistce pistoletem typu „nagan”), Lidka połączyła się telefonicznie z zaspanym pułkownikiem Mamulą i powiedziała: - Panie pułkowniku, towarzysz z Czerwonej Armii chce z panem rozmawiać.

- Kto? - krzyknął pułkownik, ale bliższego wyjaśnienia nie otrzymał. Ktoś zaczął mówić po rosyjsku.

Jaki był przebieg rozmowy i jakich argumentów użył radziecki oficer, aby o pierwszej w nocy przekonać pułkownika Mamulę o potrzebie natychmiastowego wszczęcia poszukiwań Jury Aleksandrowicza - nie wiadomo, ponieważ roztrzęsiona recepcjonistka nie potrafiła powtórzyć.

Okolo pierwszej piętnaście pułkownik zadzwonił do zakładu wytrzeźwień. Starszy

zmianowy Ful po prostu nie chciał wierzyć, kiedy usłyszał w słuchawce słowa: - Tu Mamula. Słuchajcie, czy przypadkiem nie dowieźli wam człowieka w kalesonach mówiącego po rusku?

- To jakiś kawał - powiedział do Nicponia i oddał słuchawkę młodszemu koledze.

- Halo, z kim mówię? - wołał pułkownik. - Czy to ty, Ful?

Gienek Nicpoń zwrócił słuchawkę ze słowami: - Ja wiem, lepiej z nim pogadaj, Edziu.

- Słuchaj, Ful - krzyczał podobno Mamula - ja was razem z waszym Setą porozganiam na cztery wiatry! Jest ten Rusek, czy nie?

- Obecny, panie pułkowniku - powiedział starszy zmianowy. Dopiero w tym momencie zorientował się, że rozmawia z prawdziwym pułkownikiem.

- Zaraz tam po niego przyjadą - oświadczył Mamula.

- Gienek! - krzyknął Ful odkładając słuchawkę - do apartamentu tego w kalesonach, migiem!

Nieszczęścia chodzą parami. Kłopoty również. Tak zapewne myślał Edward Ful, kiedy rano, o godzinie ósmej trzydzieści, czerwony na twarzy Seta krzyczał: - Nie mogliście się zorientować? Jak gadał po rusku, to Rusek! A wy na pasy, jak tego najgorszego z ulicy! Zaraz nam antyradzieckie nastroje, antyradzieckie wystąpienia, wytkną! Ja was, Edek, bronić nie będę! Mnie przy tym nie było!

- Skąd mogliśmy wiedzieć, szefie - wyjaśnił zmartwiony zastępca kierownika - miał tylko kalesony.

- Ale klął po rusku!

- W kalesonach człowieka nie rozpozna - powtarzał z uporem Ful.

*

Jak się okazało przedstawiciele strony radzieckiej nie zrobili ze sprawy pożytku. Odwieziony do motelu „Na szlaku” pułkownik Jura Aleksandrowicz zasnął na tapczanie w pokoju inżyniera Jarymowicza, tuż obok chrapiącego na dywaniku Szprychy. Rano zapewne niewiele pamiętał. Na stole leżały poprzewracane szklanki, cuchnęło samogonem i benzyną. Brzęczało nie zgaszone radio.

Około ósmej przedstawiciele Armii Czerwonej opuścili motel. Kierowca Grisza łatwo uruchomił silnik po założeniu nowego paska (klinowy pasek dostarczyli radzieckiemu kierowcy funkcjonariusze MO). Terenowy łazik z Jurą Aleksandrowiczem, z Griszą i milczącym majorem-opiekunem, pojechał na wschód.

A potem już tylko kilka osób przez parę dni wspominało radzieckich przyjaciół: przestraszona Lidka powtarzała wszystkim historię z naganem, inżynier Jarymowicz, śmiejąc

się, wspominał, jak pułkownik chciał załatwiać czynności fizjologiczne w pokoju, koło okna, rencista-milicjant Szprycha nie mógł zapomnieć tempa picia („mnie tam wystarczył jeden kubek, a ten Rusek chyba z dziesięć wypił” - opowiadał) oraz E. Ful i M. Seta - obaj spodziewając się przykrych następstw antyradzieckiego incydentu. Ale żadnych następstw nie było. Pułkownik Mamula jakby zapomniał o wszystkim, zajęty przywracaniem ładu i porządku w naszym mieście.

Rozdział XV

Wstęp do „wzorowych lekcji”

W czasie drugiej pauzy sekretarka Lusja uchyliła drzwi do gabinetu dyrektora H. Mizerowej i powiedziała, że prosi o rozmowę ojciec Talarkówny z trzeciej „B”. Stanisław Talarek, właściciel stacji obsługi samochodów fiat 125P i 126P, przyszedł w sprawie córki zamieszanej w akcję kolportażu ulotek na terenie szkoły.

- Pani dyrektor - mówił całując w rękę H. Mizerową i stawiając na biurku owinięte w białą bibułę pudło - natarłem uszu mojej Dance! Proszę o puszczenie w niepamięć tego incydentu z ulotkami...

- Co też pan wyrabia? - mówiła H. Mizerowa odsuwając pudło na krawędź biurka, podczas gdy S. Talarek, szeleszcząc papierem, rozwijał wiązaną goździków ozdobionych gałązkami asparagusa z tunelu foliowego szwagierki.

- Pani dyrektor, proszę o wyrozumiałość, dziewczucha wpadła pod wpływem niejakiego Biedronki. To nieodpowiedzialny chłopak, obecnie zakazałem kontaktów. Nie ma mowy o ponownych wybrykach!

Zapominając o kwiatach i białym pudle, dyrektor H. Mizerowa wyszła z biurka, żeby ponownie podać dłoń S. Talarkowi. Oświadczyła jednocześnie: - Proszę! Tylko pochwalić taką postawę rodziców. Jestem panu osobiście wdzięczna za przybycie. Dla nas, pedagogów, pomoc rodziców w procesie wychowawczym młodzieży ma wyjątkowe znaczenie!

Jak się później okazało w białym pudle był francuski koniak „Napoleon”.

*

Rozmowa, jaką ojciec Danusi przeprowadził w dniu dzisiejszym z towarzyszącej dyrektora, poprzedzona była inną rozmową - mniej dla Stanisława Talarka przyjemną. W dniu

wczorajszym rano został telefonicznie wezwany do siedziby tutejszej Komendy, gdzie rozmawiał z nim porucznik Gawęda - młody funkcjonariusz w sztruksowej kurtce i ciemnych okularach. Rozmowa miała przebieg następujący:

- Obywatelu Talarek, wezwaliśmy was w sprawie córki Danuty. Jak wicie niepokoi nas fakt, że rozrzuciła ulotki o treści antypaństwowej na terenie szkoły.

Ojciec Danusi próbował sprawę bagatelizować. - Głupia dziewczucha! To jeden kolega zawrócił jej w głowie. Zakochała się i tylko dlatego uległa namowom, panie poruczniku.

- To nie wyjaśnia sprawy - oświadczył porucznik Gawęda. - Zachowanie waszej córki w ogóle budzi wątpliwości. Na przykład rzekomy gwałt w siedzibie zakładu wytrzeźwień i skarga, jaką złożyliście...

Talarek spochmurniał. - Łobuzy. Wykorzystali sytuację.

Na to oświadczenie porucznik Gawęda jakby czekał: - A więc tak, dajecie wiarę pomówieniom? Byliście w wiadomym dniu, widzieliście? Córeczka upiła się, trafiła do zakładu, a tam czekali na okazję, żeby wykorzystać, co? A może popieracie akcję bojkotu wymierzoną w ład i porządek?

- Niczego nie popieram - powiedział zdezorientowany Talarek. - W bojkocie nie biorę udziału.

- W takim razie po co składacie sprzeczne oświadczenia?

Ojciec Danusi nie potrafił odpowiedzieć.

- Dobrze Talarek, zaczniemy z innej beczki. Kto wręczył Gromadzkiemu, zastępcy kierownika tutejszego Wydziału Finansowego, talon na samochód Fiat 126P, wyłudzony od towarzysza Bednarka z Komitetu Miejskiego naszej partii, przy czym przekazanie talonu miało na celu zmniejszenie domiaru podatkowego?

Po tym niespodziewanym pytaniu ojciec Danusi poczuł prawdopodobnie ucisk w żołądku. Milczał długo, podczas gdy porucznik Gawęda bawił się długopisem.

- Panie Talarek - powiedział w końcu - zagrajmy w otwarte karty. Wszelkie oskarżenia wysuwane obecnie pod adresem zakładu wytrzeźwień, traktować będziemy jako zamach na podstawy ustrojowe. Czy rozumiemy się dobrze? W razie czego będziemy zmuszeni wyjaśnić sprawę talonu przekazanego nielegalnie, dalej, sprawę ustalenia domiaru oraz inne machinacje, jak na przykład uzyskanie przydziału węgla w ilości przekraczającej limit kwartalny.

Był to decydujący moment w rozmowie wyjaśniająco-ostrzegawczej. Jeszcze tego samego dnia przed piętnastą, w siedzibie Prokuratury Okręgowej przy ulicy gen. K. Świerczewskiego, poszkodowana Danuta Talarek (uczennica, lat osiemnaście, nie karana, na

utrzymaniu rodziców) odwołała uprzednio złożone zeznania w sprawie rzekomego gwałtu dokonanego na niej przez pracowników zakładu wytrzeźwień. W dniu dzisiejszym jej ojciec złożył wizytę obywatel dyrektor.

*

Po dzwonku na trzecią lekcję, Krzyś Biedronka przesiadł się na ostatnią ławkę, aby spokojnie dokończyć pracę nad wyrysowaniem liter i pokolorowaniem czerwonym mazakiem tła na kartkach z białego kartonu.

- Co tam robisz? - zainteresował się Zbyszek Makarewicz siadając obok Krzysia. Ze zdziwieniem spojrzął na małe kartki ze słowem „nie”. Biedronka starannie zamalowywał tło wokół białych liter. Jedna kartka była większa. Widniały na niej słowa: „życia w zgodzie”.

- Ty, co to jest? - dopytywał się Makarewicz.

- Chłopcy, chłopcy! - klasnęła w ręce Wanda Szymanek. - Co tam za rozmowy na końcu?

Krzyś pośpiesznie schował kartki pod pulpit.

W kilka minut później, kiedy sekretarka Luscia szła korytarzem z kryształowym wazonem pełnym różowych goździków (w kierunku sanitariatów na pierwszym piętrze, w celu nabrania wody do wazonu) - spłoszyła dwóch chłopców z trzeciej „B”. Uczniowie - Biedronka i Makarewicz - zachowywali się dziwnie: mały Biedronka siedział na ramionach dużego Makarewicza, który stał przy ścianie, pod hasłem-cytatem z programu VII Zjazdu naszej partii.

- Co to za wybryki? - zawołała sekretarka wyglądając zza goździków. - Zaraz powiem pani dyrektor!

Wielki Makarewicz, przytrzymując nogi Biedronki siedzącego na ramionach, odbiegł od ściany. Krzyś udawał, że jedzie na koniu: bił Makarewicza niewidoczną szpicrutą. Pogalopowali środkiem korytarza.

- Głupie chłopaczyska! - zaśmiała się Luscia. Weszła do sekretariatu.

*

Podczas czwartej godziny lekcyjnej przybyła do naszej szkoły grupa wizytatorów z Wydziału Oświaty Urzędu Wojewódzkiego. O planowanym przybyciu grupy obywatel dyrektor wiedziała wcześniej, dlatego oczekiwała na gości w holu naszej szkoły, na parterze. Po serdecznym powitaniu, poprowadziła przybyłych na pierwsze piętro. Na czele podążał towarzysz inspektor Gala - starszy obywatel w brązowym garniturze i białej koszuli. Kiedy uśmiechał się, widać było rząd śnieżnych zębów w protezie wstawionej niedawno. Obywatel dyrektor szła za Galą na czele grupy towarzyszek-wizytatorek. Intensywny zapach

kosmetyków wypełnił hol, klatkę schodową oraz korytarz na pierwszym piętrze. Roześmiana grupa skierowała się korytarzem w stronę gabinetu towarzysza dyrektora.

- Nareszcie, nareszcie - mówiła H. Mizerowa - czekamy i nie możemy się doczekać! Zaraz będziemy uzgadniać plan wizytacji, towarzyszu inspektorze, prawda?

- O, jak tu ładnie u towarzysza dyrektora! - mówiły roześmiane wizytatorki.

- Jaka dyrektor, taka szkoła! - powiedziała przymilnie któraś.

Koło drzwi sekretariatu inspektor Gala zatrzymał się, aby odczytać hasło-cytat zawieszony na ścianie między paprotkami w doniczkach. Grupa wizytatorek stanęła obok.

- Staramy się wychowywać naszą młodzież w duchu postępowym - oświadczyła zadowolona H. Mizerowa.

Inspektor Gala zakaszłał niespodziewanie głośno. - Towarzysz dyrektor - powiedział zmienionym głosem odwracając się od hasła - co wy tutaj wypisujecie? To niesłychane!

Zaskoczona H. Mizerowa uniosła głowę. Jeszcze uśmiechnięta, ale zaraz uśmiech znikł z czerwonych ust w kształcie serca. - „Od członków partii należy wymagać niezgodności czynów ze słowami - przeczytała - wysokiego poczucia nieodpowiedzialności za realizację powierzonych im zadań, niewrażliwości na problemy ludzi pracy i nieaktywnego udziału w ich rozwiązywaniu, życia w zgodzie z wszelkimi przejawami zła i nieprawości.”

- To niesłychane, to niesłychane - powtarzał inspektor Gala.

H. Mizerowa podbiegła do drzwi sekretariatu. - Lusiu! - krzyknęła - natychmiast zawołaj Wnukową, przyprowadź dozorcę! To prowokacja, towarzyszu inspektorze! - odwróciła się w kierunku gości.

Towarzyszki-wizytatorki spoważniały nagle.

Inspektor Gala zaczął przepisywać hasło do notesu. - To niesłychane, to po prostu niesłychane! - powtarzał. Śnieżnobiała proteza, przed chwilą odsłonięta w uśmiechu, obecnie znikła.

*

Podczas przerwy po czwartej lekcji, na Danusie Talarek kiwnęła Jadwiga Kaganowicz - nauczycielka języka rosyjskiego. Ujmując dziewczynę pod rękę poprowadziła na koniec korytarza, pod okno.

- Posłuchaj Danusiu - mówiła J. Kaganowicz patrząc na Talarkównę przez szkła grubych okularów (Talarkównie wydawało się, że J. Kaganowicz patrzy na nią przez lodowe szkła) - posłuchaj, Danusiu. Pani dyrektor opowiadała o wizycie twego ojca. To dobrze, dziecko, że odcięłaś się od tych nieodpowiedzialnych kolegów. Chodzi o to, że... - Tu J. Kaganowicz zrobiła pauzę. Danusia (szczupła, blada dziewczyna) patrzyła na nią trochę z

góry. Widziała te dwie lodowe szybki na oczach, biały żabot. J. Kaganowicz pachniała wodą kwiatową o mocnym zapachu jakby landrynek. Zakaszła.

- Chodzi o to, że jakbyś teraz coś wiedziała o dawnych kolegach, wiesz że coś nowego wymyślili, nowe głupstwa, jak na przykład dziś z tym hasłem, to zawsze możesz do mnie przyjść, albo wprost do towarzysza dyrektora. Szczerze o tym powiedzić, rozumiesz?

Danusia milczała.

- Liczymy na ciebie, dziecko - powiedziała J. Kaganowicz.

Talarkówna oswobodziła ramię z uścisku małej nauczycielki. Może poczuła zawrót głowy? Landrynki pachniały intensywnie. Oparła głowę o zimną ścianę.

- Talarkówna! - usłyszała głos J. Kaganowicz. - Pamiętaj, dziecko!

Otworzyła oczy i zobaczyła te dwie lodowe szybki;

*

Przed czternastą do gabinetu H. Mizerowej zostali wezwani uczniowie K. Biedronka i Z. Makarewicz z klasy trzeciej „B”. Polecenie przekazała uczniom woźna Zofia Wnuk. Idąc „na dywanik” chłopcy weszli do sanitariatu. Krzyś zapalił fajkę, Makarewicz wyciągnął paczkę „Marlboro”.

- Co mówimy? - spytał Zbyszek.

Biedronka, cmokając, zapalił fajkę. Odpowiedział niewyraźnie: - O niczym nie wiemy. Jasne!

- Ty, a jak ona odda te kartki na milicję?

Krzyś wzruszył ramionami: - To były drukowane litery, stary. Nie ma siły, żeby poznali.

Zbyszek Makarewicz zaciągnął się dymem. - Kto wie, kto wie? Może już tutaj założyli podsłuch i ona teraz słyszy, o czym gadamy?

W kilka minut później weszli do sekretariatu. Na ścianie korytarza, niedaleko drzwi, wisiały same paprotki. Po hasle na siódmy zjazd zostało puste miejsce.

Rozdział XVI

Karol Marks spożywa zupełną regeneracyjną w PGR-Rostki

Dwudziestego ósmego kwietnia o godzinie dziewiątej piętnaście do kolejki wąskotorowej, podążającej z naszego miasta przez Szymanów, Rostki, Mokrzyce w kierunku

Poniatowa, na przystanku Łąki Paprockie wsiadł obywatel w szarej marynarce, w spłowiałym pilśniaku, z laską i przewieszoną przez ramię parcianą torbą na pasku. Zwraçała uwagę ruda broda i małe okularki w druczianych oprawkach. Sapiąc głośno mężczyzna wgramolił się po dwóch stopniach na platformę, wszedł do wnętrza wagonika i zajął miejsce na drewnianej ławce przy oknie. Wagonikiem trzęsło i chybotąło.

Jak wiadomo podróżnym był magister Józef Kamieniak alias Marks. Były pracownik UMiG postanowił opuścić przyjaciół zgromadzonych w barakowozie nad wysypiskiem śmieci, powierzając kierownictwo nielegalnym Komitetem S. Nalewajce, czyli Rewizjoniście. Przyczyną przekazania na jeden dzień obowiązków przewodniczącego Komitetu „AB” była nadzieja podbudowania upadającego morale tymczasowych lokatorów barakowozu - radą lub nawet błogosławieństwem znajomego księdza, proboszcza parafii Rostki, położonej 15 km na wschód, dokąd dojechać można było kolejką wąskotorową przez Łąki Paprockie - Szymanów. Aby uniknąć kontaktów z siłami porządkowymi, patrolującymi ulice miasta, J. Kamieniak dotarł polami do przystanku - 2 km w linii prostej od barakowozu.

Upadające morale i brak nadziei na pozytywne zakończenie akcji, żywo niepokoiły magistra Kamieniaka od kilku dni. Złe odżywianie, brak ruchu, konieczność powstrzymania się od używek oraz swąd palących się odpadków - powodowały stesy i frustracje. Wylegujący się na barłogu Jagodzińskiego Rewizjonista jęczał twierdząc, że ma gorączkę i doznaje halucynacji. Przez sen wykrzykiwał „komuchy precz!”, ale w ciągu dnia, cichy i apatyczny, pojękiwał bezradnie. Fajerant-Szklaneczka siedział przy okienku. Od czasu do czasu zaczynał śpiewać: „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” Religijna pieśń zakłócała spokój obecnym. To on wdał się w spór z Dyktą o konewkę. Mówił, że sam znalazł na wysypisku i że konewka, choć bez dna, przyda się. Jasiu Dykta protestował: bełkotał i bił się w piersi. Skończyło się na szarpaninie, obaj krzyczeli, Kamieniak interweniował doznając obrażeń. Szklaneczka kopnął Dyktę w goleń, następnie opuścił barakowóz.

- „Wszystkie nasze dzienne sprawy!” - śpiewał później na dole, grzebiąc wśród odpadków.

- Śmierć komuchom! - mamrotał przez sen Nalewajko.

Łącznicy rzadziej przyjeżdżali. Brakowało chleba. Sytuacja wymagała szybkiego przeciwdziałania.

Z proboszczem w Rostkach Józef Kamieniak utrzymywał kontakt od lat, tocząc spory na temat ontologicznych podstaw egzystencji ludzkiej, sensu życia, argumentów „za” i „przeciw” istnieniu najwyższej istoty, stosunku Kościoła do marksizmu i tak dalej. Ksiądz proboszcz Antoni Milewicz, zwany przez magistra księdzem Antonim - osiemdziesięcioletni

staruszek, nieduży, żwawy, zawsze uśmiechnięty - chętnie przyjmował „zabłąkaną owieczkę”, jak mówił, goszcząc na werandzie plebanii w Rosikach, prowadząc ożywiony dialog, częstując obiadem, a w końcu żegnając ze stopni werandy uniesioną ręką i znakiem krzyża.

- Jak wiadomo - wywodził na przykład magister - religia w naszym kraju nie obumarła, zgodnie z przewidywaniami przywódcy filozofów. Przeciwnie: nigdy przedtem ludzie nie modlili się tak często i długo, nie budowano tylu kościołów, nie organizowano tak licznych pielgrzymek i procesji, jak w czasach dyktatury proletariatu oraz budownictwa socjalistycznego. Można powiedzieć, że nasz marsz ku najbardziej sprawiedliwej przyszłości oraz ku szczęściu powszechnemu na ziemi, przebiegał wśród pobożnych śpiewów, przy wtórze kazań i chóralnych modlitw wierzących obywateli ludowej ojczyzny. Kto walczy z Kościołem? O jakie prześladowania chodzi?

W odpowiedzi ksiądz Antoni tłumaczył, że wizję wielkiego przywódcy filozofów realizuje szatan. - Bóg na ziemi jest słaby, mój synu - mówił zgarniając z talerzyka poziomki pływające w śmietance, które jedli na podwieczorek podane w kamionkowych miseczkach przez Łodzień, ułomną gospodynię księdza. - Szatan knuje i wtedy, gdy pozory mylą. Bóg jest słaby...

Na to Kamieniak, popluwając w pośpiechu, wyliczał wszystkie swoje argumenty: - Świat zawsze był pełen niesprawiedliwości. Po raz pierwszy niesprawiedliwość zdefiniowano, określono raz na zawsze: są ci, co żyją z pracy i ci, którzy żyją na ich koszt. Być może idea nie jest doskonała, być może ludzie, którzy ją realizują nie są najlepsi, ale innej drogi nie ma!

- I tak dalej.

Zapadał wieczór, gwiazdy zaczynały migotać wśród liści winorośli za szybkami ganku. Trzeba było wracać do miasta chybotliwym wagonikiem.

Dwudziestego ósmego bm., wysiadając z kolejki na przystanku Rostki, Józef Kamieniak przypominał sobie zapewne wszystkie te wizyty u księdza: konsumowanie poziomek w śmietance, wdychanie zapachów maciejki i rezedy, kłaskania słowika wśród szumu lipowej alei wiodącej do plebanii. Wspominając te głosy i zapachy, jak muzykę (np. brzęczenie pszczoł na różanych krzewach kwitnących w kształcie małych bukietów) - J. Kamieniak niejasno uświadamiał sobie, że oto tam, na cichej plebanii, bywał krótko szczęśliwy.

Znajomą drogą przez wieś skierował się szybko w stronę kościoła. Nie tak dawno wieżę pokryto ocynkowaną blachą. Z daleka odbijała słońce. Później szedł lipową aleją, do

furtki za kościołem, wzdłuż żywopłotu, a w końcu między rabatkami i grządkami, w kierunku ganku.

Ucieszył się, kiedy zobaczył gospozię księdza - ułomną Lodzię, klęczącą na ścieżce przy koszyku z bratkami. Sadziła bratki obok kwitnących już szafirków. Dalej rosły krokusy: żółte, białe i fioletowe, tworząc mozaikę podobną do kolorowych szybek w oknach kościoła.

- Niech będzie pochwalony, pani Lodziu - powiedział stając. - Gdzie to podział się ksiądz Antoni?

To pytanie postawione obcesowo (magister po prostu palił się do rozmowy z księdzem), jakby przygięło starą kobietę do ziemi. Zaskoczony J. Kamieniak pochylił się i zobaczył, że Lodzia płacze. Ręce zawalane ziemią przycisnęła do twarzy.

- Pani Lodziu, płacze pani?

Odjęła ręce od oczu. Zobaczył czerwone powieki, ślad ziemi na policzku. - To pan Marks nie wie?

Uzgodnili z księdzem Antonim, że dla Lodzi zawsze będzie Karolem Marksem. Tak już zostało. Lodzi zresztą było wszystko jedno, kto odwiedza księdza: - Marks, nie Marks, byle katolik - mówiła.

Kiedy próbował tłumaczyć, kim był przywódca filozofów, powtarzała: - Byle dobry katolik!

- Byle dobry człowiek, byle dobry człowiek, pani Lodziu!

- Jak katolik, to wiadomo, że dobry!

Ksiądz Antoni tylko śmiał się.

- Umarł - powiedziała teraz Lodzia - będzie już dwa tygodnie.

Magister usiadł na różowym kamieniu na skrzyżowaniu ścieżek. Laska upadła na ziemię. Zdjął kapelusz i zaczął obracać w palcach. - Umarł?

- Umarł. - Staruszka znów zaczęła sadzić bratki. Tak jak dawniej zapachniało czeremchą, wiatr zaszumiał w alei. Delikatna zieleń drzew podobna była do zielonego obłoku.

- Szybko się zawinał. Szybciućko. Taki wiórek z niego został na koniec. Jak włókienko, jak ostróżek wyglądał. Nic nie mógł jeść ani pić. Tylko oczy, jak dwie świece. Paliły się, paliły, aż zgasły.

Marks-Kamieniak patrzył na zielony obłok nad lipową aleją, na mozaikę z krokusów, szafirki, bratki. Gdzieś dalej, pod płotem, kwitła forsycja i mogło się wydawać Kamieniakowi, że widzi płonący krzak, z którego ksiądz Antoni odezwie się zaraz cichym głosem: - Bóg jest słaby, synu.

- Pani Lodziu, czy to możliwe?

- Z prochu w proch, panie Marks - odpowiedziała Lodzia.

Wstał, podniósł z ziemi laskę. Staruszka patrzyła na niego z klęczek. Stał przygarbiony, w znoszonej marynarce, z rudą brodą, małych okularkach. Sapał tak jakoś bezsilnie.

- Do widzenia, pani Lodziu.

- Do widzenia, panie Marks.

Józef Kamieniak odszedł powoli ścieżką.

*

I tak ta podróż skończyłaby się zapewne: rozmową z zapłakaną Lodzią niedaleko werandy, z której ksiądz Antoni żegnał odchodzącego Marksa uniesioną ręką, kreśląc znak krzyża. Szybki powrót rozchybotanym wagonikiem na stację Łąki Paprockie. Droga przez pola w kierunku wysypiska śmieci. I tak dalej - gdyby nie szeroko otwarte drzwi do lokalu III kat. „Mokrzyczanka”.

J. Kamieniak przeszedł obok tych prowokacyjnie otwartych drzwi, stanął, jakby nagle coś sobie przypominając - zawrócił i przeszedł obok kierując się w przeciwną stronę. Znow stanął, znow zawrócił i przeszedł obok po raz trzeci. Po raz trzeci stanął, zawrócił, przeszedł znow. I znow stanął i znow zawrócił. W końcu skręcił i wszedł do wnętrza lokalu.

W „Mokrzyczance”, jak w lokalu trzeciej kategorii: zapachy piwa, bigosu, dym papierosów. Gwar i krzyk. J. Kamieniak skierował się w stronę bufetu.

- Pani Marysiu - powiedział do bufetowej - szybciutko sto gram! Na jednej nóżce!

Trzeba podkreślić, że po wypiciu tego jednego - jedyne w dniu dzisiejszym - kieliszka wódki czystej „Stołowej”, w szklaneczce splukanej przez panią Marysię pod strumieniem wody nad blaszanym zlewozmywakiem - Józef Kamieniak nie pił więcej i oddalił się z miejsca konsumpcji szybko. Krokiem zdecydowanym, poprawiając torbę na pasku, opuścił lokal „Mokrzyczanka” około godziny jedenastej trzydzieści, po czym udał się w zupełnie innym kierunku, niż stacja kolejki wąskotorowej. Poszedł ścieżką, między najbliższymi domami, a dalej polną drogą. Nad J. Kamieniakiem świeciło słońce i śpiewały skowronki. Pachniała ziemia, ciepły wiatr chłodził twarz, rozwiewał rudą brodę. J. Kamieniak kroczył wywijając laską i być może mówił do siebie lub do księdza Antoniego, którego duch podążał obok. Słowa porывał wiatr.

Brygadzysta w tutejszym Państwowym Gospodarstwie Rolnym - Rostki, obywatel Stanisław Baryła, czterdziestopięcioletni mężczyzna - czerstwy, szeroki w barach, z dużą głową o kędzierzawych włosach, zawsze pogodnie uśmiechnięty (nawet w chwilach, kiedy wykrzykiwał pod adresem pracowników PGR niecenzuralne słowa) - przebywał na placu

przed warsztatami sprawdzając stan gąsienic samobieżnej koparki, przeznaczonej do ładowania obornika na przyczepy. Koparka (jak oświadczył rano operator) wymagała pilnego remontu oraz wymiany uszkodzonych gąsienic. Plac przed warsztatami opustoszał właśnie, ponieważ załoga udała się do stołówki zakładowej w celu spożycia posiłku regeneracyjnego, jak napisano na planie dnia pracy: - „godz. 11.45 - 12.00 - przerwa na spożycie posiłku regeneracyjnego” (tak oficjalnie nazywano zupę jarzynową lub kartoflankę z wkładem mięsnym i kromką chleba na dodatek). Zatraskany S. Baryła oglądał poharatane gąsienice koparki, kiedy usłyszał niespodziewanie głos zza drucianej siatki: - Dzień dobry, towarzyszu, gdzie to ja jestem?

S. Baryła uniósł wielką głowę i zobaczył stojącego po drugiej stronie ogrodzenia mężczyznę w zniszczonej marynarce, zielonym kapeluszu, z rudą brodą i w małych okularkach w drucianych oprawkach. Od siatki powiało napojem o procentowanym.

S. Baryła uśmiechnął się i powiedział do nieznanego: - A gdzieżby, towarzysz życzył, sobie być? W raju? Tu nie raj. Tu PGR-Rostki.

Nieznamy skierował się do furty, kilka metrów dalej, a następnie, podchodząc do Baryły z wyciągniętą ręką, oświadczył: - Karol Marks jestem.

W zasadzie nie wiadomo, czy brygadzysta S. Baryła zastanawiał się kiedykolwiek, kim był przywódca filozofów? Zapewne słyszał o nim nie raz, ale fakt istnienia filozofa o tym imieniu i nazwisku, problem, kiedy żył, podobnie jak zagadnienie, co to w ogóle znaczy filozofia, dawno już zatarły się w jego pamięci, jak dokładnie zatarło się w pamięci wiele innych informacji, faktów, nazwisk i zdarzeń, o których kiedyś słyszał lub czytał, kiedy jeszcze wzrok pozwalał czytać, a litery nie rozmazywały się na stroniczkach książek, jak czarne, skaczące plamki. Obecnie wszystkie te problemy stały się nieistotne wobec codziennych kłopotów, takich jak brak rąk do pracy, rozliczenia dniówek, zepsuty kultywator oraz nieczynna koparka. Na wszelki wypadek S. Baryła nie okazał zdziwienia ani specjalnego zainteresowania faktem pojawienia się na terenie placu warsztatowego PGR-Rostki Karola Marksa.

- Baryła Stanisław jestem - przedstawił się i uśmiechnął pogodnie. Następnie usiłował poczęstować gościa papierosem z pogniecionej paczki „Sportów”. Okazało się, że K. Marks nie pali, natomiast interesuje się sprzętem Państwowego Gospodarstwa Rolnego - Rostki. Sprzęt ten nie prezentował, niestety, pełnej sprawności technicznej. Obok zepsutej koparki stał nieczynny siewnik, dalej skorodowana glebogryzarka, dwa samobieżne kombajny oraz traktor produkcji Państwowej Fabryki Traktorów w Ursusie. Kilka przyczep na felgach. Sterta zardzewiałych, nikomu nie potrzebnych, części urosła pod płotem, po przeciwnej stronie, do

rozmiarów piętrowego budynku.

- Kłopoty - powiedział na wszelki wypadek, kiwając wielką głową, S. Baryła. - O tu, widzicie, jest koparka, trzeba ładować obornik, rozwozić po polach, a taśmy wysiadły. Części nie ma, człowiek nie chce jeździć i słusznie: niewiele robi, sprzęt popsuje do reszty. Albo te przyczepy, patrz pan, czekamy na ogumienie od dwóch lat!

K. Marks również pokiwał głową: - Są trudności materiałowe.

- Panie kochany - powiedział S. Baryła - pan pewno człowiek kształcony, czyta w książkach, a ja ciemny, panie, te dwie ręce - uniósł na chwilę wielkie dłonie - oto moje książki. Z takich książek za nic wyczytać nie mogę: jak, panie, ten świat urządziliście? Pracować kazaliście tym nie kształconym, ale dać im narzędzia, nie. Dać ogumienie do kół, nie, śrubki, panie, nie, butów ocieplanych na mróz - nie. Węgla, aby w piecu napalić - nie. Jak to jest, panie, jak pracować? - I S. Baryła po raz trzeci uśmiechnął się pogodnie do J. Kamieniaka.

Zaczęli iść przez plac w kierunku furty w drucianej siatce, później poszli błotnistą drogą, na której, między głębokimi koleinami, stały kałuże czarnej wody. Chlupotało pod podszwami.

- O nowe życie trzeba walczyć - powiedział Karol Marks. - Nie można patrzeć na świat przez dziurkę od materki.

- Czubek! - mógł pomyśleć w tym momencie S. Baryła, ale nie powiedział nic.

Doszli do szarego baraku, do którego wchodziło się po betonowych schodkach. Z zewnątrz, przez uchylone okna, słychać było głosy przedstawicieli załogi konsumującej posiłek regeneracyjny.

- Proszę pana Marksa - powiedział brygadzysta - pozwól pan dalej, poczęstujemy zupką!

Weszli do stołówki, w której przy dwóch długich stołach siedzieli pracownicy konsumując zupę regeneracyjną z blaszanych misek. Podzwaniały łyżki, okna były powleczone parą, ciepły zaduch wypełniał salę. Na końcu były drzwi do kuchni z okienkiem przez które podawano miski.

- Jadzia! - zawołał, pochylając nad okienkiem swoją wielką głowę, S. Baryła - podaj no porcję dla obywatela Marksa! Taką, jak dla mnie! Plus chlebuś!

Z talerzami parującej kartoflanki, w której pływały skwarki, usiedli przy stole. Jadzia nałapała zupę do fajansowych talerzy zamiast misek. Talerze miały poobtłukiwane brzegi.

Być może w tym momencie, kiedy to pracownicy PGR-Rostki spoglądali na gościa ciekawie, J. Kamieniak alias K. Marks, zapragnął nagle przemówić do nich, powiedzieć coś

niezwykle istotnego, natchnąć otuchą do dalszego życia i pracy w warunkach, jakże dalekich od wizji wielkiego przywódcy filozofów. Co im powiedzieć - myślał wdychając zapach kartoflanki - tym ludziom z placu ze stertą złomu, od kół na felgach, błotnistej drogi, obornika i tych zup regeneracyjnych spożywanych w ciemnej sali? Jak pocieszyć, jeśli pocieszenia są w ogóle możliwe?

A oni wszyscy patrzyli na J. Kamieniaka mlaskając i siorbiąc, niektórzy uśmiechali się, inni przerywali jedzenie i patrzyli z rozchyłonymi ustami, wszyscy podobnie ubrani - w szaro-burych drelichach, o ciemnych twarzach i wielkich rękach, jak wydawało się J. Kamieniakowi, jakby stworzeni do tych kłopotów, o których wspominał S. Baryła.

Wyciągnął z torby swój mały notes z przepisanyymi z „Dzieł wszystkich” fragmentami prac przywódcy filozofów (od lat notował tam, co celniejsze, jego zdaniem, myśli i sentencje - ostatnio usiłował czytać je zgromadzonym w barakowozie przyjaciołom, ale oni drzemali lub krzyczeli, żeby przestał).

- Można? - zwrócił się do S. Baryły. - Czy mogę zabrać głos?

Brygadzysta postukał łyżką o blat stołu. - Słuchajcie, ludzie! Obywatel Marks chce do was przemówić!

Gwar przy stołach przycichł i kiedy J. Kamieniak wstał ściskając w ręku notesik, pracownikom PGR-Rostki mogło wydawać się, że oto za chwilę przemówi do nich prorok lub prawdziwy przywódca filozofów, aby udzielić dawno oczekiwanej rady na resztę życia. Światło dnia za oknem błysnęło w małych okularkach, ruda broda jakby urosła, zielony pilśniak leżał obok talerza z parującą zupą. Laska upadła na podłogę. Stuknęło.

- Towarzysze! - powiedział K. Marks cichym ze wzruszenia głosem. - Moi drodzy towarzysze!

W tym momencie zapewne wielu spośród obecnych pomyślało „czubek!”, podobnie jak niedawno S. Baryła. Słuchali, co powie dalej.

- Niewiele, niewiele - mógł mówić J. Kamieniak spoglądając wzdłuż długiego stołu na blaszane miski, łyżki, wielkie ręce i wyglądające jedna zza drugiej głowy. - Niewiele mam do powiedzenia, moi drodzy. Czasem pytamy, czym jest życie, które nas otacza, kim my jesteśmy? Dlaczego słońce zachodzi i wstaje? Dlaczego rodzą się zboża, rosną trawy, śpiewają ptaki? Oto najprostsze pytania. I tu mam odpowiedź - potrząsnął notesikiem.

Ludzie słuchali. Nie słychać już było mlaskania, żadna łyżka nie zadzwoniła w ciszy. J. Kamieniak czytał ściśniętym ze wzruszenia głosem - „Człowiek jest bezpośrednio istotą przyrodniczą. Jako istota przyrodnicza i to żywa istota przyrodnicza jest on, z jednej strony, wyposażony w siły przyrodnicze, siły życiowe, jest aktywną istotą... To, że człowiek jest

istotą cielesną, wyposażoną w siły przyrodnicze, żywą, rzeczywistą, zmysłową, przedmiotową, oznacza, że przedmiotem jego istoty, jego przejawiania życia, są rzeczywiste, zmysłowe przedmioty albo, że może on przejawiać swe życie tylko w rzeczywistych, zmysłowych przedmiotach. Być przedmiotowym, przyrodniczym, zmysłowym, to to samo co mieć przedmiot, przyrodę, zmysł na zewnątrz siebie albo być samemu przedmiotem, przyrodą, zmysłem dla innej istoty...”

Rozejrzał się: pracownicy PGR-Rostki patrzyli na niego w milczeniu, niektórzy - jak przedtem - z rozchylonymi ustami. Widział ciemne twarze nad stołem, wielkie ręce splecione obok blaszanych misek. Usiadł na ławie.

- Zupka ostygnie, panie Marks - powiedział S. Baryła i uśmiechnął się pogodnie.

- To już? Wszystko powiedział? Tylko tyle? - odezwały się głosy. - Tak krótko?

K. Marks bezradnie rozłożył ręce. Potem zabrał się do jedzenia.

Z miejsca przy końcu stołu podniósł się niski człowiek, którego twarzy nie było dobrze widać. - Ja tam nie zastanawiam się, dlaczego słońce wstaje i zachodzi. Taka widocznie wola boska! Wy mi, panie, lepiej powiedzcie, dlaczego nam płacą za godzinę dwanaście pięćdziesiąt, zamiast trzynastu złotych, jak ludziom w Mokrzycach? Czy to my gorsi?

- Dobrze mówi! - odezwały się głosy. - Prawdę gada!

- A jak to jest, panie - rozwijał swoją myśl krępy pracownik, którego J. Kamieniak dobrze nie widział - jak to jest z czasem pracy? Niby liczą nam dniówki po dwanaście godzin, ale po osiemnastej, jak brygadzysta zejdzie z pola, nie ma kto odnotować. A człowiek nieraz i do dwudziestej pierwszej dociągnie. I co?

- Dobrze mówi! - krzyczano.

- A sorty, panie - pytał dociekliwy pracownik - jakie nam należą się? Napisali: „buty gumowe na rok - dwie pary”. Kiedym to ostatnią parę dostał już nie pamiętam. Będzie z pięć lat, panie. I co?

J. Kamieniak jadł zupę z fajansowego talerza z poobijanymi brzegami. S. Baryła siedział obok uśmiechnięty. Przy stołach wykrzykiwano pytania:

- Co z urlopami, należą się, czy nie?

- Jak z podziałem premii? Kto dzieli?

- Gdzie komisja?

- Ile przysługuje zasiłku na dziecko?

- Ile węgla na zimę - Jaki dodatek do pracy w niedzielę?

I tak dalej - przez kilka minut. W końcu J. Kamieniak już nawet głowy nie podnosił.

Powoli sala pustoszała. Ludzie wychodzili krzycząc, stukały łyżki, podrzucane miski. Niektórzy jeszcze przy drzwiach odwracali się i krzyczeli. Nie słyszał pojedynczych słów, tylko ten krzyk. Krzyk. Krzycząc wychodzili na błotnisty plac, między kałuże czarnej wody w koleinach, sterty złomu, puste przyczepy na felgach. Zepsute kultywatory.

J. Kamieniak kończył posiłek nisko pochylony nad talerzem.

- Tak, tak, panie - powiedział S. Baryła pogodnie - z nimi taka rozmowa. Co byś pan nie powiedział, oni wiedzą swoje.

K. Marks milczał, przygnębiony. Może ten szum pszczeli w głowie, jaki wyniósł z lokalu III kat. „Mokrzyczanka”, ustał nagle? Może zielone obłoki w lipach odpłynęły? Duch księdza Antoniego odszedł?

Podniósł z podłogi laskę, zabrał zielony kapelusz, uściśnął wielką dłoń S. Baryły. - Do widzenia, towarzyszu - powiedział cicho. I poszedł sobie.

Rozdział XVII

Służba Bezpieczeństwa dokonuje przeszukania w lokalu Nr 3 przy Armii Czerwonej 12

Nad ranem 28 kwietnia Wandę Szymanek obudziło natarczywe pukanie do drzwi. Nieznany obywatel łomotał około piętnastu minut, najwyraźniej nie mając zamiaru opuszczenia klatki schodowej. Zaspana właścicielka lokalu, szurając pantoflami bez pięt, udała się do przedpokoju i wszczęła pertraktacje z nieznanym. Rozmowa miała przebieg następujący:

- Kto tam?

- To ja.

- Nie znam żadnego „ja”.

- Swoj.

- Panie, jest piąta. Czyś pan zwariował? O co chodzi?

- Pani Wandziu - powiedział nieznany obywatel - proszę poratować „pólelem”.

Przyjechał brat z Łodzi. U mnie ani kropelki.

- Co mnie obchodzi pana brat? Żadnego pólela nie będzie!

- Pani Wandeczko - mówił nieznajomy - tak mi zależy, tak zależy!

- Panie, jest bojkot! Potem mi szyby powybijają przez pana!

- Absolutnie niemożliwe! - powiedział nieznajomy z przekonaniem.

Być może to oświadczenie, złożone w kategorięczny sposób, skłoniło panią Wandę do zmiany decyzji oraz naruszenia zakazu sprzedaży napojów oprocentowanych, jaki ogłosił nielegalny Komitet „Akcji Bojkot” (wrażny spadek obrotów wyrobami PMS, zaczynał nb. niepokoić nauczycielkę). Cofnęła się do kuchni i z szafki pod oknem wyjęła butelkę dla nieznajomego. Transakcji dokonano przez uchylone i zabezpieczone łańcuchem drzwi.

- Serdecznie dziękuję, pani Wandeczko - powiedział brat tego, który przyjechał z Łodzi. Z powodu złego oświetenia klatki schodowej pani Wanda nie rozpoznała nabywcy półlitrowki. Zamknęła drzwi i ściskając zwinięty banknot pięćsetzłotowy, udała się w kierunku sypialni. W momencie gdy kładła się do łóżka w celu kontynuowania spoczynku, usłyszała ponowne łomotanie do drzwi. Pobiegła z powrotem.

- Co mi pani sprzedała - wołał ten sam nieznajomy głos - wodę w butelce?

Oburzona pani Wanda otworzyła szeroko drzwi na klatkę i wówczas ujrzała trzech obywateli oraz znanego jej ormowca - jednookiego obywatela Szczęśliwiaka - w mundurze, z butelką wódki czystej „Stołowej”, którą przed chwilą podała przez uchylone drzwi.

- Woda? Jaka woda? - powiedziała pani Wanda z rozpędu, ale o wodzie nikt już nie mówił. Jeden z cywilów, w którym nauczycielka rozpoznała porucznika Gawędę - funkcjonariusza w ciemnych okularach, który przesłuchiwał niedawno grupę wrogich uczniów, powiedział krótko:

- Służba Bezpieczeństwa. Mamy nakaz przeszukania lokalu. - I wyciągnął w kierunku poblądłej Wandy Szymanek druk z podpisem komendanta MO pułkownika mgr Mamuli.

- Proszę, panowie - powiedziała cicho pani Wanda, po czym tak jak stała w nocnej koszuli z flaneli w różowe kwiatki, z rozpuszczonymi włosami, w pantoflach bez pięt, usiadła na krzeselku w przedpokoju i nie mogła wstać przez pięć minut, póki obywatel Szczęśliwiak nie przyniósł z kuchni szklanki z wodą.

- Jak pan mógł, panie Szczęśliwiak! - powiedziała pani Wanda.

- Służba, nie družba! - mrugnął zdrowym okiem ormowiec. - Niech się pani uspokoi, pani Wandziu!

Tymczasem dwóch cywilów pod kierunkiem porucznika Gawędy dokonywało systematycznego przeszukania lokalu. Odsunięto niektóre meble. Przeszukano książki na półce pod oknem, szukano w szufladach komody. Porucznika Gawędę interesowały zwłaszcza papiery pani Wandy na stole. Przejrzał nawet stos zeszytów szkolnych, w których nauczycielka PNOS sprawdzała ostatnią pracę klasową pt. „Socjalistyczne planowanie podstawą socjalistycznej gospodarki”.

- I czego wy szukacie, panowie? O co wam chodzi? - zapytała w chwili, kiedy doszła do siebie po pierwszym szoku. Ogarnęła się i włożyła szlafrok. - Ja się przecież w żadną politykę nie bawię.

- Pani Szymanek - powiedział porucznik Gawęda - bawi się pani w nielegalny handel wyrobami Monopoli Spirytusowego. Działa na szkodę państwa, nie mówiąc już o destrukcyjnym wpływie na młodzież. To nam wystarczy.

Po tym oświadczeniu przedstawiciela resortu spraw wewnętrznych, Wanda Szymanek zamilkła. Sprzedana przez uchylone drzwi butelka „Stołowej” - świadek wysuniętego zarzutu - stała obok sterty zeszytów na stole.

Portier Szczęśliwiak usiadł na krześle i zaczął oglądać zdjęcia z rodzinnego albumu pani Wandy. Wyjął album z serwantki, w której na górze, na koronkowych serwetkach, stały kryształowe karafki i kieliszki, a na dole, ułożone w stosy, leżały pamiątkowe wydawnictwa albumowe z dedykacjami, stał puchar zdobyty przez panią Wandę w konkursie „Wiedza obywatelska pomaga żyć i pracować” (zorganizowanym przez tutejszy Wydział Oświaty w celu podniesienia stopnia ogólnego wykształcenia nauczycielek wychowawczyń młodzieży) oraz inne cenne pamiątki, m. in. - oprawiony w ciemnowisnioną okładkę imitującą skórę - album ze zdjęciami.

- Ten gruby, to kto? - zapytał Szczęśliwiak pokazując na grupowym zdjęciu ciała pedagogicznego naszego gimnazjum tęgiego obywatela, stojącego po środku uśmiechniętej grupy za krzesłem dyrektor Mizerowej.

- Nie poznaje pan sekretarza? - obruszyła się Wanda Szymanek.

- To jest Mizera? Zupełnie niepodobny. Patrz pan, panie poruczniku, poznałbyś pan sekretarza?

Ale porucznika Gawędę nie interesowały zdjęcia z albumu. - Jest w tym lokalu piwnica? - zapytał niespodziewanie.

W. Szymanek udawa, że nie słyszy.

- Pani Szymanek, proszę o klucze do piwnicy.

- Jakiej piwnicy?

- Pani Wandziu - usłyszała głos portiera Szczęśliwiaka - przecież ma pani piwnicę. I świnkę w piwnicy.

- Poważna nauczycielka - pokiwał głową porucznik Gawęda - wychowawca młodzieży, a zachowuje się jak dziecko. No, gdzie te klucze?

Grupa pracowników resortu Spraw Wewnętrznych udawa się następnie na dół w celu przeszukania lokalu użytkowego. Pani Wanda, w czerwonym szlafroku poplamionym

niewiadomego pochodzenia tłuszczem, szła na końcu. Po zejściu schodami i odnalezieniu drzwi z dużą cyfrą „3” wymalowaną na nieheblowanych deskach czarną farbą, przekręceniu klucza w kłódce, pchnięciu wspomnianych drzwi oraz przekręceniu kontaktu w celu oświetlenia pomieszczenia - oczom przedstawicieli sił porządkowych ukazała się piwnica Wandy Szymanek cała w półkach od góry do dołu zastawionych butelkami. W kącie, za drewnianym przepierzeniem, pochrząkiwała przedstawicielka żywca - towarzyszka Byt. Woń odchodów wspomnianej towarzyszki, niewietrzonego pomieszczenia, starej kapusty i tak dalej, spowodowały, że porucznik Gawęda cofnął się nie przestępując progę. Dopiero po chwili wkroczył do środka. Rozglądając się po połyskujących w świetle żarówki-setki rzędach butelek, oświadczył: - Cały sklep obywatelka tu trzyma! Cały sklep!

Portier ormowiec podszedł do kojca, zza którego towarzyszka Byt wystawiała różowy ryj. - Ładna sztuka, będzie z osiemdziesiąt kilo! Czym pani karmi, pani Wando?

Nauczycielka milczała. Porucznik Gawęda stanął przy kojcu, obok ormowca. I tu pokiwał głową. Odwracając się zadał kolejne pytanie: - Wolno tak żywiec w kamienicy trzymać? Ma obywatelka pozwolenie władz administracyjnych?

Nauczycielka i tym razem nie udzieliła odpowiedzi. Pracownicy aparatu bezpieczeństwa przystąpili do liczenia butelek. Jeden notował w kalendarzyku, drugi liczył i głośno wymieniał nazwę produktu: - „Stołowa”, dwadzieścia osiem butelek, „Wyborowa”, dziesięć, „Jarzębiak”, piętnaście... - I tak dalej.

- Trzeba będzie zabezpieczyć ten sezam - oświadczył porucznik Gawęda.

- Ładna blondyneczka! - podziwiał towarzyszkę Byt portier Szczęśliwiak. - Prawda, poruczniku?

Ale porucznika Gawędę nie interesowała towarzyszka Byt. Zwrócił się do właścicielki lokalu: - Idziemy na górę, pani Szymanek. Trzeba będzie ubrać się, wziąć dowód osobisty i pójść ze mną na Komendę. Dowody przestępczej działalności są oczywiste.

- Panie kochany, panie kochany - zaczęła powtarzać Wanda Szymanek - co teraz ze mną zrobicie? Co ze mną będzie?

Porucznik Gawęda nie odpowiedział. Zaczął wchodzić po schodkach w kierunku drzwi. Tylko portier Szczęśliwiak, odwracając się na chwilę od towarzyszki Byt, zawołał: - Pani Wandziu, wszystko się ułoży!

- Dwanaście butelek ze spirytusem czystym, dwadzieścia trzy z kłosem... - dyktował nadal jeden z dwóch funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych. Towarzyszka Byt wtórowała pochrząkując.

Tego samego dnia wieczorem, po upływie szesnastu godzin od chwili przeszukania dokonanego w lokalu Nr 3 - do wspomnianego lokalu ponownie zapukano. Było to pukanie dobrze znane Wandzie Szymanek: trzykrotne puknięcie, pauza, znów trzykrotne, pauza i znów. Pani Wanda, zapłakana, w tym samym czerwonym szlafroku, pobiegła otworzyć. W drzwiach stał magister Józef Kamieniak zmieniony nie do poznania: ciemne okulary, zamiast małych w drucianych oprawkach, przystrzyżona broda, czapka kolejarska na głowie.

- Wandziu, Brzózka mówił, że chcesz mnie widzieć. To nieostrożnie, ale...

Nie dokończył. Pani Wanda zarzuciła ręce na szyję przewodniczącego nielegalnego Komitetu z okrzykiem: - Józiu, Józiu! Jaka jestem szczęśliwa...

Przebieg wizyty magistra w mieszkaniu Wandy Szymanek - wizyty rozpoczętej o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści, a zakończonej o ósmej rano dnia następnego, nie był znany świadkom. Być może pani Wanda błagając spotkanego w południe Brzózkę, aby skłonił J. Kamieniaka do złożenia jej wizyty, chciała poradzić się przyjaciela, co w trudnej sytuacji robić, jak zachowywać się, gdzie szukać ratunku? A może orientując się w beznadziejnym położeniu przywódcy nielegalnego spisku, chciała skłonić J. Kamieniaka do zaniechania dalszej akcji? Czy działała z własnej inicjatywy, czy pod wpływem nacisków i argumentów organów ścigania? Nie jest wiadomo. Włosy Wandy Szymanek pachniały szamponem rumiankowym - magistra mógł ten zapach przyprawić o zawrót głowy. Mrugając powiekami patrzył na właścicielkę lokalu. Chodziła po kuchni w szlafroku, zaróżowiona, jakby po kąpielu. W połach szlafrocka białą nogi, okrągłe kolana. Postawiła butelkę „Jarzębiaku” po środku stołu. Cuchnący dymem, niedożywiony, wyczerpany swarami w barakowozie, magister Kamieniak odetchnął pełną piersią siadając do kolacji.

O czym rozmawiali? Pani Wanda mogła powtarzać z uporem: - Daj spokój, Józiu, oni wszystko wiedzą. Znajdą was. Nie warto, kochany, nie warto...

- Nie kracz, rybko - mógł mówić przewodniczący nielegalnego Komitetu. - Tak niewiele trzeba. Innych ludzi, zaprzestania szargania godności.

- Godności? A cóż to jest godność, Kamyczku? Daj spokój, daj spokój! Pomyśl, jaka przy nich siła! - I nauczycielka naląła magistrowi kieliszek „Jarzębiaku”.

Być może przewodniczący „Akcji Bojkot” wzbraniał się na początku - nie chciał pić: - Do czego ty mnie namawiasz, rybko? - mówił z oburzeniem. - Wandziu, co ty?

Wanda Szymanek cierpliwie tłumaczyła: - Czas wrócić do normalnego życia! Jeszcze jesteś w sile wieku, co to znaczy te sześćdziesiąt lat?

- Sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt dwa, Wandeczko...

- Nawet sześćdziesiąt pięć. Jak chcesz zmienimy miejsce zamieszkania. Wyjedziemy

stąd. Zaczniemy nowe życie.

Może trochę później usiadła magistrowi na kolanach? Ciepłe, wielkie ciało, zapach rumianku i jarzębiaku, tykanie budzika. Józef Kamieniak mógł przytulić rudą głowę do czerwonego szlafroka. Wielka pierś Wandy Szymanek wysunęła się niespodziewanie spod rozchylonych pół podomki. W kuchni było gorąco. Magister dźwignął panią Wandę w celu przeniesienia na kozetkę.

*

O godzinie dziewiętej rano przed sklepem mięsny przy ulicy Armii Czerwonej 16 do kobiet stojących w kolejce od godziny piątej (niektóre stały od trzeciej w nocy) zbliżył się wielki mężczyzna w czarnych okularach i kolejarskiej czapce, z rudą brodą, w stanie wskazującym na spożycie alkoholu. Wywijając trzymaną książką w brązowej okładce, zaczął wykrzykiwać :

- Towarzyski, posłuchajcie towarzyski! Budujemy lepszą przyszłość, taka jest prawda! Potrzeba nam cierpliwości, dużo cierpliwości! Ja tu wam teraz przeczytam, towarzyski, w czym rzecz! - Następnie mężczyzna ów istotnie zaczął czytać donośnym głosem fragment dzieła zaczynający się od zdania „Avenarius nazywa to, co fizyczne, czyli materialne, absolutem i metafizyką, gdyż według jego teorii koordynacji zasadniczej przeciwczłon nieodłączny jest od członu centralnego, otoczenie nieodłączne od Ja, nie-Ja - nieodłączne od Ja, jak mawiał J.G. Fichte! Że ta teoria jest subiektywnym idealizmem w przebraniu, mówiliśmy już w innym miejscu, i charakter wypadów Avenariusza przeciwko „materii” jest zupełnie jasny: idealista neguje niezależny od psychiki byt fizyczny i dlatego odrzuca pojęcie, wypracowane przez filozofię dla oznaczenia takiego bytu!”...

Był to, jak okazało się, wywód artykułu towarzysza Lenina, z tomu czternastego Dzieł Zebranych, strona 162. Tom ten, rzucony na jezdnię, podniosła nieco później jedna z kobiet stojących w kolejce i odczytała tytuł sylabizując pojedyncze słowa.

Tymczasem, po odczytaniu przez mężczyznę w ciemnych okularach przytoczonego fragmentu, kobiety stojące w kolejce zaczęły wykrzykiwać: - Wynocha, gdzie indziej idź, dziadu!

- Towarzyski sobie znalazł! Filozof!

- Pijak! Kocmołuch! Element!

I tak dalej, Niektóre zaczęły rozglądać się za kamieniami. W tym momencie nadjechał radiowóz sił porządkowych. Dwóch funkcjonariuszy, poprawiając pasy i obciągając kurtki, podeszło do zakłócającego ład obywatela, energicznie chwyciło pod łokcie i poprowadziło w kierunku wozu. Zatrzymany wykrzykiwał podobno: - Jakim prawem, towarzysze? Czytałem

towarzysza Lenina towarzyszkom w kolejce! - I tak dalej, i tak dalej.

Kobiety usłyszały łoskot, kiedy obywatel ów wepchnięty został do radiowozu przez przedstawicieli sił porządkowych. W chwilę później stalowa nyska odjechała. Została porzucona książka w brązowej okładce. Wiatr przerzucał białe kartki.

*

W pół godziny później opowiedział o powyższym wydarzeniu członkom nielegalnego Komitetu „AB” zdyszany kolejarz Brzózka. Pedalując z wysiłkiem podjechał pod drewniane schodki barakowozu i wbiegł do środka.

- Ludzie! - zawołał od progu - wzięli Marksa! Pijany, czytał babom Lenina przed sklepem mięsnym!

Rewizjonista i Fajerant-Szklaneczka nie chcieli wierzyć. Zasapany Brzózka zaczął opowiadać dokładniej: - Tak jak było umówione, czekałem z rowerem o ósmej. Pod dwunastym, na Armii Czerwonej w bramie. Gdzieś koło ósmej trzydzieści patrzę, wychodzi i mówi do mnie: „Towarzyszu Brzózka, sprawa nieaktualna!”. Następnie poszedł pod sklep. Tam zaczął czytać. Nie minęło pięć minut, jak go zabrali... - I S. Brzózka załamującym się głosem dodał: - Koniec, panowie! Koniec naszej pieśni!

W tym miejscu Rewizjonista użył niecenzuralnego słowa: - Upiła go i wypuściła na ulicę, perlica!

Członkowie nielegalnego Komitetu jeszcze nie mogli uwierzyć: - Jesteś pewien, że to Marks? Może podobny?

- Może taki jeden gość z „Budopolu”? - dopytywał się Fajerant. - Pamiętacie? Ma sobowtóra.

- Miał kiedyś: Karola! - powiedział Rewizjonista.

J. Jagodziński stał obok Brzózki i sapał, jakby i on był znużony jazdą na rowerze. Potem, mamrocząc, wybiegł z barakowozu. Po chwili wrócił z butelką „Stołowej” pod pachą. W rękach trzymał jagodziankę na kościach. Zabułgotał stawiając z trzaskiem na stole.

- Tak jest! - powiedział Fajerant-Szklaneczka. - Jasiu ma rację! Co się będziemy oglądać, nie? Koniec! Koniec pieśni! - I nagle podniósł ze stołu szklankę-musztardówkę z resztką mleka na dnie. Chwytał zębami za krawędź szklanki. Chrupnęło. Drobne kruszyny posypały się na podłogę barakowozu.

Rewizjonista zaczął się śmiać bijąc rękami po udach. - Koniec pieśni! Koniec pieśni! - A potem, stojąc na szeroko rozstawionych nogach po środku nielegalnego pomieszczenia, uniósł zaciśniętą pięść i zaczął śpiewać:

- „Ani góry wysokie ani morza głębokie nie wstrzymają pochodu przyjaźni...”

- Daj spokój, daj spokój! - wołali towarzysze. - Stasiek, przestań!

Rewizjonista nie odpowiadał. Śpiewał trzymając nad głową zaciśniętą pięść: - „Przez walczące krainy idą chłopcy, dziewczyny, idą silni, promienni, odważni...”

W zębach Fajeranta-Szklaneczki chrzęściło szkło. Mała kropla krwi spadła na zielony sweter.

*

Okolo południa, w kierunku miasta, ulicą podmiejską, od strony osiedla zwanego „Syberią” - podążała grupa obywateli, których stan wskazywał na zakłócenia o.u.n. wywołane nadużyciem alkoholu. Na czele, usiłując jechać na rowerze „Junior”, podążał kolejarz bez czapki. Co pewien czas zjeżdżał na pobocze i wywracał na przydrożne pryzmy piachu. Słychać było brzęk i śmiech idących za nim towarzyszy. Trzech mężczyzn śpiewało, zataczając się i podtrzymując wzajemnie. Słów pieśni nie można było zrozumieć, poza jednym zdaniem refrenu: - „Chodź razem z nami, dotrzyмай kroku...”

Na końcu, ciągnąc wyładowany makulaturą wózek, posuwał się mężczyzna w czarnym płaszczu przewiązany sznurkiem i starej rogatywce na głowie. Szurał po jezdni buciorami w foliowych torbach. Przechodnie oglądali się na wspomnianą grupę. Szczekały psy. Mężczyźni przerywali od czasu do czasu nieskładny śpiew i zaczęli skandować:

- Komuchy, precz! Komuchy, precz!

Rozdział XVIII

Przechowalnia

W sobotę 29 bm. grupa działaczy partyjno-państwowych z towarzyszem pierwszym sekretarzem Czesławem Mizerą i pułkownikiem mgr Zenonem Mamulą na czele, wzięła udział w nieoficjalnym spotkaniu na terenie ośrodka rekreacyjnego dla kadry kierowniczej administracji państwowej. „Polewano”, jak mówił zasłużony działacz M. Seta, zakończony właśnie przez ekipę więźniów ZK-2 obiekt rekreacyjny pułkownika Mamuli: czternastoizbowy, podpiwniczony - z garażem na cztery wozy, sauną fińską w ogrodzie oraz żelbetonowym schronem na wypadek wojny termonuklearnej.

Kierowcy towarzyszy-działaczy, zgromadzeni na zewnątrz obiektu, posilający się na stercie desek kanapkami i kawą z termosów, mówili między sobą, że pod pretekstem „wiechowego” znani działacze oblewają uśmierzenie zakłóceń, jakie wystąpiły ostatnio w

naszym mieście.

Na wstępie spotkania goście zwiedzili ukończony obiekt. Przeszli przez osiem izb na parterze i pozostałe na piętrze. Przez kuchnię z pełnym wyposażeniem o najwyższym standardzie (szafa chłodnicza „Mińsk”, piece gazowe, blaszane zlewozmywaki, robot kuchenny), obejrzeli łazienkę z basenem wyłożonym niebieskimi kafelkami. Podziwiali parkiety z klepki dębowej, modrzewiowe boazerie na schodach, rzeźbione poręcze. Żyrandole z girlandami różnokolorowych paciorków (wykonane w Zakładach Ceramiki Budowlanej specjalnie na zamówienie towarzyszkii Zofii). Stali dłużej przy wielkim kominku w salonie - wykonanym przez więźniów ZK-2 pod osobistym kierunkiem pułkownika Mamuli (kocie łby, ruszt nad paleniskiem, krata, cegły szamotowe). Meble w pokojach wykonane przez Zakłady „Meblomet” - forniry o wzorach dobranych do klepki podłogowej. Na pomarańczowym dywanie, wokół kominka, fotele produkcji NRD - obite ciemnowiśniowym materiałem skóropodobnym.

Z budynku głównego grupa zwiedzająca udała się przejściem podziemnym do schronu. Szli za pułkownikiem Mamulą po krętych schodach: towarzysz Czesław Mizera w różowej koszuli, z niebieską marynarką narzuconą na ramiona (błyszcząc srebrnym guzikiem), za nim M. Seta, z karkiem przypominającym golonkę, dalej dyrektor Stala - wesoły towarzysz (zawsze gotów przyjść z pomocą w trudnych problemach budowlanych), magister Kochanek - naczelnik Urzędu Miasta i Gminy. Towarzysz prokurator Jan Sikora - wielki mężczyzna w granatowym garniturze i półbutach z żółtej skóry. Szedł zgięty w pół na końcu grupy, ponieważ dotykał głową do betonowego sklepienia. Doszli do drzwi z żelbetonowej płyty na żelaznych prowadnicach. W korytarzu zadudniło, kiedy pułkownik odsuwał płytę kręcąc kołem na ścianie. Kiedy drzwi zniknęły we wnęce - grupie partyjno-państwowych działaczy ukazał się pokój niewiele odbiegający standardem od obejrzanych w budynku głównym. Meblościanki, boazerie w jasnym deseniu, pomarańczowy dywan, lodówka w mahoniowej szafce. Takie same fotele produkcji NRD. Telewizor „Rubin”.

Towarzysz Mizera zagwizdał z podziwem. M. Seta spochmurniał: nie pomyślał o schronie. Z rozmowy wynikało, że ogół towarzyszy buduje schrony na swoich działkach. Towarzysz Czesław mówił, że ma niewykończony, z oddzielnym wejściem z ogródka. Magister Kochanek i dyrektor Stala - to samo. Chwalili lepsze rozwiązania u Mamuli. Seta obszedł schron dotykając palcem betonowej ściany oklejonej różową tapetą.

- Proszę, proszę, kochani! - zapraszał serdecznie pułkownik. - Czym chata bogata!

- Czym chata bogata, tym pieniążków mniej! - śmiał się dyrektor Stala.

Za progiem - niewidoczny z korytarza - stał długi bufet przygotowany przez kelnerki

lokalu „Zamkowa”. Po środku kubelki z butelkami w lodzie. Zmatowiały szyjki „Wyborowej” wyglądały z wiaderek. Na półmiskach rolmopsy, koreczki, sałatki w różnych kolorach, kostki sera „Salami” posypane pieprzem tureckim. Różowe platy szynki na talerzach. W kryształowej salaterce czerwony kawior. Skrzynki „Mazowszanki”, piwa „Żywiec”, Coca-coli, stały pod ścianami. Wszystko skąpane w jasnym świetle rurek-jarzeniówek. Pułkownik Mamula zatarł ręce. Uśmiechnięty, w rozpiętej kurtce mundurowej, pochylił się nad bufetem.

- No, Czesiek, do roboty! Na jakim paliwie pojedziemy?

Goście-działacze zaśmieli się. Pułkownik rozlał „Wyborową” do szklaneczek. I zaraz szkło zmatowiało, jak na butelkach.

*

Ajentki Zofii Mamulowej nie było wśród obecnych. Należy podkreślić, że spotkanie w schronie miało charakter męskiej „bibki”, jak zapowiadał pułkownik: - Skromna bibka, zasadniczo bez pań! - wyjaśniał przez telefon zapraszając towarzyszy.

Żona pułkownika Mamuli przebywała obecnie w zakładzie „Zamkowa” przy ulicy Bieruta. Z radością patrzyła na postępującą stabilizację. Przy stolikach komplet konsumentów, przeważnie w stanie wskazującym na spożycie. Śpiewy, rozmowy prowadzone głośno, zanieczyszczenie w toalecie i pod stołami. Stare, dobrze znane twarze przedstawicieli marginesu. Element, element! Od dziewiątej do dwudziestej trzeciej - jak w ulu. Rosnący gwar, Rosnące obroty. Kasa pęcznieje od środków płatniczych. Zadowolona ajentka spogląda na zadymioną salę zza bufetu. Wydaje się szczupła i wiotka. Widzi, jak łysy kolejarz, którego czapka leży pod stołem, kładzie głowę na poplamionej serwecie zawiadując o brzeg talerza z flaczkami. Flaki oblewają łysą czaszkę, rozlewają się po stole, ciekną na podłogę. Konsument bełkocze.

- Krysiu - mówi Z. Mamulowa do kelnerki notującej w bloczku kolejne zamówienie - idź po ścierkę. I zadzwoń po radiowóz!

Incydent nie zakłóca ogólnego dobrego nastroju ajentki. Zapomina o bolącym biodrze i potłuczonych pośladkach.

W dniu wczorajszym doktor Lipkowski najechał na przejściu dla pieszych przy placu Zwycięstwa na grubą obywatelkę poruszającą się wolno z uwagi na wyjątkowych rozmiarów tylną część ciała. Lekarz - nie poznając odwróconej kobiety - zagapił się i za późno nacisnął na hamulec. Grzmotnął obywatelkę prawym błotnikiem powodując jej szybkie przemieszczenie się na chodnik, gdzie - po zderzeniu z koszem na śmieci - kobieta upadła.

- Jak leziesz, tłumoku? - zawołał przez odkręconą szybę ginekolog. W tym momencie rozpoznał (w podnoszącej się z chodnika poszkodowanej) ajentkę Zofię Mamulową - żonę

pułkownika Zenona. Doktor wyskoczył z wozu i pośpieszył na ratunek. Na szczęście obrażenia nie były groźne.

*

Lipkowski jechał na wezwanie do Zakładu Rehabilitacji Zakłóceń, którego działalność, od chwili przywrócenia ładu i porządku w naszym mieście, przebiegała normalnie.

- Praca idzie bez zakłóceń - mówili opiekunowie zmianowi dziennikarce z prasy wojewódzkiej, która przybyła do naszej Izby w celu przeprowadzenia rozmowy z pracownikami. - Obywatele w stanie upojenia dowożeni są normalnie. Od wczoraj mamy pełne ręce roboty.

Około godziny dziewiętnastej jeden z dowiezionych przestał reagować pozytywnie na środki przymusu. Oklapł na rękach personelu. Starszy zmianowy zadzwonił po doktora.

- Jest tu jeden taki, który podskakuje, doktorze.

- Co robi?

- Leży i nie rusza się.

- Zaraz u was będę - powiedział lekarz.

Zdenerwowany potrąceniem Z. Mamulowej przybył z opóźnieniem. Następnie stwierdził zgon leżącego obywatela.

- Coście mu zrobili? Żył, jak go dowieźli.

Pielęgniarz Ful nie był pewien: - Który go przyjmował?

Kot stwierdził, że Ćmielewski. Ful zawołał Ćmielewskiego: - Baranie, patrz kogo przyjmujesz! Sztywnego przyjąłeś na stan!

- Ja, ja? - zaperzył się Ćmielewski. - To Gienek przyjmował!

Zawołano Nicponia. Lekarz Lipkowski mył ręce nad umywalką i słuchał, jak opiekunowie klócą się o to, kto przyjął martwego obywatela. Tymczasem pacjent naszego zakładu leżał na podłodze w pokoiku depozytora Kota. W podartym swetrze-golfie z zielonej włóczki, patrzył w sufit.

- Zabierzcie go stąd - powiedział zdenerwowany Kot. - Czy ja z dziećmiakami pracuję, czy z dorosłymi ludźmi?

Ful zadzwonił do Komendy prosząc o przysłanie radiowozu: - Tego, który był niedawno. Smolarek nim jeździ. Tak jest, tak jest! - powtarzał.

Depozytor Kot rozpoznał dowiezionego: - To przecież Kujawski, czyli Szklaneczka! Nie uwierzy pan, doktorze: ten człowiek jadł szkło, jak cukier. Tylko zgrzytało w zębach. Pamiętasz, Edziu, jak mu dawałeś szklanki?

Zdenerwowany pielęgniarz nie odpowiedział. - Przyjmą takiego, a potem człowieku odkręcaj! Ja wiem, czy Smolarek weźmie?

- Jak Smolarek przywiózł, to weźmie! - pocieszał Kot.

- Ja mogę stwierdzić zejście - oświadczył Lipkowski odwracając się od umywalki - ale czy to potrzebne?

*

W termonuklearnym schronie śpiewano. Towarzysze pozdejmowali marynarki. Póллеżąc na tapczanach i fotelach wykrzykiwali słowa pieśni. Butelek o zmatowiałych szyjkach ubyto w kubelkach. Ubyło kawioru w kryształowej salaterce, sałatek w półmiskach i piwa w skrzynkach.

- „Rozcwietaly jabłoni i gruszi!” - śpiewał prokurator Sikora balansując szklaneczką. Towarzysze wtórowali: - „Wychodziła na bierok Katusza!” - dudniło pod betonowym sklepieniem. Głos prokuratora wybijał się ponad inne głosy.

Kiedy wstał pułkownik Mamula, śpiewy na chwilę przycichły.

- Towarzysze! - powiedział głośno komendant. - Zebraliśmy się tutaj, aby uczcić dzień przywrócenia ładu! Wrogowie socjalizmu otrzymali zasłużoną nauczkę!

- Stala to wróg! - wpał pułkownikowi w słowa prokurator. Wymierzył wielkim palcem w dyrektora „Budopolu”. - Sankcje dla Stali!

- Nie wygłupiaj się, Janek! - obruszył się dyrektor.

- My towarzysze, w razie potrzeby wszystkich zatrzymamy, wszystkich przesłuchamy i wszystkim damy sankcje!

- Tak jest, zgadzam się z Zenkiem! - wołał J. Sikora.

- Sprawa ewidentna - zakończył pułkownik. - A ty, Mieciu, daj buzi! - zwrócił się do M. Sety.

Towarzysze zaklaskali. Kierownik placówki wytrzeźwień oraz pułkownik mgr Z. Mamula, splekli ręce, wypili, a potem pocałowali się w usta.

- Gorzko, gorzko! - zawołał dyrektor Stala.

- Wróg nie ma głosu! - pogroził mu palcem Sikora.

Sekretarz Mizera zsunął się z tapczanu i na kolanach powędrował w kierunku bufetu. Zgięty w pół klęknął, uniósł z wysiłkiem kieliszek, nalał „Myśliwskiej” z butelki, wypił, znów nalał i z pełnym kieliszkiem (znacząc kroplami dywan) wrócił na kolanach na tapczan. Lekko wypukłe oczy zmatowiały, jak szklaneczki od zimnej wódki.

*

Sierzant Smolarek tylko początkowo udawał oburzenie: - Zabrać z powrotem? Wy go

tego, a teraz chcecie oddawać? Nigdy w życiu!

Ćmielewski z Nicponiem podsuwali „Stołową” w kubeczku: - Panie Władku, pan wypije z nami!

- Na służbie? - mrugnął na Fula Smolarek. - Nigdy w życiu!

Ale w końcu, tak jak przewidywał Kot: zgodził się zabrać dowieszonego i wypił „Stołową” z kubka.

- Dziękuję, Władziu - powiedział Ful. - Z tobą zawsze gra!

- Co ma nie grać? Zawieziemy do szpitala, a tam go skreślą z rejestru żywych, mam rację?

- Jasne, prosta sprawa! - przytakiwał Ful. - A jak tam ci wichrzyciele? - zmienił temat.

Na to pytanie Smolarek miał odpowiedzieć podobno: - Wyżej tego ptaszka nie podskoczą, kolego Ful! Spokój! - I walnął czerwoną pięścią w blat biurka Janka Kota. To wtedy (czy później) opowiedział obecnym o Rewizjoniście. Kiedy wczoraj przewoził zatrzymanych, miał jakoby rozkazać, aby położyli się twarzami do podłogi w nysce. Kolejarze wykonali polecenie bez sprzeciwu, ale ten siwy, wysoki, nie chciał. Powiedział, podobno, patrząc Smolarkowi w oczy: - Nie będę leżał, faszysto!

Wtedy dostał pięścią w usta i poleciał na wznak. Głową miał stuknąć o blachę. Zaczął gramolić się niezdarnie na kolana, znów spojrzał na Smolarka i wymamrotał: - Ty komuchu!

Na samo wspomnienie Smolarek zacisnął czerwoną pięść. - Dostał solidny łomot, Edziu.

- Władziu, a jak tam ten berbelucha Kamieniak? - mógł zapytać Ful.

- Marks, Marks? - śmiał się Smolarek. To wtedy (czy później) opowiedział o Kamieniaku, który - dowieszony na Komendę - podobno symulował „wariactwo”. Grał chorego psychicznie przed majorem Dolatkiem.

- Całkiem możliwe - wtrącił starszy zmianowy - on chyba naprawdę był stuknięty. Daj spokój, tak ludzi nabuntować!

- Zawsze głupio gadał, to fakt - zgodził się Smolarek.

Po dwudziestu czterech godzinach major podpisał skierowanie do szpitala w Marcinkowicach. Tak twierdził Smolarek. Doprowadzany po przesłuchaniu do celi Kamieniak poprosił sierżanta o szklankę wody.

- Nie dla niego to zrobiłem, Władziu, ale przez wzgląd na jego żonę, panią Marysię Kamieniak. Do dziś moja mała wspomina tę nauczycielkę. Takiej drugiej, mówi, nigdy nie będę miała!

- Skrzywdziłeś kobietę, panie Marks - powiedział do magistra, kiedy przyniósł kubek

z herbatą. - Gdzie ona teraz przebywa?

Stali naprzeciw siebie: wielki Kamieniak z kubkiem w ogromnych rękach, pod żarówką w drucianej siatce, po środku celi-pojedynki; krępy Smolarek w drzwiach - z pękiem kluczy na drucianym kółku. Magister na chwilę przerwał picie herbaty.

- Panie Smolarek, gdyby tu był kościół, a pan był księdzem, to rozumiem, ale tak?

- Innemu zaraz bym przyłożył, Edziu - opowiadał Smolarek. - Do tego Marksa mam słabość, jak Boga kocham.

- Panie Kamieniak - powiedział po chwili - warto było robić ten cały szum? Wywołać zakłócenia i tak dalej? Teraz jak nic przyłożą pięć lat!

- A on - opowiadał sierżant - jak na potwierdzenie zarzutu wariactwa: zgiął się w pół i taki przygięty obszedł celę: „Popatrz, towarzyszu Smolarek, wy sami tak chodzicie, a człowiek powinien chodzić prosto. Taka jest prawda, nie?” - I wyprostował się. I dopił herbatę.

Smolarek śmiał się podobno. Zabrał kubek i wyszedł. Huknęły obite blachą drzwi. Kamieniak mógł leżeć później na żelaznym łóżku. Kiedy przyciskał głowę do muru, widział gwiazdy za małym okienkiem. Dalekie i blade. Na podwórzu czekały w klatkach psy. Tak mijała druga noc.

Sierżant uśmiechnął się do doktora Lipkowskiego: - A doktorek nie napije się z nami? Do szpitala podwożę.

- Ja swoim wozem - wyjaśnił Lipkowski. Pożegnał się szybko i wyszedł z depozytorni Janka Kota.

- Co ten Lipkowski taki ważny? - zapytał Smolarek. - odmawia kielicha? Ja go jeszcze przyuważę z tym jego lewym prawem jazdy!

*

O dwudziestej pierwszej Wanda Szymanek zeszła do piwnicy z wiadrem zlewki dla towarzyszki Byt. Na drzwiach piwnicy był ślad po papierowych paskach przyklejonych na krzyż. Kawałek papieru z fioletową pieczętką wisiał na desce.

Z półek znikły butelki. Została tylko towarzyszka Byt w drewnianym kojcu. Zakwicziała radośnie na widok pani Wandy. Kwicząc wystawiała zza desek różowy ryj.

Wanda Szymanek wlała zawartość wiadra do koryta. Rozległo się głośnie mlaskanie. Nauczycielka przysunęła krzesło i usiadła obok. Twarz miała spuchniętą. Podkrążone oczy. Siedziała w milczeniu trzymając ręce na kolanach.

Towarzyszka Byt, mlaskając, wyjadała zlewki. Słysząc było, jak głośnie siorbie. Potem odgłosy ucichły - Świnia uniosła łeb. Oparła o deskę koło pani Wandy. Wilgotny ryj

błyszczał w świetle żarówki-setki. Pochrząkiwała cicho.

- Moja mała - powiedziała szeptem nauczycielka. Wyciągnęła rękę i podrapała towarzyszkę Byt za uchem.

Na drzwiach piwnicy pasek papieru z fioletową pieczętką poruszył się, jak od przeciągu.

*

W sobotę o ósmej rano, w gimnazjum imienia M. Konopnickiej, dyrektor H. Mizerowa wezwała ucznia K. Biedronkę do gabinetu. Wywołany z pierwszej lekcji Krzyś poszedł pustym korytarzem w kierunku sekretariatu. Na ścianie, między paprotkami, wisiało nowe hasło-cytat (z programu VII Zjazdu naszej partii). Zamiast punktu 133, ułożono z kartonowych liter punkt 132: „Partia stanowi główny ośrodek jednoczący i aktywizujący wszystkie siły narodu do osiągnięcia wyznaczonych celów - przeczytał Krzyś - Umacnianie kierowniczej roli partii, jako przewodzącej, programującej i organizującej siły naszego społeczeństwa, jest najwyższej rangi zadaniem i obowiązkiem wszystkich członków partii.”

Biedronka odetchnął głęboko, przejechał ręką po włosach i otworzył drzwi do sekretariatu.

W gabinecie, oprócz obywatel dyrektor, była nauczycielka rosyjskiego Jadwiga Kaganowicz. Przerwały rozmowę i popatrzyły na Krzysia, kiedy wszedł. W pokoju pachniało „Zielonym jabłuszkiem” i landrynkami.

- Twoja sprawa została rozpatrzona - powiedziała dyrektor H. Mizerowa. - Od dziś przestałeś być uczniem naszej szkoły.

Krzyś stał blisko drzwi obitych dermą.

- Dlaczego? - zapytał.

- Już ty dobrze wiesz - „dlaczego”! - odezwała się J. Kaganowicz patrząc na ucznia przez grube szkła, jak przez dwie lodowe szybki.

Chwilę trwało milczenie.

- To wszystko - powiedziała H. Mizerowa.

- Zabieraj się do domu - dodała J. Kaganowicz.

Później uczniowie mówili, jakoby Biedronka, przed wyjściem z gabinetu, wykonał ordynarny gest. I trzasnął drzwiami. Były to, oczywiście, plotki. Krzyś uklonił się w milczeniu i wyszedł, normalnie zamykając drzwi. W sekretariacie Lusja prowadziła prywatną rozmowę przez telefon. Śmiała się głośno do słuchawki.

*

Portier Ślepek zdjął mundur i powrócił na stanowisko pracy w portierni KM naszej

partii. O dwudziestej pierwszej, w pustym gmachu-siedzibie PZPR (ciemne okna, jedynie klatka schodowa i hol oświetlone) udał się wraz z emerytowanym funkcjonariuszem Szprychą do sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. Nieśli skrzynkę wyładowaną po brzegi półlitrowkami „Stołowej”, „Myśliwskiej” i „Jarzębiaku”. Przeszli kawałek ciemnym korytarzem, potem Szczęśliwiak przekręcił kontakt obok drzwi do sali. Pstryknęło głośno - wewnątrz zapalały się przez chwilę, jedna po drugiej, jarzeniowe lampy.

- Ty, może lepiej po ciemku? - zaniepokoił się Szprycha.

- Jasiu, kto nas tu zobaczy? - powiedział portier.

Wysokie okna sali konferencyjnej wychodziły na plac przy kinie „Jutrzenka”. Dalej był park. Wepchnęli skrzynkę przez uchylone drzwi. Salę przygotowano na jutrzejszą akademię. Znikł zielony stół pośrodku. Od ściany po tamtej stronie (z podium i stołem przydzielonym przykrytym czerwonym płótnem) stały rzędy krzeseł, jak w kinie - po cztery razem, złączone listwami. Połyskiwały półokrągłe oparcia. Na podium z czerwonym stołem, obok mównicy (z wielką jedyką z białego kartonu i słowem „maj” niżej) wisiało hasło „Niech żyje Święto Pracy!”

Portier Ślepek z byłym funkcjonariuszem zmienili ręce obchodząc skrzynkę z butelkami. Chwycili za krawędzie i poszli środkiem pustej sali w kierunku podium.

Za stołem, w kącie, stało gipsowe popiersie wodza rewolucji. Ogromna łysa głowa w świetle jarzeniowych lamp. Wypukłe oczy bez źrenic patrzyły na salę nieruchomo. Portier z kolegą wnieśli skrzynkę po drewnianych schodkach na podium i skierowali się w stronę wielkiej głowy.

- Tu? - zdziwił się Szprycha.

- A co, może zła przechowalnia? - Portier Ślepek zaszedł popiersie od ściany. Wyjął małą deskę u podstawy, przy podłodze (była pomalowana białą farbą). Przysunęli bliżej skrzynkę. Szczęśliwiak klęknął. Zaczął wyjmować butelki. Wkładał do ciemnego otworu schowka. Pobrząkiwało szkło.

Szprycha stanął obok trzymając rękę na łysej głowie.

- Ty, co on tak błyszczy?

- Musiały sprzątaczkę posmarować pastą - sapnął z klęczek Szczęśliwiak. - Przed jutrzejszą akademią. - Schował wszystkie butelki. - Dziękuję, Jasiu. Sam obracałbym z pięć razy. Człowiek już ma swój wiek.

Zasunął białą deskę. Stuknęło głucho. Wstał przytrzymując się popiersia. Zeszli z podium i ruszyli pustym przejściem w kierunku drzwi. Były funkcjonariusz odwrócił się jeszcze w chwili, kiedy Szczęśliwiak przekręcał kontakt na korytarzu. Zobaczył podium,

czerwony stół, jedynkę na mównicy. Gipsową głowę błyszczącą w świetle jarzeniowych lamp. Te nieruchome-wypukłe oczy.

Jarzeniówki zgasły i w sali zrobiło się ciemno.

*

Wieczorem Biedronka z Makarewiczem poszli ulicą Podmiejską w kierunku osiedla „Syberia”. Krzyś niósł torbę z napisem „Marlboro”. Doszli do wysypiska i minęli porzucony barakowóz na oklapniętych kołach. Na drewnianych schodkach siedział stary człowiek w brudnej rogatywce. Patrzył przed siebie. Sterty śmieci tliły się w dołach i swąd unosił się w chłodnym powietrzu.

Chłopcy poszli naokoło wysypiska. Usiedli po drugiej stronie, niedaleko ścieżki nad urwiskiem. Widać stąd było ogródki działkowe wzdłuż ulicy Podmiejskiej, domki osiedla „Syberia”, a dalej bloki na przedmieściach. Po drugiej stronie - ten barakowóz na oklapniętych kołach. Biedronka z Makarewiczem siedzieli na wilgotnej trawie. Zawiewało dymem.

- Daj, pociągniemy - powiedział po kilku minutach Makarewicz.

Krzyś wyjął z torby butelkę „Stołowej”. Zaczął kozikiem odginać blaszany kapsel. Ostrze ślizgało się po szkle.

- Pokaż! - zniecierpliwził się Makarewicz. Chciał zabrać butelkę. Biedronka nie oddał.

- Czekaj! - Udało mu się zdjąć kapsel. Spadając błysnął w trawie, jak srebrny pieniążek. Krzyś wyjął z torby dwa bakelitowe kubeczki. - Trzymaj! - powiedział do Makarewicza.

Wódka zabulgotała, kiedy rozlewał. Podnieśli w górę kubeczki. Krzyś zakrztusił się po pierwszym łyku - kaszlał chwilę, oczy zaszyły łzami. Poczzerwieniał. Postawił kubeczek w trawie, zdjął okulary i przetaił szkła rękawem swetra.

- Oj, pijaku, pijaku! - śmiał się Zbyszek. - Pierwszy raz, co?

Krzyś nie odpowiedział. Małymi łydkami, powoli, dopił do dna.

- Nie wzięłeś zagrychy? - spytał jeszcze Makarewicz. - Na sucho zawsze mniej smakuje.

Siedzieli, co pewien czas dolewając z butelki do kubeczków. Patrzyli na ogródki działkowe i bloki na przedmieściach. Krzyś kaszlał. Widok powoli zamazywał się w oczach. Kiedy ściemniło się, nad drzwiami barakowozu zaświeciła żarówka. Fale gorącego powietrza płynęły z dołu, od palących się odpadków. Biedronka położył się na wznak. Czuł, jak ziemia kołysze się pod nim. Kiedy otwierał oczy, widział czyste niebo. Błysnęły pierwsze gwiazdy. Makarewicz cisnął pustą butelką.

Krzyś podniósł się pierwszy. Zachwiał się i zatoczył. Makarewicz śmiał się klęcząc w

trawie.

- Oj, pijaku, pijaku! - Wstawał niezgrabnie.

Ujęli się pod ręce i poszli ścieżką nad wysypiskiem. Krzyś potykał się kilka razy. Koło barakowozu stanęli na chwilę. Na schodkach siedział ten sam stary włóczęga. Nogi miał owinięte foliowymi torbami. Siwe kosmyki wymykały się spod rogatywki na kołnierzu płaszcza. Patrzył przed siebie. Drzwi do barakowozu były otwarte, ale wewnątrz było ciemno. Paliła się tylko żarówka nad schodami. Rozbita szyba leżała pośrodku na piasku obok koła.

- On na coś czeka - powiedział Krzyś, kiedy odeszli.

Makarewiczowi odbiło się głośno. Poczuli chłód na twarzach. Zaszumiały drzewa wzdłuż ulicy Podmiejskiej. Stuknęły drzwi nad schodkami barakowozu. Wiatr przypominał dotyk mokrych gałązek.

*

W termonuklearnym schronie śpiewali do późnej nocy. Wracala, jak refren „Katusza”. Wracaly „Wierzy”. I „Z poza gór i rzek”, „Płynie, płynie Oka”, „Szła dziewczeczka”. Wiele innych. Prokurator Sikora śpiewał solo radzieckie czastuszki. Stał pośrodku schronu, na rozstawionych nogach - w koszuli z jednym rękawem podwiniętym. Z przekrzywionym krawatem. Chwiał się lekko.

- „Kak ja była maładaja, tak ja była nużna...” - śpiewał unosząc rękę. Zakołysał się w miejscu, tupiąc żółtymi półbutami.

Obecni powtórzyli chórem: - „Oj, da, Dunia ma, Dunia dziewczeczka maja!”

Potem powtarzali za każdym razem, kiedy prokurator kończył.

- „Ja w kołchozie narodził się...”, „A moj diadia nie kalieka...”

I tak dalej.

- „Oj, da, Dunia ma, Dunia dziewczeczka maja!...” - ryczeli chórem obecni. Dudniło pod betonowym sklepieniem. Półożąc na fotelach i na tapczanie pod różową tapetą - długo bili brawo. Spodobały się czastuszki w wykonaniu prokuratora Sikory.

- Dawaj dalej, śpiewaj, Janek! - krzyczał towarzysz Seta.

Ale Sikora nie znał innych. Zatoczył się w stronę bufetu. Pił chyba z butelki. Wkrótce goście zaczęli zasypiać. Może magister Kochanek chorował koło stołu? Zanieczyścił pomarańczowy dywan.

- Z tobą, Kochanek, zawsze cyrk! - mógł mu pogrozić palcem Mamula.

Prokurator wytoczył się na korytarz. Uderzył głową w betonową belkę sklepienia i osunął przy ścianie. Wyciągnął nogi w ogromnych półbutach z żółtej skóry i zasnął. Zasypiał dyrektor Seta w fotelu produkcji przyjaciół zza Odry. Drzemał naczelnik Seta. Brzęczały

jarzeniowe rurki. Szumiał wentylator.

*

W organie wojewódzkim naszej partii ukazała się notatka pt. „Ład i porządek wróciły na ulice.”

„Nie udało się wicherzycielom zakłócić na dłużej spokoju mieszkańców - czytamy w notatce. - Wobec zdecydowanej akcji sił porządkowych, władz partyjnych i państwowych oraz dzięki postawie społeczeństwa - zwolennicy zamieszek i niepokojów ponieśli zasłużoną porażkę. Ład i porządek wróciły na ulice. Zakłady gastronomiczne oraz sieć handlowa działają normalnie. Z murów znikły wrogie hasła. Wszczęto już postępowanie karne przeciwko ujętym przywódcom zakłóceń. Najbardziej aktywni przebywają w areszcie śledczym, inni będą odpowiadać z wolnej stopy. Działalność miejscowego zakładu wytrzeźwień przebiega normalnie, wyroby Państwowego Monopolu Spirytusowego można nabyć o każdej porze, bez narażania bezpieczeństwa osobistego.

W związku z obchodami Świąta Pracy, na ulicach pojawiły się czerwone flagi i transparenty. Miasto przybrało odświętny wygląd. Na zbliżające się „Dni Oświaty” miejscowy Dom Kultury proponuje zwiedzenie wystawy: „Książka w służbie pokoju i postępu”. Zainteresowani znajdą również zapowiedź cyklu spotkań i uroczystości związanych z „Dniem Zwycięstwa”. Szerokie możliwości odpoczynku i rekreacji oraz udziału w imprezach, ma młodzież szkolna. Działają pracownie - fotograficzna i modelarska. Kółka zainteresowań. Są szachy i warsztaty.”

*

Nad głową Rewizjonisty było takie same okienko, jak nad głową Józefa Kamieniaka. Ale S. Nalewajko nie widział gwiazd, tylko kawałek ceglanego muru. Słyszał odległe szczekanie psów. Chciało mu się pić i palić. Bolały spuchnięte wargi (od uderzenia pięścią). Kłuło w płucach przy oddychaniu.

Kiedy przyjechali na Komendę, idący za Rewizjonistą funkcjonariusz podstawiał mu niespodziewanie nogę. S. Nalewajko upadł na korytarzu w suterynie dostając się natychmiast pod tak zwane fleki. Krzyczał i osłaniał rękami twarz. Potem, w celi - długo pluł pochylony nad kubłem. W nocy, po przesłuchaniach, zasypiał i budził się z bólem. Okienko nad głową - przy bladym świetle żarówki w żelaznej siatce - wyglądało jak czarna tabliczka.

Nad ranem zasnął i śniło mu się, że siedzą przy stole w „Muszelce”: on, Kamieniak, Fajerant-Szklaneczka, Boguś Las Vegas, Janek Dykta. Roznosiciel Radwański, przetokowy Brzózka. Na stoliku butelki z piwem „Warka”. Zastygła fasolka po bretońsku na talerzach. Wino „Wino” w szklankach. Drzwi do „Muszelki” otwarte - słoneczny dzień, słysząc głosy z

ulicy. Wiosenny wiatr wpada do zakładu, unosi w górę muślinowe zasłony na oknach.

- Towarzyszko Basiu - mówi Józef Kamieniak - prosimy do nas.

- Jaka ja dla was „towarzyszka” - odpowiada obrażona kelnerka. Podchodzi niechętnie.

Janek Dykta drzemie z opuszczoną ręką, Szklaneczka chrapliwie kaszle. Boguś Las Vegas siedzi uśmiechnięty. Wszyscy milczą - jakby czekali na znak.

- Za nadzieję - mówi Józef Kamieniak. Unosi szklaneczkę z winem „Wino”. W czerwonym płynie błyska promyk słońca. Okularki w drucianych oprawkach świecą. Rewizjonista otwiera oczy i widzi żarówkę w żelaznej siatce. Nad głową okienko, jak czarna tabliczka.

1979-1984